GAZETAPOLSKA.PL

LISIEWICZ: MILLER CHCIAŁ POLSKI, W KTÓREJ STACJONUJĄ ROSYJSKIE WOJSKA. TERAZ PRZEBIERA SIĘ ZA PATRIOTĘ

ROK Z ZEPSUTYM ŻURKIEM. DRWAL BEZ SIEKIERY

BRATKIEWICZ – WSPÓŁPRACOWNIK ADAMA MICHNIKA I GRZEGORZA BRAUNA. TAK, TO MOŻLIWE!

Strefa Wolnego Słowa

GAZETA POLSKA

#TYGOD ODLEGŁEGO PO KAŻDĄ ŚRO IM KIOSKU



DANE 19 MLN POLAKÓW

W POSIADANIU CYBERPRZESTĘPCÓW. PAŃSTWO BEZRADNE

CENA 10.90 PLN (w tym 8% VAT) www.gazetapolska.pl indeks 320919 #34 (1719) 19/08/2026 OKŁADKA: TOPK, FOT. ADOBE STOCK/AI

ISSN 1230-4581

NUMER W SPRZEDAŻY DO 25.08.2026

eprasa.pl a51e4bc623

Wspieraj Media Strefy Wolnego Słowa

Dla wolnej i niezależnej Polski!

GAZETA POLSKA

Gazeta Polska codziennie

niezależna.pl

REPUBLIKA

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO

radio REPUBLIKA

REPUBLIKA

Numer konta: **90 1240 6003 1111 0010 6960 7476**
Tytuł przelewu: **Darowizna na rzecz TV Republika**

Konto do wpłat zagranicznych: **PL 90 1240 6003 1111 0010 6960 7476**
SWIFT/BIC: PKOPPLPW

Adres: Telewizja Republika S.A. Plac Bankowy 2, 00-095 Warszawa

SKANUJ KOD

FUNDACJA NIEZALEŻNE MEDIA

Numer konta: **62 1240 1053 1111 0010 5517 7864**
Tytuł przelewu: **Darowizna na rzecz Fundacji Niezależne Media**

Konto do wpłat zagranicznych: PL 62 1240 1053 1111 0010 5517 7864
SWIFT/BIC: PKOPPLPW

Adres: Fundacja Niezależne Media ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa

FUNDACJA REPUBLIKA

Numer konta: **23 1090 1883 0000 0001 5859 5543**
Tytuł przelewu: **Darowizna na wolne media**

Adres: Fundacja Republika ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa



eprasa.pl a51e4bc623



Tomasz
Sakiewicz

TEST

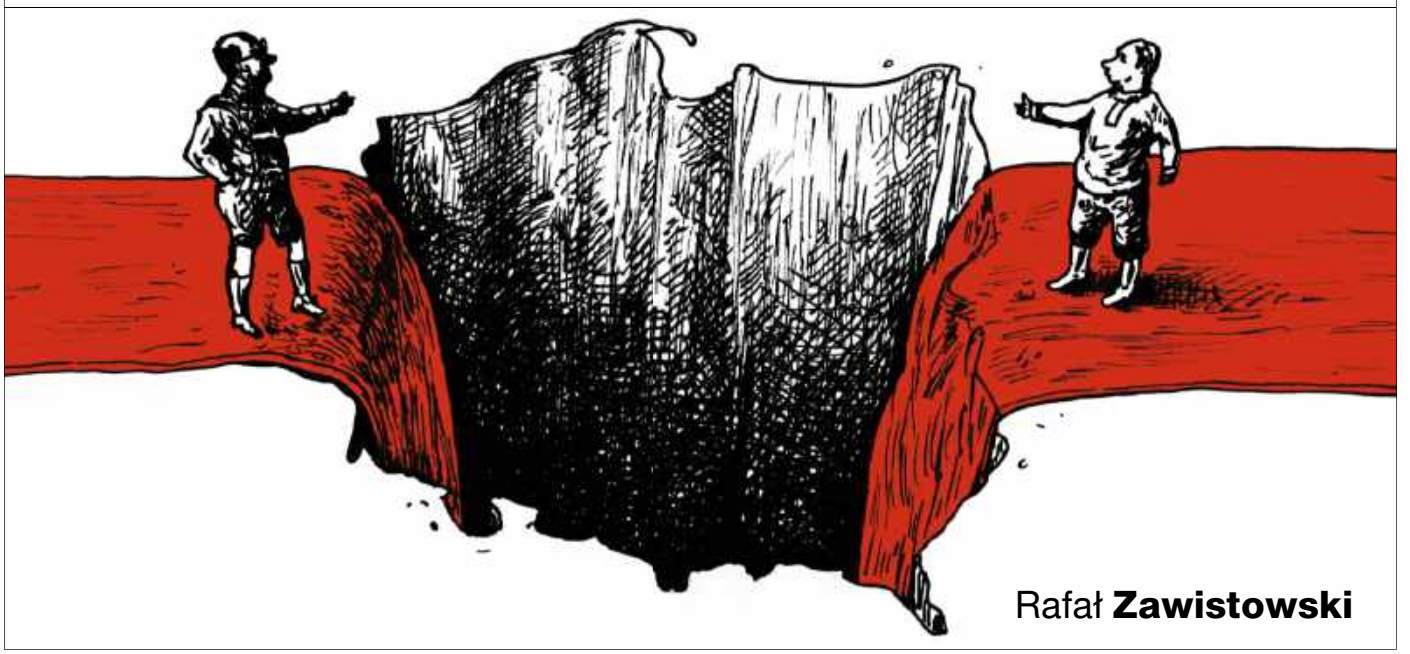
Polskę czeka w najbliższych miesiącach test, czy jest w stanie obronić demokrację i utrzymać niepodległość. Z jednej strony coraz bardziej realny plan siłowego przejęcia Trybunału Konstytucyjnego, a następnie Sądu Najwyższego i być może odsunięcia prezydenta od władzy przy pomocy do dziś robiącego interesy z Rosjanami komunisty, marszałka Włodzimierza Czarzastego. Z drugiej strony – już jawna współpraca części ludzi Grzegorza Brauna z Kremlem.

Jestem dziennikarzem i mam obowiązek mówić Państwu tylko prawdę. Jedno i drugie działanie obozu rządowego i prorosyjskiej części opozycji jest ogromnym zagrożeniem. Marszałek wywodzący się z partii komunistycznej, który nie jest w stanie wypełnić ankiety bezpieczeństwa, za to został przyłapany na robieniu interesów z Rosjanami, mającymi powiązania z elitami rosyjskiej władzy, to śmiertelne zagrożenie. Ale takim zagrożeniem jest też to, że ludzie Brauna, w czasie kiedy Rosja niemal jawnie dokonuje na naszym terenie ataków terrorystycznych, chodzą do rosyjskiej ambasady, wspierają kremlowską propagandę i głoszą chęć wyjścia z NATO. Zostaliśmy wzięci w dwa ognie, a nasza demokracja i niepodległość wchodzą w ostry wiraż.

Próby siłowego przejmowania Trybunału Konstytucyjnego czy odsuwania prezydenta od władzy mogą się skończyć tym, że dojdzie do paraliżu państwa i buntu na ulicach. Jest niemal pewne, że taki będzie rezultat. Państwo już dziś przestaje działać. Dane osobowe milionów Polaków znalazły się najprawdopodobniej w rękach cyberterrorystów, finanse są na granicy bankructwa. Następuje powolny rozkład służby zdrowia, a służby specjalne i skarbowe są zajęte ściganiem opozycji i mediów.

Ale alternatywa polegająca na tym, że Tusk traci władzę i nie można zbudować rządu bez antyamerykańskiego i coraz bardziej prorosyjskiego Grzegorza Brauna, jest równie fatalna. Tym bardziej że chaos w polskiej polityce może ułatwić Rosjanom skompromitowanie kraju i wypchnięcie Polski ze struktur bezpieczeństwa. Ale wiele wskazuje na to, że ze strony lewackich elit UE i polityki niemieckiej też jest autoryzacja do pozbawienia Polski znacznej części suwerenności. To nawet jest przecież oficjalny projekt Unii – ograniczenia demokracji i wypchnięcia od nas Amerykanów. Zaczyna to przypominać XVIII wiek, kiedy Prusy i Rosja okrajały I Rzeczpospolitą, aż doprowadziły do jej upadku.

Musimy być gotowi na obronę demokracji i apelować do wszystkich sił politycznych, by dostrzegły zagrożenie póki czas i potrafiły mu się przeciwstawić. Naprawdę wszyscy musimy otworzyć oczy i zobaczyć, co wokół nas dzieje się naprawdę. **GP**



Rafał **Zawistowski**

eprasa.pl a51e4bc623

W numerze

TEMAT NUMERU

6 **Dane 19 mln Polaków w posiadaniu cyberprzestępców. Państwo bezradne w chwili próby**
 # Jacek Liziniewicz, Grzegorz Wierzchołowski, Piotr Nisztor

KRAJ

14 **Rosja i Michnik. Nieznane spotkania reseciarza od Brauna**
 # Grzegorz Wierzchołowski

18 **Kazachskie tajemnice naftowego biznesu Krauzego**
 # Piotr Nisztor

22 **Cień Rosji nad wyspą Uznam. Kulisy walki z inwestycjami wokół Świnoujścia**
 # Hubert Kowalski

26 **Rok z zepsutym Żurkiem. Drwal bez siekiery**
 # Grzegorz Wszołek

PUBLICYSTYKA

30 **Operacja „sfałszowane wybory" trwa i jest śmiertelnie groźna**
 # Dawid Wildstein



32 **Nowa doktryna nuklearna USA**
 # Piotr Grochmalski

36 **Fasadowe państwo Tuska. Antyspołeczny eksperyment na Podkarpaciu**
 # Krzysztof Wołodźko

38 **Eutanazja starej Francji**
 # Mateusz Matyszkowicz

40 **Czarne chmury nad Słonecznym Brzegiem**
 # Wojciech Mucha

42 **Niemcy nadal knują z Rosją. Oto 11 dowodów**
 # Jakub Maciejewski

ŚWIAT

48 **Demokraci i socjalizm z ludzką twarzą**
 # Maciej Kożuszek

HISTORIA

64 **Równa apostołom**
 # Łukasz Czarnecki

ŚRODOWISKO

72 **Trudna przyszłość leśnego ogrodnika**
 # Jacek Liziniewicz





Miller chciał Polski, w której stacjonują rosyjskie wojska. Teraz przebiera się za patriotę
Piotr Lisiewicz

Stałe

1 Tomasz Sakiewicz

4 ZYZIU NA KONIU HYZIU

13 Jacek Liziniewicz

13 Krzysztof Karnkowski

17 Dawid Wildstein

25 Marcin Wolski

25 Tomasz Łysiak

51 ROSJA ABSURDEM STOI

57 WIEŚCI Z UE

58 KLUBY „GAZETY POLSKIEJ"

63 Tadeusz M. Płużański

63 Józef Wieczorek

67 OKIEM KAPELANA

76 SPORT

78 TECHNIKA



79 KULINARIA

80 LISTY



Reformować i ratować. Tarcza medyczna pęka na dwóch frontach
Z gen. Grzegorzem Gielerakiem rozmawia Konrad Wysocki



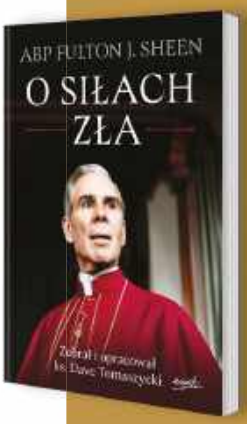
Zielone ludziki i fałszywe drony
Antoni Rybczyński



Uciszyć klechę
Piotr Dmitrowicz

eprasa.pl a51e4bc623

NOWOŚCI sklepu Gazety Polskiej i Republiki



O SIŁACH ZŁA

ABP FULTON J. SHEEN

Wybitny kaznodzieja i apologeta Kościoła ostrzega przed zagrożeniami duchowymi, które coraz wyraźniej kształtują współczesny świat.„O siłach zła" to poruszająca refleksja o naturze zła, działaniu szatana oraz potrzebie duchowej czujności. Aktualna i niezwykle ważna lektura dla każdego, kto chce lepiej zrozumieć współczesne wyzwania cywilizacyjne.

Format: 145x205 mm | **Liczba stron:** 280 | **Oprawa:** miękka ze skrzydełkami

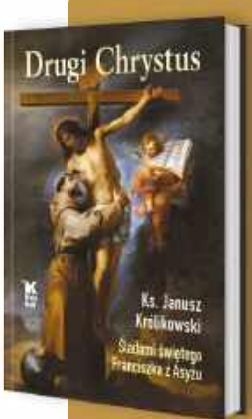


DZIENNIKI Z POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

PRACA ZBIOROWA

Wyjątkowy zbiór autentycznych zapisków siedmiorga polskich pisarzy, którzy byli świadkami Powstania Warszawskiego. To poruszający obraz codzienności czasu wojny, ukazany nie przez pryzmat bitew i strategii, lecz osobistych przeżyć, lęków, nadziei i dramatów zwykłych ludzi. „Dzienniki z Powstania Warszawskiego" pozwalają spojrzeć na jedno z najważniejszych wydarzeń w historii Polski z niezwykle ludzkiej i emocjonalnej perspektywy. Lektura obowiązkowa dla miłośników historii, literatury i świadectw epoki.

Format: 165x235 mm | **Liczba stron:** 368 | **Oprawa:** twarda

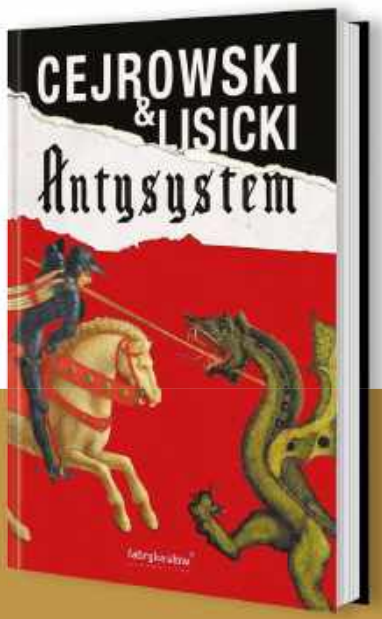


DRUGI CHRYSTUS. ŚLADAMI ŚW. FRANCISZKA Z ASYŻU

KS. JANUSZ KRÓLIKOWSKI

Inspirująca podróż śladami jednego z największych świętych Kościoła. Autor ukazuje niezwykłe życie św. Franciszka z Asyżu, jego duchowość, przesłanie i wpływ na kolejne pokolenia wiernych. To książka dla wszystkich poszukujących głębszego sensu wiary i chrześcijańskiej odpowiedzi na wyzwania współczesności.

Format: 165x235 mm | **Liczba stron:** 320 | **Oprawa:** twarda



ANTYSYSTEM

WOJCIECH CEJROWSKI, PAWEŁ LISICKI

„Antysystem" nie jest neutralnym podsumowaniem wiadomości ani próbą pogodzenia wszystkich stanowisk. Autorzy otwarcie przedstawiają własną ocenę współczesnej polityki. Krytycznie patrzą na Unię Europejską, politykę migracyjną, działania zachodnich instytucji, ograniczanie wolności słowa oraz decyzje podejmowane podczas pandemii.
To właśnie ta próba połączenia polityki, mediów, ideologii i interesów sprawia, że książka nie jest wyłącznie zapisem bieżących wydarzeniach. Jest także diagnozą systemu, który zdaniem autorów coraz częściej broni przede wszystkim samego siebie.

Format: 130x200 mm | **Liczba stron:** 384 | **Oprawa:** twarda

Zamów w naszym sklepie pod adresem **sklep.gazetapolska.pl | tel. 22 232 37 70**

Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp z o.o.
ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa
Konto **61 1240 6003 1111 0010 7516 5807**
sklep@gazetapolska.pl

SKLEP GAZETY POLSKIEJ

eprasa.pl a51e4bc623



Piotr
Lisiewicz

ZYZIU NA KONIU HYZIU

„Mamy piękną, bardzo dobrą kawę z żołędzi w Polsce” – stwierdził minister rolnictwa Stefan Krajewski, komentując możliwość wzrostu cen kawy o 300 proc. w związku z planowanymi zmianami unijnych przepisów. Szczaw i mirabelki też mamy znakomite. Jacyż oni są powtarzalni!

Ewa Siedlecka z tygodnika „Polityka” o tym, dlaczego były minister Maciej Berek miałby zostać sędzią Trybunału Konstytucyjnego: „Może to oznaczać, że za jego pośrednictwem premier będzie miał »przełożenie« na działania niedawno wybranych sędziów TK, którzy nie ustalają nic wspólnie z premierem, bo nie byli politykami”. Wiem, że wszyscy się już przyzwyczailiśmy, ale Siedlecka napisała ni mniej, ni więcej to, że premier być może postanowił popełnić przestępstwo, jakim jest „przełożenie” na sąd, czyli gwałt na niezawisłości wymiaru sprawiedliwości. Żurek koniecznie musi kazać przesłuchać w tej sprawie Siedlecką, Berka, no i oczywiście Tuska, jako podejrzanego o sprawstwo kierownicze, a może i kierowanie zorganizowaną grupą przestępczą!

W „Krytyce Politycznej” ostro o propagandzie Tuska napisał Wojtek „Żubr” Boliński: „I tak to leci: raz się nakrzyczy na ministra przed kamerami, raz się nagra tiktoka o żurku i o Żurku, innym – odwiedzi Wilkowyje, raz się zmieni nazwę CPK na bardziej przyjazny Port Polska oraz obieca »pierwszy polski statek kosmiczny«, a innym razem powoła się coś na kształt Reduty Dobrego Imienia Macieja Świrskiego, tylko w wydaniu fajnopolacko-korporacyjnym… Wciąż mnie zdumiewa, że ludzie tak często wspominający siermiężę PRL-owskiej propagandy i wiecznie odwołujący się do Barei, dzisiaj luźniutko łykają niemal to samo”. Skoro to pada nawet w „Krytyce Politycznej”, to znaczy, że Tusk faktycznie się kończy.

Rzecznik MSZ Rosji Maria Zacharowa o wypowiedzi prezydenta Karola Nawrockiego, który poparł bicie Moskala przez Ukraińców: „Nawrocki regularnie posługuje się językiem nienawiści. Typowy przykład to używanie pogardliwego słowa »Moskal«





„Mamy piękną, bardzo dobrą kawę z żołędzi w Polsce” – stwierdził minister Krajewski, komentując możliwość wzrostu cen kawy o 300 proc. Szczaw i mirabelki też mamy znakomite. Jacyż oni są powtarzalni!

System, z którym walczy Braun, nazywa się niepodległe państwo polskie. On szczerze chce ten system obalić. By wygrali antysystemowi nonkonformiści. Rosja i Niemcy.

eprasa.pl a51e4bc623

w odniesieniu do Rosjan. Kliniczna rusofobia najwyraźniej wpływa na zdolności poznawcze… Jego naród zawdzięcza swoje istnienie Armii Czerwonej. Dlatego on i jemu podobni mszczą się, wyżywając się na sowieckich pomnikach, walcząc z martwymi sowieckimi bohaterami. Współczesna Polska, w swoich obecnych granicach, jest dziełem znienawidzonych »Sowietów« i osobiście towarzysza Stalina". Tak poza wszystkim dlaczego według Zacharowej Moskal to słowo obraźliwe? My na przykład słowa Warszawiak za obraźliwe nie uważamy. Czyżby wasza historia jednak była brzydsza od naszej?

Prezydenta Nawrockiego zaatakował za tą samą wypowiedź, nazywając go podżegaczem wojennym, poseł Moskalik od Brauna. Znaczy się, przepraszam, Skalik. Naprawdę przepraszam za moją pomyłkę zarówno Skalika, jak i Zacharową!



Patrzę, z jaką częstotliwością portal Wirtualna Polska umieszcza na swoich grafikach Grzegorza Brauna. Wbija do naszej podświadomości, że to taki sam prawicowy polityk jak Jarosław Kaczyński. Media prorządowe świetnie wiedzą, że sukces Brauna to jedyna szansa na utrzymanie władzy przez Tuska. Oczywiście popieranie go przez nie tylko by mu zaszkodziło, więc pozostaje bombardować nim Polaków wizualnie. Kaczyński to wróg, no, ale już stary, mniej groźny, a naprawdę boimy się Brauna. Brauna, Brauna, Brauna. Kiedyś tak samo najbardziej bali się Giertycha, Giertycha, Giertycha. Tylko po to, by odbierał głosy Kaczyńskiemu. Ciąg dalszy tej historii wszyscy znamy.

Braun ma być antysystemowy, tylko że jego partia organizuje spotkanie z Jarosławem Bratkiewiczem, twórcą polityki resetu, najbliższym współpracownikiem Tuska i Sikorskiego. System, z którym walczy Braun, nazywa się niepodległe państwo polskie. On szczerze chce ten system obalić. By wygrali antysystemowi nonkonformiści. Rosja i Niemcy.

Swoją drogą przyznaję, że gdy słyszę ton głosu Brauna, ten jego falsecik, to niezależnie, co mówi, zbiera mi się na wymioty. To jest odruch fizjologiczny, niezależny ode mnie. Nie mam takiego odruchu przy słuchaniu wypowiedzi żadnego z innych polityków, poza jednym. Tylko patologiczny kłamca Tusk może równać się z Braunem.

Wszystko mówi o Braunie fakt, że nie było słychać jego protestów, gdy niemiecka policja skatowała Roberta Bąkiewicza i jego współpracowników z Ruchu Obrony Granic. Jakiż to wspaniały moment, by Braun zyskał parę punktów, broniąc innego polskiego radykała. Jak pięknie mógłby wygrażać antypolskim siłom. No ale nie wygrażał, bo Bąkiewicza nie pobili Amerykanie, Żydzi ani Ukraińcy, tylko Niemcy. Dlatego Braun siedział cicho jak mysz pod miotłą. Rosyjskie i niemieckie lobby mogą w Polsce rywalizować, ale zawsze przeciwko Polakom działać będą wspólnie.

Kto kieruje się tym w swoich politycznych wyborach, co polski polityk mówi, ten skończony kretyn! Żyjemy w czasach, w których sukces w polityce można osiągnąć dzięki gadaninie. Miliony Polaków zachwycają się tym, że jakiś typ w internecie okazał się bardziej wyszczekany od innego typa. To trend, który występuje na całym świecie, ale pod naszą szerokością geograficzną jest groźny jak nigdzie i może doprowadzić do LIKWIDACJI POLSKI. Dlaczego? W postkomunistycznej III RP to, co ktoś gada, nie ma żadnego znaczenia. Istotą postkomunizmu jest przejęcie przez ubekistan całej sceny politycznej, od lewa przez centrum do prawa. Ubekistan potrzebuje wyszczekanych gnojków, którzy swoją zakłamaną elokwencją zachwycą, atakując się wzajemnie, wyborców lewicowych, liberalnych i prawicowych. Cały demonstrowany przy tej okazji intelekt można o kant d…y potłuc. Jedynym kryterium oceny polityków muszą być ich CZYNY. Jak zachowywali się, gdy mieli wpływ na władzę. Po której stronie byli w momencie obalania rządu Jana Olszewskiego, a po jakiej – po zamachu w Smoleńsku. Youtuber, który od 5 lat wygłasza w sieci pogadanki oglądane przez miliony internautów, jako kandydat na polityka czy lidera opinii publicznej jest dla mnie nikim. I nie obchodzi mnie, czy jest młody, czy stary. I to, że w czasie obalania Olszewskiego nie było go na świecie, a w czasie zamachu w Smoleńsku był dzieckiem. Najpierw poczekaj na swoje momenty próby, kiedy znajdziesz się pod presją silniejszych, i wykaż się charakterem i mądrością. A wtedy zasłużysz na uznanie i zaszczyty. **GP**

FOT. WIKIPEDIA

Mirosław **Andrzejewski**

{ RODZINA WACIAKÓW }



eprasa.pl a51e4bc623

DANE 19 MLN POLAKÓW W POSIADANIU CYBERPRZESTĘPCÓW. PAŃSTWO BEZRADNE W CHWILI PRÓBY



To największy wyciek danych w polskiej historii. Łupem hakerów padły systemy należące do firmy MyDr, która należy do korporacji Docplanner, właściciela między innymi portalu Znany Lekarz. Najprawdopodobniej dane z tego portalu padły łupem przestępców, a w ich zasobach mogły się znaleźć dane medyczne, w tym recepty i dawkowanie leków. Jeżeli sprawdzą się czarne scenariusze, problem będzie miało nawet blisko 19 mln obywateli. Już wiadomo, że wyciekły też dane oficerów służb i polityków. Rząd jest bezradny. W chwili próby Ministerstwo Cyfryzacji nie umiało odpowiedzieć na najprostsze pytania. Strona BezpieczneDane.gov.pl nie działała. W tym samym czasie Krzysztof Gawkowski buduje fałszywe poczucie bezpieczeństwa.

RZĄD GRA NA PRZECZEKANIE

Jacek **Liziniewicz**
Grzegorz **Wierzchołowski**
Piotr **Nisztor**

O wycieku danych medycznych Ministerstwo Cyfryzacji dowiedziało się 12 sierpnia. Zanim jednak informacje dotarły do rządu, najprawdopodobniej przez tydzień toczyła się zakulisowa gra przestępców z prywatną firmą MyDr. Wskazywałaby na to relacja medium branżowego, które jako pierwsze poinformowało o możliwym wycieku.

Adam Haertle, redaktor naczelny serwisu Zaufana Trzecia Strona, twierdzi, że hakerzy skontaktowali się z redakcją 5 sierpnia po tym, jak nie otrzymali odpowiedzi od firmy, której ukradli dane. „Wprost powiedzieli, że nie otrzymali odpowiedzi od firmy, i udali się do dziennikarza, żeby ten skontaktował się z firmą. Najwyraźniej ocenili, że kontakt ze strony dziennikarza przyspieszy reakcję firmy, jeśli wiadomość została zignorowana lub potraktowana jako niewiarygodna. Przed kontaktem zweryfikowałem, na tyle, na ile mogłem, ujawnione informacje, i z mojej oceny wynikało, że są one wiarygodne" – powiedział Haertle portalowi Rynek Zdrowia.

Zweryfikował on informacje, wysyłając PESEL-e pięciu osób. W odpowiedzi otrzymał informacje o trzech z nich. „Wykradli bazę programu, który obsługuje placówki ochrony zdrowia, i w tych informacjach, które ujawnili do tej pory, pojawiają się dane osobowe, czyli: PESEL, imię, nazwisko, numer telefonu i skojarzone z nimi wystawione recepty z informacją, jaki lek był przepisany, w jakiej dawce, w jakim opakowaniu. Twierdzą, że ukradli te dwa rodzaje informacji, choć prawdopodobnie jest ich więcej, ale o tych

eprasa.pl a51e4bc623



CO Z DANYMI?

Hakerzy mogą okazać się dobroduszni i nie wykorzystać danych. To jednak mało prawdopodobne. Z pewnością mogą postawić ultimatum, a w razie niedotrzymania ujawnić dane. Mogą też wystawić dane na sprzedaż.

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/GAZETA POLSKA

wiemy na pewno" – powiedział portalowi Rynek Zdrowia.

Jego zdaniem hakerzy wysłali mu też informacje o bardzo znanym polskim polityku i gdyby ta informacja wyciekła, znalazłaby się na okładkach wszystkich gazet. Sprawa jest delikatna, bo hakerzy chcieli pieniędzy od firmy. Konkretnie chcieli uzyskać zlecenie na usługę.

Atak w newralgicznym momencie

Kiedy piszemy ten artykuł, nadal jest bardzo wiele niewiadomych. Zachowanie samej firmy MyDr jest bardzo wstrzemięźliwe. „Na tym etapie trwającego dochodzenia potwierdzamy, że staliśmy się celem zewnętrznego, celowego działania o charakterze przestępczym, którym objęta była część danych. Naszym priorytetem jest zapewnienie bezpieczeństwa i integralności naszych systemów oraz pełne zbadanie tej sprawy. Dane objęte incydentem najprawdopodobniej mają charakter historyczny, pochodzą z 2024 roku oraz lat wcześniejszych, i mogą nie obejmować wszystkich klientów MyDr ani wszystkich ich pacjentów" – napisała w komunikacie spółka.

Z przyczyn oczywistych nie potwierdzała skali wycieków i apelowała do mediów, aby zaczekać do pełnego zbadania sytuacji.

Władze firmy stąpają po cienkim lodzie i zdecydowanie mają o czym myśleć. Z dokumentów KRS jasno wynika, że 100 proc. udziałów w spółce MyDr posiada podmiot zagraniczny: Docplanner Subholdings B.V. z siedzibą w Holandii. Docplanner to globalny gigant technologiczny (tzw. jednorożec, wyceniany na ponad miliard dolarów), założony przez polskiego biznesmena Mariusza Gralewskiego. W Polsce grupa ta jest znana przede wszystkim jako właściciel popularnego portalu ZnanyLekarz.

Co istotne dziś, jako globalna platforma Docplanner szykuje się na giełdę; w ciągu 14 lat pozyskał od inwestorów około 500 mln dolarów, a jego wycena jako pierwszego start-upu z Polski przekroczyła miliard dolarów. Wyciek danych, a przynajmniej news na ten temat, następuje więc w newralgicznym dla grupy momencie.

Holenderska spółka holdingowa przejęła całkowitą kontrolę nad MyDr w styczniu 2023 roku. Ruch ten miał na celu zmonopolizowanie rynku – ZnanyLekarz łączył pacjentów z lekarzami, a dzięki akwizycji MyDr korporacja weszła głęboko w wewnętrzne systemy przychodni, zyskując dostęp do pełnej Elektronicznej Dokumentacji Medycznej (EDM).

Docplanner rozwijał się dzięki potężnym zastrzykom gotówki od międzynarodowych funduszy inwestycyjnych i venture capital (między innymi: Goldman Sachs, One Peak Partners, Point Nine Capital). Najbardziej wrażliwe dane medyczne Polaków znalazły się zatem w rękach prywatnej, globalnej korporacji. W sytuacji kryzysowej (jak obecny wyciek) ostateczny decydent i właściciel ukryty jest za zagraniczną spółką BV (Besloten Vennootschap – to odpowiednik polskiej spółki z o.o. w Holandii lub Belgii). Co prawda w rubryce „beneficjenci rzeczywiści" figurują członkowie zarządu (Piotr Miluski i Piotr Radecki), ale w polskim prawie ma to często miejsce, gdy zawiła struktura zagranicznego holdingu (Docplanner Subholdings BV) uniemożliwia wskazanie jednego, dominującego udziałowca fizycznego.

Holendrzy mogą odciąć spółkę córkę

Uwagę zwraca jeszcze jedno. Spółka, która w 2024 roku wygenerowała przychody rzędu 34,2 mln zł i obracała najbardziej wrażliwymi danymi połowy polskiego społeczeństwa, dysponuje kapitałem zakładowym w wysokości zaledwie 5,6 tys. zł (równowartość średniej klasy laptopa). Choć spółka z o.o. odpowiada za swoje zobowiązania całym swoim majątkiem (w tym środkami na rachunkach, wpływami z abonamentów od 12 tys. placówek, infrastrukturą czy prawami do oprogramowania, takimi jak marki EDM, Dr100, drNews), to wysokość kapitału zakładowego na tak niskim poziomie jest sygnałem alarmowym.

Cała „substancja" firmy to bowiem jej bieżący biznes. Oznacza to, że odpowiedzialność podmiotu jest strukturalnie ograniczona: jeżeli skala roszczeń 19 mln potencjalnych poszkodowanych przekroczy majątek operacyjny spółki, holenderski właściciel i stojące za nim globalne fundusze nie mają prawnego obowiązku dołożyć ani złotówki, a wierzycielom pozostanie masa upadłościowa firmy o kapitale zakładowym równym cenie laptopa (chyba że grupa, chroniąc swoje plany giełdowe, sama zdecyduje się pokryć rachunek).

Innymi słowy, firma obracająca najbardziej wrażliwymi danymi połowy narodu i generująca wielomilionowe przychody z abonamentów została skonstruowana tak, by chronić zagraniczną spółkę matkę. Zyski z polskiego rynku zostały sprywatyzowane, ale potężne ryzyko przerzucono de facto na obywateli.

eprasa.pl a51e4bc623

Dane funkcjonariuszy służb

Sytuacja jest bardzo poważna. W tym momencie może się okazać, że dane medyczne blisko 19 mln obywateli są w posiadaniu bliżej niezidentyfikowanej grupy hakerów. Z doniesień mediów branżowych wynika, że na całej sytuacji chcą oni po prostu zarobić.

Polski rząd już zapowiedział, że nie ma zamiaru podejmować negocjacji. – Ministerstwo i służby państwa nie prowadzą negocjacji z hakerami. To w Polsce nie będzie się działo. My przestępców ścigamy, z przestępcami się nie dogadujemy – powiedział, udając twardego szeryfa, Krzysztof Gawkowski, z wykształcenia politolog, który sprawuje funkcję ministra cyfryzacji.

Problem jest taki, że to hakerzy mają wszystkie karty w ręku. Polski rząd nie wie nawet dokładnie, jakimi danymi oni dysponują. Można nakreślać bardzo różne scenariusze.

Oczywiście hakerzy mogą okazać się dobroduszni i nie wykorzystać danych. To jednak mało prawdopodobne. Z pewnością mogą postawić ultimatum, a w razie niedotrzymania ujawnić dane.

Mogą też wystawić dane na sprzedaż. Wtedy bazę danych otrzymają ci, którzy najwięcej zapłacą. Państwo straciłoby jakąkolwiek kontrolę nad sytuacją, a informacje medyczne mogłyby się dostać do np. wrogich Polsce służb.

– Jestem przeciwnikiem tego, żeby nakręcić jakąś społeczną histerię. Trzeba jednak poinformować ludzi o wycieku. Dane mogą zostać użyte przez przestępców. Mając te informacje, mogą stosować socjotechnikę i wykorzystywać je do złodziejstwa. Do tego mogą pojawić się wątki szantażu – mówi nam Janusz Cieszyński, były minister cyfryzacji.

Według naszych informacji wśród osób poszkodowanych oprócz zwykłych obywateli są też na przykład żołnierze. Cyberprzestępcy zdobyli dane byłych i obecnych funkcjonariuszy służb, także wojskowych, oraz ich rodzin. Jeśli chodzi o dane, są to nie tylko numery PESEL osób korzystających z portalu ZnanyLekarz.pl, lecz także dane wrażliwe, jak: informacje o wizytach, nazwisku lekarza, numerach recept i najprawdopodobniej również o wypisanych lekach.

Do chwili oddania tego numeru do druku nie było wiadomo, czy łupem cyberprzestępców padły również numery kart kredytowych, z których opłacano prywatne wizyty.

Nie zadziałało nic

Gdy wybuchł kryzys, państwo polskie postanowiło grać na przeczekanie. Krzysztof Gawkowski wziął na siebie ciężar uspokajania społeczeństwa.

– Państwo podejmuje kolejne intensywne działania, zabezpieczając incydent cyberbezpieczeństwa związany z wyciekiem danych z prywatnej firmy MyDr. Urząd Ochrony Danych Osobowych zdecydował o przeprowadzeniu kontroli w spółce, a służby odpowiedzialne za bezpieczeństwo prowadzą operacje mające doprowadzić do wykrycia sprawców. Koordynujemy działania służb i instytucji państwa mające zabezpieczyć wykradzione dane Polek i Polaków – twierdził w oficjalnych komunikatach minister cyfryzacji.

Krzysztof Gawkowski mówił o wycieku danych 19 mln ludzi. Problem jest jednak taki, że jego słowa prostują przedstawiciele firmy. Zaprzeczają też wprost temu, co mówił minister o tym, że wykryto „błąd w oprogramowaniu i jakie elementy dotyczące procesu oraz zarządzania tym systemem nie zagrały".

Samo Ministerstwo Cyfryzacji nie ukrywało, że wiedzę czerpie z portali branżowych. Na ich podstawie wiceminister Michał Gramatyka zaczął mówić, że włamania dokonał… „Hindus".

Faktem jest, że do momentu oddania do druku tego tekstu państwo nie wiedziało dokładnie, co wypłynęło do hakerów. Pojawiły się też kuriozalne tłumaczenia bagatelizujące sprawę.

– Najważniejsza rzecz jest taka, że dzisiaj nie ma w przestrzeni publicznej tych danych. To znaczy nie są one wystawione nigdzie na sprzedaż ani nie są elementem żadnej gry. I to monitorują służby – twierdził Gawkowski.

Czy nasze dane są bezpieczne?

Jak zauważa jednak Janusz Cieszyński, takie poczucie bezpieczeństwa może się zdezaktualizować w ciągu godziny, gdy przestępcy opublikują dane lub wystawią je na sprzedaż.

– Bardzo mi się nie podobają wypowiedzi osób odpowiadających za cyberbezpieczeństwo, które próbują zaszczepić takie fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Bo tego bezpieczeństwa nie ma. Trzeba sobie jasno powiedzieć, że nie jesteśmy w dobrej sytuacji – twierdzi Janusz Cieszyński.

Jego zdaniem rząd teraz powinien skupić się na przekazaniu społeczeństwu pełnej informacji. – Naszym zdaniem każdy Polak, którego dane wyciekły, powinien dostać informację w internetowym koncie pacjenta. Bo to jest takie miejsce, które każdemu kojarzy się z ochroną zdrowia. Nie będzie więc wątpliwości, o co chodzi. To jest bardzo prosta rzecz do zrobienia i można ją wykonać bardzo szybko – mówi „GP" Janusz Cieszyński ze stowarzyszenia Rozwój Plus.

Polska dysponuje portalem BezpieczneDane.gov.pl, gdzie można sprawdzić, czy nasze informacje znajdowały się w bazie, która wyciekła do internetu. Tymczasem do chwili oddania „GP" do druku sprawdzenie nie było możliwe. Służby nadal bowiem ustalały, co wyciekło. Dobra wiadomość jest taka, że w czwartek strona już działała, bo w środę akurat uległa awarii.

W zasadzie jedyne działanie, jakie można było podjąć, to indywidualne zastrzeżenie numeru PESEL. Funkcja ta działa od lat i została wprowadzona jeszcze za czasów Prawa i Sprawiedliwości.

Rząd nie formułuje również postulatów, które miałyby naprawić błędy systemowe. Tutaj powtarza, że potrzebuje pełnego raportu instytucji odpowiedzialnych za bezpieczeństwo w sieci. Stworzenie tego dokumentu może potrwać nawet kilka miesięcy. **GP**

Polska dysponuje portalem BezpieczneDane.gov.pl, gdzie można sprawdzić, czy informacje o nas znajdowały się w bazie, która wyciekła do internetu. Tymczasem przez kilka dni sprawdzenie nie było możliwe. Służby nadal bowiem ustalały, co wyciekło.

eprasa.pl a51e4bc623

KUP TERAZ

Kup prenumeratę **e-wydania** Gazety Polskiej i czytaj najważniejsze teksty wcześniej niż inni!

Dziś niezależne dziennikarstwo to placówka frontowa. W świecie zdominowanym przez polityczne naciski, **Twoja prenumerata** to nie tylko dostęp do prawdy – **to realne wsparcie** dla redakcji, która nie boi się zadawać trudnych pytań.

Dlaczego warto wybrać wersję cyfrową?

Szybkość: Czytasz wcześniej niż inni.
Wygoda: Całe archiwum w Twoim komputerze, telefonie i tablecie.
Solidarność: Każda subskrypcja to „cegiełka” na rzecz wolnego słowa.

JAK KUPIĆ PRENUMERATĘ W 60 SEKUND

1. Wejdź na: **prenumerata.swsmedia.pl**
2. Wybierz pakiet **Gazety Polskiej.**
3. Opłać (BLIK, karta, przelew) **i czytaj natychmiast!**

GAZETA POLSKA

TWOJE WSPARCIE MA ZNACZENIE

eprasa.pl a51e4bc623



Piotr
Lisiewicz
z-ca red. naczelnego „GP”

DLA FANÓW NA PRAWICY

Miller, który zabiega dziś o popularność wśród narodowców, jest tak naprawdę tym człowiekiem, którym oni najbardziej gardzą, zatwardziałym komunistą.

MILLER CHCIAŁ POLSKI, W KTÓREJ STACJONUJĄ ROSYJSKIE WOJSKA. TERAZ PRZEBIERA SIĘ ZA PATRIOTĘ

CHCIAŁ SIŁĄ PACYFIKOWAĆ FASZYZUJĄCE HORDY, CZYLI MARSZ NIEPODLEGŁOŚCI

„Powinniśmy z całą mocą podkreślać nasze więzi z Rosją. Nawoływanie do wycofania Armii Radzieckiej z Polski niczemu dobremu nie służy”– mówił Leszek Miller za rządów Tadeusza Mazowieckiego. Miller to polityk, który odpuszczając Baltic Pipe, zrezygnował na dwa dziesięciolecia z uniezależnienia Polski od rosyjskiego gazu. Narodowe Siły Zbrojne nazywał „sojusznikami Hitlera” i „pogromcami Żydów” oraz domagał się likwidacji IPN. Protestował, że PO za słabo pałuje uczestników Marszów Niepodległości. Jest zwolennikiem małżeństw homoseksualnych i tęczowych piątków w szkołach. Mimo to ze względu na antyukraińskie wypowiedzi niektórzy kreują go na patriotę, a nawet konserwatystę. Choć gdy był premierem, nic nie zrobił w sprawie Wołynia.

Ten bolszewik nigdy nie powinien funkcjonować w życiu politycznym wolnej Polski!” – napisał o Leszku Millerze prof. Sławomir Cenckiewicz, gdy dotarł do akt dokumentujących sprawę tzw. moskiewskiej pożyczki.

Pieniądze dla Millera przesłane kanałem KGB

Jak wynikało z dokumentów, 24 listopada 1990 roku KGB sporządził notatkę dla kierownika Wydziału Międzynarodowego KC KPZR Walentina Falina w sprawie tajnej misji Leszka Millera z udziałem KGB. Podpisał ją sam Leonid Szebraszyn, legenda sowieckich

eprasa.pl a51e4bc623

tajnych służb, bliski współpracownik Władimira Kriuczkowa, wiceszef i szef KGB, który informował: „Przesyłam otrzymany przez tow. tow. Swietłowa i Wierszinina od Millera 2 listopada br. w Warszawie »pakiet wartościowy« dostarczony z Polski do Moskwy kanałem KGB ZSRS".

Pieniądze były pożyczką sowiecką na rozkręcenie działalności następczyni PZPR, czyli Socjaldemokracji RP. Pożyczka z października 1990 roku wynosiła „500 mln złotych polskich i 1 mln 232 tys. dolarów USA". Z tej sumy aż 600 tys. dolarów „moskiewskiej pożyczki" Sowieci „umorzyli na rzecz SdRP". „Tak wyglądał początek wolnej Polski i zdrowa konkurencja polityczna w Polsce w roku 1990!" – konkludował Cenckiewicz.

W latach 80. Leszek Miller pozostawał symbolem komunistycznego reżimu. O podziemnej Solidarności mówił w 1986 roku w wywiadzie dla „Trybuny Ludu": „Nawoływanie do występowania przeciwko własnemu państwu pod hasłami patriotyzmu jest próbą demoralizacji szczególnego rodzaju".

Z osadników niemieckich

Z zapisu w parafialnych księgach Kościoła Matki Bożej Pocieszenia w Żyrardowie wynika, że nowy parafianin Leszek Cezary Miller urodził się pół godziny po północy 3 lipca 1946 roku. Rok później został ochrzczony. Z książki Ludwika Stommy „Leszek Miller" dowiadujemy się, że Millerowie „wywodzą się z osadników niemieckich". „Gdy chodziłem do szkoły podstawowej, wspomnienia po wojnie były jeszcze żywe i nazwisko Miller nie wzbudzało przyjemnych reakcji" – przyznawał Miller.

Wpajając młodzieży ideologię

W 1969 roku wstąpił do PZPR. W latach 70. nazwisko Millera pojawiało się często na łamach miejscowego organu partii – „Życia Żyrardowa". „Naczelnym zadaniem ZMS jest wpajanie młodzieży ideologii socjalistycznej" – mówił. Parę miesięcy później był już sekretarzem PZPR w zakładzie. Na zdjęciu z 1974 roku odczytuje zebranym list towarzysza Edwarda Gierka do egzekutywy Komitetu Fabrycznego.

Marek Łągiewski, jego kolega z tamtych czasów, w książce Jerzego Morawskiego „Życiorysy w podczerwieni" mówił o nim: „On był ortodoksyjnym działaczem o poglądach skrajnie lewicowych. Coś ze starych towarzyszy na niego spłynęło".

Solidarność, czyli strach o rodzinę

Miller opuścił Żyrardów, bo w Komitecie Miejskim PZPR wymyślono, by zdolnego młodego działacza wysłać na studia do Wyższej Szkoły Nauk Społecznych przy Komitecie Centralnym PZPR. Po studiach, w 1977 roku, Miller rozpoczął pracę w KC – był inspektorem w kilku wydziałach, w końcu awansował do funkcji kierownika zespołu do spraw młodzieży. W KC pracował w czasie karnawału Solidarności i stanu wojennego. – Mój syn miał 10 lat. Bałem się o rodzinę – opowiadał o swoich ówczesnych obawach w „GW". W 1986 roku partia skierowała Millera do Skierniewic, gdzie został I sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego. Wiodący w Skierniewicach zakład Fumos otrzymał w 1986 roku imię Bolesława Bieruta. Pod egidą sekretarza Millera odsłonięto jego popiersie.

Sukcesy sekretarza zainteresowały Wojciecha Jaruzelskiego. Poszukiwał on młodych ludzi, którzy odświeżyliby wizerunek partii. Na spotkanie z Jaruzelskim Miller spędził najlepszych uczniów i laureatów olimpiad. Sam, w roli specjalisty od młodzieży, wrócił do Warszawy w grudniu 1988 roku. Wkrótce został sekretarzem KC i wszedł w skład Biura Politycznego.

Wypowiedzi Millera z czasów okrągłego stołu pozostają w niezmienionym tonie: „Samolikwidacja partii? Rzecz jasna, traktuję to jako żart..." („Rzeczpospolita", 30 marca 1989 roku). Miller swoją pozycję w tej partii postanowił oprzeć na partyjnym betonie. A ten twardo na niego stawiał. Jak wspominał Karol Stryjski, działacz reformatorskich PZPR-owskich struktur poziomych, gdy przeciwstawił się Millerowi, zaczął otrzymywać pogróżki – wycinanki z gazet. Były w nich cytaty ze Starego Testamentu i zarzuty, że jest żydowskiego pochodzenia.

Wyprowadzanie partyjnych pieniędzy

Po obradach okrągłego stołu, gdy liderzy partii rozpoczęli akcję zabezpieczania majątku PZPR przed przejęciem na rzecz Skarbu Państwa, Miller należał do szczupłego grona zaufanych, którzy byli wtajemniczeni w całą operację (obok Aleksandra Kwaśniewskiego, Wiesława Huszczy i Mieczysława Rakowskiego), zaplanowali ją i kontrolowali.

Wyciąganie środków z kont PZPR rozpoczęło się w 1989 roku. 24 listopada na konta bankowe w Nowym Jorku przelano 150 tys. dolarów, 28 grudnia – kolejne 75 tys. Dewizy przelewano także do banku w Pekinie. Od stycznia do kwietnia 1990 roku funkcjonariusze partyjni wyprowadzali pieniądze masowo, przeznaczając na działalność powiązanych z partią podmiotów – banków, spółek, fundacji, spółdzielni.

Miller osobiście zakładał część z nich – na przykład Agencję Gospodarczą sp. z o.o. Zasiadał w jej radzie nadzorczej. Pieniądze na rozruch firmy – około 9,5 mld starych złotych – przekazane zostały 10 stycznia 1990 roku decyzją ówczesnego I sekretarza KC PZPR Mieczysława Rakowskiego. Agencja pączkowała, tworząc 80 spółek córek. Był współinicjatorem Fundacji „Współpraca, Nauka i Kultura" – utworzonej na bazie kapitału sowieckiego, SdRP i Akademii Nauk Społecznych przy KC PZPR – oraz członkiem jej rady.

Umorzona moskiewska pożyczka

Sprawa „moskiewskiej pożyczki" rozwijała się w okresie, gdy Miller pełnił już mandat posła w Sejmie I kadencji. Włodzimierz Cimoszewicz wezwał partyjnego kolegę, by do czasu wyjaśnienia wątpliwości wstrzymał się ze złożeniem przysięgi poselskiej. Ten odmówił.

Sprawę w prokuraturze prowadził prokurator Zbigniew Goszczyński, który odmówił wystąpienia o uchylenie Millerowi immunitetu i umorzył śledztwo. Ponownie umorzył je prokurator Janusz

FOT. TOMASZ ADAMOWICZ/GAZETA POLSKA

eprasa.pl a51e4bc623

Regulski 15 października 1993 roku, w tydzień po wygraniu przez SdRP wyborów parlamentarnych. Tego samego dnia kierownictwo stołecznej prokuratury unieważniło tę decyzję, ale 8 grudnia 1993 roku prokurator Urbanek-Pindor po raz kolejny umorzyła śledztwo w części dotyczącej Millera, który został w międzyczasie nowym ministrem pracy. Po utworzeniu resortu spraw wewnętrznych i administracji Miller wygrał walkę wewnątrzpartyjną o kierowanie superministerstwem.

W 1997 roku SLD przegrał wybory, ale Miller dostał 124 tys. głosów. Został szefem opozycyjnego klubu SLD. Podjął działania mające zmienić jego „betonowy" wizerunek. W czerwcu 1997 roku w artykule zamieszczonym w „Trybunie" opowiedział się za ratyfikacją konkordatu. Miał to być gest związany z wizytą papieża. W marcu 1998 roku Miller spotkał się w Stanach Zjednoczonych z płk. Ryszardem Kuklińskim, za co został zaatakowany przez związaną z SLD prasę.

Rezygnacja z Baltic Pipe, czyli zdrada interesów Polski

Premierowanie Leszka Millera rozpoczęło się w 2001 roku od lizusowskiego materiału Tomasza Lisa w „Faktach". Palącą sprawą stała się dla Millera kwestia niskiego wzrostu – podobnie jak Stalin i Kim Dzong Il mierzył on 162 cm, notabene 5 cm mniej od wyśmiewanego z powodu wzrostu Jarosława Kaczyńskiego. Na konferencjach prasowych stawał więc obok niego jeszcze niższy Tadeusz Iwiński.

Jedną z największych kompromitacji Millera była rezygnacja z gazociągu Baltic Pipe, którego powstanie wynegocjował rząd AWS. Miller zdecydował w 2003 roku o wycofaniu się z tego projektu. Ogłosił, że gaz norweski jest za drogi, a także że będzie go za dużo dla polskich potrzeb. Politycy z państw skandynawskich przecierali oczy ze zdumienia, nie rozumiejąc, jak to możliwe, że premier europejskiego państwa rezygnuje z ewidentnie korzystnego dla tego państwa kontraktu. Powszechnie komentowano, że moskiewskie pieniądze dla Millera okazały się po latach bardzo intratną inwestycją.

Czasy „grupy trzymającej władzę"

Miller początkowo cieszył się przychylnością mediów, którym nie przeszkadzał powrót do władzy komunistycznego betonu. Ale wkrótce wybuchła afera Rywina. Obrady komisji śledczej w sprawie afery miały wielomilionową oglądalność. Na aferze najwięcej stracił Miller. Według sondaży za wiarygodnego w sprawie afery uznało Millera tylko 17 proc. Polaków.

W ostatnich latach Miller kreował się na tego, który wprowadzał Polskę do UE. Prawda jest taka, że ledwo do tego czasu dotrwał, bo był już jako premier skrajnie skompromitowany, 1 maja 2004 roku Miller uczestniczył w Dublinie w ceremonii przyjęcia 10 krajów, w tym Polski, do UE. Następnego dnia ogłosił decyzję o ustąpieniu z urzędu. Rząd Millera dobrze oceniało wówczas zaledwie 4 proc. obywateli, źle zaś aż 92 proc.!

Jedną z największych kompromitacji Millera była rezygnacja z gazociągu Baltic Pipe, którego powstanie wynegocjował rząd AWS.

Miller pluje na polskich bohaterów: sojusznicy Hitlera, pogromcy Żydów

Wypowiedzi Millera po utracie władzy stały się jeszcze bardziej „betonowe". Żołnierzy NSZ nazwał „sojusznikami Hitlera, pogromcami Żydów i orędownikami III wojny światowej". Generał Jan Podhorski, przewodniczący Rady Naczelnej Związku Żołnierzy NSZ, odpowiedział: „To upokarzające, że w wolnej Polsce polityk wywodzący się z formacji, której zbrojne ramię mordowało i prześladowało walczących o wolność, ma czelność powtarzać obelgi, jakimi przed laty w trakcie przesłuchań obrzucali nas ubeccy oprawcy".

Dużo lepsze zdanie miał Miller o Armii Czerwonej. W 2019 roku spytany o słowa Włodzimierza Czarzastego, iż żołnierze radzieccy wyzwolili Polskę, odparł: „Żołnierze radzieccy wyzwolili nas od hitleryzmu, od okupacji hitlerowskiej i od niebezpieczeństwa eksterminacji". Dodajmy, że Miller jest gorącym zwolennikiem likwidacji Instytutu Pamięci Narodowej.

Zwolennik tęczowych piątków

Wypowiedzi Millera z tego czasu zupełnie nie wskazują, by był obyczajowym konserwatystą, a nawet wręcz odwrotnie. W 2012 roku zapowiadał: „Klub SLD złoży 22 października w Sejmie projekt ustawy o świadomym rodzicielstwie, liberalizujący przepisy aborcyjne". Projekt dopuszczał przerywanie ciąży do 12. tygodnia. Miller chciał też edukacji seksualnej od pierwszej klasy szkoły podstawowej. Zaś o tęczowych piątkach mówił: „Uważam, że to jest dobry pomysł. Oswajanie się z własną płcią i z własną seksualnością, ale też tolerancja dla innych".

W 2018 roku Robert Mazurek dopytywał go w Radiu RMF, czy popiera małżeństwa homoseksualne. „Tak, oczywiście" – odparł Miller. Z kolei w TVN24 opowiadał się za silniejszą integracją europejską: „Widziałbym Unię jako Stany Zjednoczone Europy. Jeśli ma być skuteczna, musi się głębiej integrować".

Miller o Marszu Niepodległości: Faszyzujące, prawicowe hordy

Miller, który zabiega dziś o popularność wśród narodowców, nazywał ich faszyzującymi i miał pretensje do rządów PO, że za słabo pacyfikują Marsze Niepodległości: „Jest mi po prostu wstyd za władze mojego państwa, które nie potrafią sobie poradzić z awanturnikami, chuliganami, kibolami, bandytami". Dodawał też: „W tym roku silniejsze były prawicowe hordy. Jeżeli premier nie zmieni swojego poglądu, za rok te prawicowe hordy będą jeszcze silniejsze". Warto, by mieli te słowa na uwadze wszyscy uczestnicy owych marszów, gdy będą zastanawiać się, czy w polskim, czy w rosyjskim interesie Miller wygłasza swoje antyukraińskie tyrady. **GP**

eprasa.pl a51e4bc623

FELIETON

{ PAN JACEK DLA CIEBIE }



Jacek **Liziniewicz**

CHŁOPSKI PRZYKŁAD

Pewnie tytuł tego artykułu może pasować do wielu grup społecznych. Z pewnością nawet część z Państwa uzna, że to o nich. Ale tym razem chodzi mi o rolników. Rząd Donalda Tuska jest świadomy, że nie są oni mu przychylni i w zdecydowanej większości głosują na prawicę. Dlatego służą za przykład twardych działań i sprawczości rządu. Ostatnio przekonał się o tym rolnik z Opolszczyzny, który zaorał drogę stworzoną przez samorząd, którym akurat rządzi żona Borysa Budki. Nie chcę wchodzić w to, czy miał rację, czy nie. Chodzi mi jedynie o to, że zastosowano wobec niego trzymiesięczny areszt, mimo że przecież możliwości mataczenia w sprawie są żadne. Wszystko robił z otwartą przyłbicą i z poczuciem, że ma rację. Sprawę powinien rozstrzygnąć sąd. Po co tworzyć dodatkowe koszty? Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że w tym działaniu jest coś teatralnego. Ot, pokażemy swoim, jak państwo działa i jak jest twarde. Damy radość gawiedzi, która kiedyś śmiała się ze sporu Kargula i Pawlaka o trzy palce ziemi. Dodatkowo rolników możemy pokazać jako warchołów niezdolnych do poświęcenia się na rzecz dobra wspólnego. Jako tych, którzy wyciągają łapy po nie swoje. Koszmarne. Ale ćwiczone w tej koalicji. W ten sam sposób pokazywała swoją moc rolnikom przed Sejmem. Pałowano i patrzono, czy równo puchną. W areszcie skończył również rolnik, który ośmielił się protestować przed domem ministra Krajewskiego. Wszystkie te sytuacje dało się propagandowo ograć tak, aby zniszczyć wizerunek nielubianej grupy społecznej. To inwestycja, bo rząd Donalda Tuska nie zajmuje się w żaden sposób realnymi problemami wsi. Dużo obiecują, ale niemal nigdy nie realizują. Narasta wściekłość wśród rolników, bo tak trudnych czasów nie pamiętają od ponad dwóch dekad. Państwo igra sobie z bezpieczeństwem żywnościowym. To już dawno przestały być błędy. To systemowe niszczenie rolników. W każdym aspekcie. **GP**

Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że w działaniu rządu jest coś teatralnego. Ot, pokażemy swoim, jak państwo działa i jak jest twarde.

FELIETON

{ KRÓTKO I NA TEMAT }



Krzysztof **Karnkowski**

ZŁODZIEJSKIE WYŚCIGI

Mógłbym napisać mocny tekst o kolejnych aferach, ale coś mówi mi, że gdy trafiłby on w ręce Czytelników, Polska żyłaby już zupełnie innymi przekrętami. W czasach poprzedniej Platformy opozycyjni blogerzy tworzyli „listy afer Platformy Obywatelskiej", szły one w setki pozycji, by później, po zmianie władzy, może kilka, może kilkanaście z nich miało jakieś krótkie drugie życie medialne, o sądowym czy administracyjnym nie wspominając. Pamiętam i z tego, co widzę ze sfrustrowanych komentarzy, jak to w Sejmie przekazano wyniki wielkiego audytu rządów Tuska i Kopacz, po czym potwierdziło się przysłowie o dużej chmurze i małym deszczu. Wkrótce potem mocno zadaniowani publicyści związani z KO, a raczej z pewnym mecenasem, tworzyć zaczęli kompletnie dęte wyliczanki skandali PiS-owskich. Przejęta prokuratura za niektóre z nich nawet się wzięła, ośmieszając przy okazji siebie i państwo, ale psując krew i wizerunek kilku politykom, a zarazem bardzo mocno mącąc w wielu głowach. Nie uwierzą Państwo, ale kiedyś spotkałem na ulicy dziewczynę, która autentycznie rozpłakała się, mówiąc o tym, że Ziobro nakradł i uciekł. Powiedziałem jej, że przez żadnego polityka nie warto płakać, bo co jej miałem powiedzieć? Zapłakać nad nią samą chyba tylko. Tak czy inaczej dziś weszliśmy w nowy rozdział totalnej demolki i rozkradania państwa na poziomie wcześniej nieznanym. Pomoc dla powodzian? Bierzemy. KPO? Bierzemy. Długa lista… Z władzą ścigają się lekarze, oczywiście niektórzy, ale sporo ich, akurat tyle, by gębę dorobić wszystkim. Jeśli zmieni się władza, będzie tyle pożarów do gaszenia, że pojawi się pokusa odpuszczenia rozliczeń. Jednak bez nich ci sami cwaniacy, bardziej biegli w kłamstwie i dzielący się chętnie z posiadaczami aparatury do dystrybucji tego kłamstwa, wrócą kolejny raz. Chyba że już nie będą mieli po co wracać, bo wszystko zdążą ukraść już w tej kadencji. **GP**

Dziś weszliśmy w nowy rozdział totalnej demolki i rozkradania państwa na poziomie wcześniej nieznanym. Pomoc dla powodzian? Bierzemy. KPO? Bierzemy...

eprasa.pl a51e4bc623



Grzegorz
Wierzchołowski
RED. NACZELNY NIEZALEŻNA.PL

ROSJA I MICHNIK. NIEZNANE SPOTKANIA RESECIARZA OD BRAUNA

PODWÓJNA GRA

Jarosław Bratkiewicz, były dyrektor polityczny MSZ i jeden z głównych architektów prorosyjskiego resetu z czasów pierwszych rządów Donalda Tuska, znów budzi kontrowersje, zacieśniając współpracę z politykami partii Grzegorza Brauna. „GP" ujawnia nieznane dotąd spotkania Bratkiewicza z przedstawicielami kremlowskiego reżimu tuż przed aneksją Krymu oraz fakt wieloletniej, zażyłej znajomości z redaktorem naczelnym „Gazety Wyborczej" Adamem Michnikiem. Jak absolwent sowieckiego MGIMO łączy w swoim życiorysie bliskość z Michnikiem i Sikorskim, a jednocześnie środowiskiem Brauna i „Myśli Polskiej"?

W sierpniu bieżącego roku politycy i komentatorzy z prawej strony sceny politycznej zwrócili uwagę, że głównym gościem zapowiedzianego w Szczecinie spotkania, na którego plakacie widnieje logo Konfederacji Korony Polskiej, został Jarosław Bratkiewicz, główny architekt resetu z Rosją za czasów pierwszych rządów Donalda Tuska.

Nie jest to pierwszy przypadek, gdy były dyrektor Departamentu Wschodniego

eprasa.pl a51e4bc623



NA DWIE STRONY

W 2026 roku Bratkiewicz (na zdj. z lewej) współpracuje już z Braunem i „Myślą Polską". Tu naczelny „Myśli Polskiej" Jan Engelgard wręcza mu swoją książkę.

FOT. FACEBOOK

i dyrektor polityczny MSZ pojawia się w podobnym gronie. Na początku tego roku Bratkiewicz wystąpił w internetowym programie w towarzystwie Mateusza Piskorskiego – prokremlowskiego polityka oskarżonego o szpiegostwo na rzecz rosyjskiego wywiadu. W trakcie rozmowy Bratkiewicz otwarcie bronił dawnej polityki ustępstw. Omawiając działania z czasów „resetu", mówił: „Ja za te grzechy nie żałuję, uważam, że to było przedsięwzięcie jak najbardziej potrzebne i do pewnego momentu udane". Dodawał również, że Polska nie powinna się popisywać antyrosyjskością i trzeba wziąć „całkowity rozbrat z rusofobią, z taką zapiekłą antyrosyjskością".

Aktywność Bratkiewicza dopełnia jego współpraca z prorosyjską prasą nacjonalistyczną. Prof. Sławomir Cenckiewicz, były szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego, zwrócił uwagę, że dyplomata ten „pisze raz w miesiącu kolejne teksty skandaliczne w »Myśli Polskiej«", w których nierzadko z prorosyjskich pozycji wykłada kulisy dawnej polityki Radosława Sikorskiego i Donalda Tuska wobec Moskwy. Obecność człowieka, który przez lata kreował politykę wschodnią państwa polskiego w środowiskach skrajnie przychylnych Kremlowi, sprowokowała Cenckiewicza do publicznego apelu wobec polityków opozycji i służb państwowych o reakcję na działania tego byłego urzędnika.

Kuluarowe spotkania w cieniu Majdanu

Działalność Jarosława Bratkiewicza została szeroko i dokładnie opisana w serialu „Reset", a następnie w książkach „Zgoda" i „Reset". Ale „Gazeta Polska" ustaliła jeszcze kilka innych nieznanych faktów. Otóż niedługo przed aneksją Krymu przez Rosję Bratkiewicz parokrotnie wizytował Rosję – a spotkania te nigdy nie były w Polsce opisywane. Na przykład na początku czerwca 2013 roku, na pół roku przed kluczowym szczytem Partnerstwa Wschodniego w Wilnie, w Moskwie odbyły się konsultacje wysokiego szczebla pomiędzy dyrektorami politycznymi MSZ państw Grupy Wyszehradzkiej (V4) a stroną rosyjską. Przy tej okazji 6 czerwca 2013 roku Bratkiewicz wziął udział w ekspercko-dyplomatycznym spotkaniu zorganizowanym w gmachu Moskiewskiego Państwowego Instytutu Stosunków Międzynarodowych (MGIMO). Dla dyrektora politycznego polskiego MSZ był to powrót do czasów studenckich – w 1980 roku ukończył tę sowiecką kuźnię kadr dyplomatycznych z wyróżnieniem. Temat rozmów w Moskwie to: „Rosja, UE i kraje Grupy Wyszehradzkiej: możliwości współpracy". Gospodarzy reprezentowali m.in. niezwykle wpływowy rektor MGIMO Anatolij Torkunow oraz Andriej Kortunow, dyrektor państwowego think tanku RSMD. Co istotne, w konsultacjach wzięli udział także eksperci Rosyjskiego Instytutu Badań Strategicznych (RISI) – ośrodka analitycznego podlegającego Administracji Prezydenta FR i bezpośrednio powiązanego z rosyjskim wywiadem zagranicznym (SWR). Zgodnie z komunikatem MGIMO celem spotkania było m.in. przedstawienie wizji miejsca Europy Wschodniej w partnerstwie Rosji i Unii Europejskiej. Spotkanie miało również na celu zdefiniowanie barier hamujących dialog między Moskwą a stolicami wyszehradzkimi oraz próbę wypracowania formuły kompromisu w relacjach Rosja–UE przed planowanym na jesień 2013 roku szczytem w Wilnie.

Do jeszcze bardziej zastanawiającego spotkania z udziałem polskiego dyplomaty doszło kilka miesięcy później, w dniach 2–5 lutego 2014 roku. W Kijowie trwało absolutne apogeum rewolucji godności (Euromajdanu), a w brutalnych starciach z milicją padły już ofiary śmiertelne. Zaledwie kilkanaście dni przed ucieczką Wiktora Janukowycza i początkiem aneksji Krymu Bratkiewicz udał się do Nowogrodu Wielkiego w Federacji Rosyjskiej. Reprezentował Polskę w międzynarodowej młodzieżowej szkole zimowej zatytułowanej „Polityka Rosji, NATO i UE w Europie Wschodniej: konkurencyjne czy wspólne sąsiedztwo?". Spotkanie zorganizowane zostało m.in. przez Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia, lokalną administrację nowogrodzką i niemiecki think tank finansowany z budżetu federalnego, czyli Fundację Friedricha Eberta. Lista uczestników oraz partnerów tego wydarzenia składała się z kilku zachodnich dyplomatów (w tym reprezentantów Biura Informacyjnego NATO w Moskwie) oraz – przede wszystkim – z przedstawicieli rosyjskich instytucji. Informacyjnego wsparcia udzielała znana z wiernego powielania przekazu Kremla agencja REGNUM. Przy jednym stole z dyrektorem politycznym polskiego MSZ zasiedli m.in. Siergiej Jermakow, naczelnik sektora we wspomnianym wywiadowczym instytucie RISI, oraz redaktor naczelny REGNUM Modest Kolerow – były doradca

eprasa.pl a51e4bc623



FOT. YOUTUBE

Dobrzy znajomi Bratkiewicza, czyli Adam Michnik i Radosław Sikorski, w dyskusji...

Władimira Putina, znany z radykalnie antypolskich i imperialnych poglądów.

Lokalny portal Novgorod.ru opublikował 4 lutego relację z wystąpienia Bratkiewicza pod wymownym tytułem: „MSZ Polski: Nie chce się, przekraczając granicę UE, wpadać w otchłań". Odnosząc się do odrzucenia przez administrację Janukowycza unijnej umowy, polski dyplomata wypowiadał się w sposób niezwykle zdystansowany do ówczesnych dramatycznych losów ukraińskiego społeczeństwa. Portal zacytował jego słowa: „Jeśli Ukraina dokonała takiego wyboru, pozostawiamy to Ukrainie. Zaproponowaliśmy im stowarzyszenie, oni go nie wzięli. To smutne, ale nic więcej".

Pod patronatem naczelnego z Czerskiej

Po utracie władzy przez koalicję PO-PSL i odejściu z Ministerstwa Spraw Zagranicznych Jarosław Bratkiewicz odnalazł bezpieczną przystań na łamach „Gazety Wyborczej".

W październiku 2023 roku opublikował tam esej pod tytułem: „Tłum nie rozumie ni w ząb, co to jest patriotyzm, racja stanu, suwerenność". Tekst ten stanowił niezwykle agresywny atak na wyborców obozu prawicowego, których autor wprost dehumanizował. Były dyrektor polityczny MSZ określił polityków i sympatyków prawicy mianem „małpoludziej czeredy", „rozjuszonych koczkodanów" oraz „treserów świń". Ubolewał nad ich „nieuctwem, ciemnotą, prząśnym narcyzmem szlachty", a także twierdził, że obóz Zjednoczonej Prawicy zgromadził „ofermy, lebiegi i strachajły czasów PRL-owskich". Choć ten rynsztokowy język wywołał konsternację nawet w obozie liberalnym – przed obelgami ostrzegała m.in. Dominika Wielowieyska – linia Adama Michnika pozostała niezmienna. Naczelny gazety z pełnym przekonaniem opatrzył artykuł swoją osobistą rekomendacją.

Niedługo przed aneksją Krymu przez Rosję Bratkiewicz parokrotnie wizytował Rosję – a spotkania te nigdy nie były w Polsce opisywane.

W 2026 roku Bratkiewicz współpracuje już z Braunem i „Myślą Polską", ale jeszcze w 2025 roku nakładem wydawnictwa Universitas ukazała się książka Jarosława Bratkiewicza zatytułowana „Wojny domowe. Dwie i pół", wydana pod szyldem... „Poleca Adam Michnik". Bratkiewicz forsuje w niej pseudohistoryczną tezę, że w Polsce toczy się wojna między siłami „nowoczesności" (do których zalicza elity III RP) a prawicą i tradycjonalistami. Tych ostatnich opisuje jako „żywioł ludowy, wymodelowany przez schedę eurazjatycką, moskiewską". Nawiasem mówiąc, widzimy tu klasyczny mechanizm odwracania pojęć – absolwent sowieckiego MGIMO w Moskwie i ideolog prorosyjskiego resetu, wspierany przez naczelnego z Czerskiej, oskarża polską prawicę o wschodnią mentalność.

Stara znajomość

Sięgające aż do 2025 roku zażyłe kontakty obecnego autorytetu Brauna z Michnikiem mają korzenie jeszcze w latach 80. i 90. Dowodzi tego wywiad, którego Adam Michnik udzielił 2 marca 2024 roku na łamach rosyjskojęzycznego portalu „Nowaja Gazieta. Bałtija". Przebywający wówczas w Rydze redaktor naczelny „Wyborczej" wspominał swoje wizyty na Łotwie w latach 90. w zaskakujących słowach: „I bywałem też we wspaniałej Jurmale, ponieważ mój kolega z »Solidarności« Jarosław Bratkiewicz był ambasadorem Polski na Łotwie, to on mnie zapraszał". Michnik celowo pominął fakt, że Bratkiewicz to przede wszystkim absolwent moskiewskiej uczelni dyplomatycznej z czasów Breżniewa, ubierając go przed czytelnikami zza wschodniej granicy w mitologizujące szaty „kolegi z Solidarności". Dodajmy, że w latach 1996–2001, gdy Bratkiewicz był ambasadorem RP, ekskluzywny kurort w Jurmale wciąż stanowił mekkę rosyjskich i postsowieckich elit.

Michnik aktywnie promował też nazwisko Bratkiewicza na rosyjskim rynku jako wybitnego analityka. W maju 2015 roku rosyjski portal Gefter.ru opublikował esej, w którym naczelny „Gazety Wyborczej" wprost podpierał się autorytetem swojego kolegi. Pisał: „Jarosław Bratkiewicz, autor badania o wielkoruskim szowinizmie, zwrócił uwagę na to, że Stalina z Iwanem Groźnym łączyło dążenie do pełnej centralizacji władzy; ponadto, jego zdaniem, obaj wymagali od urzędników pełnej lojalności...". **GP**

eprasa.pl a51e4bc623

FELIETON

{ LUBIĘ DINOZAURY }

POLACY, NIC SIĘ NIE STAŁO!



Dawid **Wildstein**

Minister Gawkowski z rozbrajającą szczerością stwierdził, że Polacy mogą „czuć się spokojni" mimo wycieku danych osobowych prawie 20 milionów z nich, ponieważ „nie ma ich w przestrzeni publicznej" oraz „nie są wystawione na sprzedaż". Jak od razu zauważyli internauci, to tak, jakby policja uspokajała ofiarę włamania, że nie musi się ona niczym przejmować, bo jej rzeczy jeszcze nie zostały wystawione na sprzedaż. Pomijając jednak kuriozalność tłumaczeń Gawkowskiego, to za jakich idiotów, pisząc dosadnie, musi mieć on swoich odbiorców, warto zauważyć, że tego typu „strategia" jest typowa dla obecnej władzy. Uśmiechniętą ekipę cechuje trwała niezdolność do realnego, systemowego rozwiązywania problemów. Nieważne, co właściwie się dzieje, ich odpowiedź jest prawie zawsze ta sama – a można ją sprowadzić do słynnego sloganu: „Polacy, nic się nie stało". Nic się nie stało, bo dane nie zostały jeszcze sprzedane. Nic się nie stało, bo rakieta nie spadła na miasto, tylko w szczere pole. Nic się nie stało, bo Owsiak zajmie się poszkodowanymi przez powódź (zresztą widzimy dziś, czym się to skończyło). Czasem przybiera to formy wyjątkowo groteskowe, jak opisane już tłumaczenia Gawkowskiego czy zapewnienia Tuska, że jeszcze kilka kilometrów i na pewno tę rakietę by strącono, czasem rządzący brzmią bardziej „wiarygodnie". Jednak zasada pozostaje ta sama – władza działa zawsze post factum. Trwa na zasadzie – a nuż się poszczęści i nic się nie stanie. Zaś w sytuacjach kryzysowych jedyną ich odpowiedzią jest pojawienie się niejako ex nihilo Donalda Tuska. Ten przypomina sobie o tym, że to jednak on rządzi w Polsce, i po raz tysięczny się wścieka, zaś wierne mu media usiłują przykryć kompromitację władzy, rozpętując kolejną propagandową hucpę – dziś do tego wykorzystywany jest casus Romanowskiego. Tego typu strategia władzy może się udać tylko w czasach spokoju i prosperity. W tak dynamicznym momencie dziejowym jak obecny doprowadzić może nawet do upadku państwa. **GP**

REKLAMA

KLUBY GAZETY POLSKIEJ

BUDUJEMY

SPOŁECZEŃSTWO OBYWATELSKIE

ZESKANUJ KOD

WESPRZYJ JEDNYM KLIKNIĘCIEM

TWOJE WSPARCIE MA OGROMNE ZNACZENIE | *Dziękujemy za Wasze wsparcie!*

DAROWIZNA - Polska
74 2490 0005 0000 4500 8274 0046

DAROWIZNA - zagranica
PL 41 2490 0005 0000 4600 2469 2784
SWIFT CODE – ALBPPLPW

WESPRZYJ TERAZ

WWW WSPARCIE.KLUBYGP.PL

Fundacja Klubów „Gazety Polskiej", ul. Bracka 15, 31-005 Kraków

eprasa.pl a51e4bc623



Piotr **Nisztor**

KAZACHSKIE TAJEMNICE NAFTOWEGO BIZNESU KRAUZEGO

CIEŃ FRANCUSKIEGO WYWIADU, ZŁOŻA SHYRAK I 15 TYS. INWESTORÓW, KTÓRZY STRACILI 3 MLD ZŁ

Od dwóch lat śledztwo dotyczące podejrzenia wielomiliardowych nadużyć i oszustw w Petrolinveście pozostaje zawieszone. Władze spółki oskarżają prokuraturę o tuszowanie afery. Z kolei śledczy nie mogą uzyskać kluczowych materiałów między innymi z Kazachstanu. Bez nich – jak wynika z nieoficjalnych informacji „GP" – nie da się zweryfikować wartości posiadanych złóż, na których wydobycie spółka posiadała koncesje, a także ustalić, czy środki uzyskane od inwestorów faktycznie przeznaczono na prace poszukiwawcze.

Przez lata pozostawał jednym z najbardziej wpływowych ludzi w Polsce. Posiadał doskonałe relacje na szczytach władzy, finansował sport i kulturę. Swego czasu majątek 70-letniego dziś Ryszarda Krauzego, kontrolującego swoje imperium z legendarnego 40. piętra warszawskiego hotelu Marriott (dziś to hotel Presidential), był szacowany nawet na kilka miliardów złotych. Posiadał spółki z branży farmaceutycznej, deweloperskiej, finansowej czy IT.

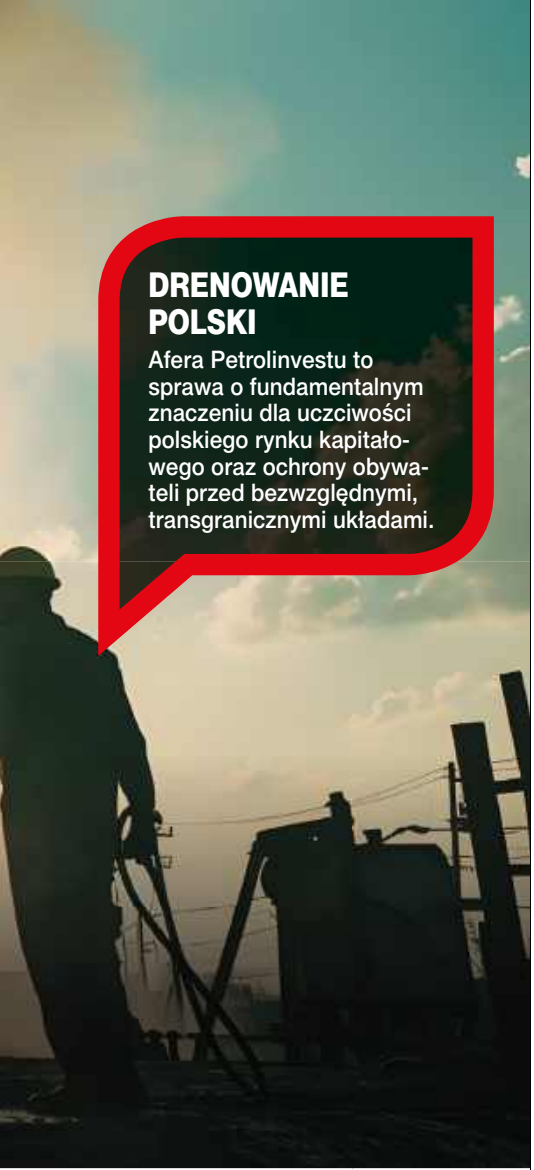
Jednak to dzięki inwestycji w sektor naftowy miał stać się multimiliarderem i międzynarodowym graczem na tym rynku. Kontrolowana przez niego spółka Petrolinvest zdobyła bowiem koncesje na poszukiwania ropy naftowej w Kazachstanie i Rosji. Spekulowano, że znajdują się tam złoża o wartości wielu miliardów dolarów.

Imperium Krauzego się chwieje

Potrzebne były jednak ogromne pieniądze na kolejne odwierty. Środki na to pochodziły od akcjonariuszy, którzy uwierzyli w naftowy biznes Krauzego, masowo rzucając się do zakupu akcji Petrolinvestu. Jednak poszukiwania ropy kończyły się fiaskiem, a wartość spółki zaczęła spadać. Z kolei w mediach zaczęły pojawiać się informacje o związkach biznesmena z Federacją Rosyjską i roli tamtejszych służb w naftowym interesie, który niemal od początku był monitorowany przez Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego (ABW).

Inwestorzy zamiast astronomicznych zysków zaczęli więc liczyć straty. Ostatecznie Petrolinvest został zdjęty z giełdy, imperium Krauzego upadło, a sam biznesmen wycofał się ze spółki i wypadł z listy najbogatszych Polaków. Obecnie gdański

eprasa.pl a51e4bc623



DRENOWANIE POLSKI

Afera Petrolinvestu to sprawa o fundamentalnym znaczeniu dla uczciwości polskiego rynku kapitałowego oraz ochrony obywateli przed bezwzględnymi, transgranicznymi układami.

FOT. ADOBE STOCK/AI

sąd po raz kolejny rozpatruje wniosek o upadłość Petrolinvestu.

Od kilku lat wielowątkowe i skomplikowane śledztwo w sprawie działalności tego naftowego przedsiębiorstwa prowadzi też Prokuratura Regionalna w Lublinie. Z ustaleń „GP" wynika, że chodzi o podejrzenie nadużyć i oszustw liczonych w miliardach złotych, do jakich miało dojść w latach 2007–2022. Jednym z badanych wątków jest podejrzenie oszustwa na szkodę 15 tys. inwestorów, którzy nabyli akcje Petrolinvestu, tracąc na tym przynajmniej 3 mld zł.

Według obecnych władz spółki mieli być oni wprowadzeni w błąd, a uzyskane od nich pieniądze zamiast na odwierty, o których publicznie informowano, miały zostać wyprowadzone.

Kolejny wątek dotyczy wątpliwości wokół wyprzedaży najcenniejszych aktywów Petrolinvestu, w tym między innymi trzech czwartych złoża Shyrak w Kazachstanie, którego wartość renomowana kanadyjska firma doradcza wyceniła na 100 mld dolarów. Śledczy sprawdzają, czy było to działanie na szkodę Petrolinvestu. Jednak wątpliwości budzi sama wartość posiadanych przez naftowe przedsiębiorstwo złóż.

Czy więc działalność Petrolinvestu to wielkie oszustwo, czy spółka została zniszczona, aby przejąć warte miliardy złoża i środki od inwestorów? Śledczy, aby to sprawdzić, wystąpili z wnioskami o pomoc prawną do kilku krajów, w tym do Kazachstanu. Od czerwca 2024 roku postępowanie – w oczekiwaniu na odpowiedź – pozostaje zawieszone.

Władze Petrolinvestu (spółka ma w śledztwie status pokrzywdzonego) twierdzą, że decyzja ta to de facto storpedowanie śledztwa. Z ustaleń „GP" wynika, że wątpliwości może budzić również fakt, że w aktach postępowania nie ma kluczowych materiałów zgromadzonych na temat naftowego przedsiębiorstwa przez ABW, w tym tych wskazujących na rolę francuskiego wywiadu (DGSE), który aktywnie chroni interesy francuskich przedsiębiorstw wydobywających ropę i gaz w Kazachstanie.

Naftowa gorączka wśród inwestorów

16 lipca 2007 roku – tego dnia spółka Petrolinvest, perła w koronie Ryszarda Krauzego, zadebiutowała na Giełdzie Papierów Wartościowych. Kontrolowała cztery spółki w Kazachstanie posiadające koncesje na poszukiwania i wydobycie ropy i gazu. Obejmowały one – jak wskazywały media w Polsce – bardzo bogate złoże Shyrak, a także między innymi złoża Emba i Żubantam.

To wywołało wśród inwestorów niemal naftową gorączkę, a Krauze został okrzyknięty polskim szejkiem. Cena emisyjna akcji Petrolinvestu wynosiła 227 zł. Jednak bardzo szybko poszybowała, osiągając na zamknięcie debiutu 590 zł. Tylko w tym jednym dniu majątek Krauzego urósł o miliard złotych.

To był jednak dopiero początek. Apetyty inwestorów rozbudziły pierwsze odwierty, choćby odkrycie niewielkich pokładów ropy na złożu Żubantam. W rezultacie w szczytowym momencie akcje Petrolinvestu były warte 842 zł!

W marcu 2010 roku partnerem naftowego przedsiębiorstwa przy poszukiwaniach i wydobyciu ropy w Kazachstanie został francuski koncern TotalEnergies. Pół roku później na czele Petrolinvestu stanął francuski menedżer z polskim paszportem Bertrand Le Guern (wcześniej krótko zasiadał w jego radzie nadzorczej), a spółka z czasem zaczęła zacieśniać współpracę z Totalem.

Jednocześnie Petrolinvest zaczął mieć coraz większe problemy finansowe. W niecałe pięć lat od giełdowego debiutu wartość spółki spadła o ponad 99 proc. Na przełomie maja i czerwca 2012 roku cena akcji wynosiła mniej niż 1 zł! Ostatecznie pod koniec czerwca 2017 roku Komisja Nadzoru Finansowego zawiesiła obrót giełdowy akcjami spółki. Wówczas ich kurs wynosił poniżej 2 zł.

– Tuż przed tą decyzją wezwany na posiedzenie komisji został prezes Bertrand Le Guern. Zataił wówczas zamówiony przez siebie raport McDaniel [McDaniel & Associates Consultants to renomowana kanadyjska spółka doradcza, specjalizująca się w rynku naftowym – przyp. red.] z marca 2017 roku, wskazujący, że posiadane złoża w Kazachstanie są warte 100 mld dolarów. Zamiast tego przedstawił spółkę jako „bankruta" – twierdzi w rozmowie z „GP" Ryszard Małecki, który w listopadzie 2020 roku trafił do zarządu Petrolinvestu.

Inwestorzy liczą na odzyskanie pieniędzy

To właśnie Małecki zaczął porządkować sprawy znajdującego się na skraju bankructwa naftowego przedsiębiorstwa. – Od początku miałem poważne problemy z uzyskaniem dokumentacji dotyczącej warunków i posiadanych koncesji. Le Guern ukrywał je przed członkami zarządu i rady nadzorczej – twierdzi prezes Małecki, który powiadomił o tym prokuraturę.

Złożył też dwa inne zawiadomienia dotyczące podejrzenia wyprowadzenia z Petrolinvestu 1,6 mld zł, które miały sfinansować prace poszukiwawcze w Kazachstanie, a także wyprowadzenie ze spółki aktywów wartych miliardy złotych. Chodziło o większość złoża Shyrak, którego wartość McDaniel & Associates Consultants wycenił na 100 mld dolarów amerykańskich.

eprasa.pl a51e4bc623

– Le Guern bez zgody akcjonariuszy i walnego zgromadzenia akcjonariuszy oddał bez wierceń i opróbowania [systematycznego badania próbek ze złoża – przyp. red.] trzy czwarte tej koncesji, w którą włożyliśmy kilkaset milionów złotych – twierdzi prezes Petrolinvestu.

Przyznaje również, że koncesja na posiadaną jedną czwartą złoża Shyrak została zawieszona w 2023 roku, a kazachskie ministerstwo energii nie odpowiedziało na złożone w terminie wnioski spółki o jej przedłużenie.

Śledztwo na podstawie między innymi zawiadomień złożonych przez Małeckiego od maja 2021 roku prowadzi Prokuratura Regionalna w Lublinie. Zgromadzone materiały liczą 100 tomów akt. Jak ustaliła „GP" badane są cztery wątki.

Pierwszy dotyczy okoliczności przyznania i nadzoru nad realizacją przez Petrolinvest umowy kredytowej z konsorcjum: PKO BP i Banku Gospodarstwa Krajowego. Na początku 2007 roku te dwa podmioty udzieliły naftowej spółce 300 mln zł pożyczki na poszukiwania ropy. Potem umowa ta była zmieniana. Działania śledczych obejmują też okres, w którym na czele BGK stał Ireneusz Fąfara (lata 2007–2009), obecnie prezes Orlenu.

Kluczowy wątek prowadzonego postępowania dotyczy jednak wprowadzenia w błąd akcjonariuszy, którzy na inwestycji w Petrolinvest mieli stracić przynajmniej 3 mld zł. W sumie poszkodowanych jest 15 tys. mniejszościowych akcjonariuszy, którzy liczą, że uda im się odzyskać przynajmniej część zainwestowanych pieniędzy.

– Sprawa Petrolinvestu to nie jest zwykłe niepowodzenie biznesowe. Przez ponad dwie dekady tysiące polskich akcjonariuszy mniejszościowych było systematycznie oszukiwanych. Karmieni oficjalnymi komunikatami o rychłym sukcesie, „wielkiej ropie" i rychłym uruchomieniu wydobycia, Polacy inwestowali w akcje spółki setki milionów złotych. W rzeczywistości, pod pozorem kosztownych poszukiwań i odwiertów, przez lata dochodziło do metodycznego drenowania spółki – mówi „GP" Marek Cyrulik z Porozumienia Akcjonariuszy Mniejszościowych (PAM) Petrolinvest SA.

Wnioski o pomoc prawną do Kazachstanu

Kolejnym wątkiem śledztwa jest właśnie podejrzenie wyprowadzenia z Petrolinvestu majątku i środków o łącznej wartości przynajmniej 2,1 mld zł. Chodzi między innymi o część złóż w Kazachstanie, a także o pieniądze przeznaczone na odwierty. Prezes Petrolinvestu twierdzi, że odpowiedzialność za to ponoszą właśnie poprzednicy, w tym głównie Le Guern.

Francuzom mogło zależeć na sabotowaniu działań Petrolinvestu w Kazachstanie, niedopuszczeniu do eksploatacji, a wręcz przejęciu części aktywów, aby chronić interes swojego narodowego koncernu Total.

– Przez trzy lata śledztwa prokuratura nie wezwała go na przesłuchanie, podobnie jak byłego wiceprezesa spółki. Obydwaj zeznania złożyli dopiero po naszych licznych skargach do Prokuratury Krajowej i Ministerstwa Sprawiedliwości – zżyma się Małecki.

Byli menedżerowie naftowej spółki byli pytani między innymi o opiewające na 1,6 mld zł przelewy środków przeznaczonych na poszukiwania ropy w Kazachstanie. Po tym przesłuchaniu lubelska prokuratura zobowiązała Le Guerna do przedstawienia przelewów i wyciągów z kont. – Dokumentów tych nigdy nie przedstawił, a prokuratura bardzo szybko zawiesiła śledztwo – mówi Małecki.

Lubelscy śledczy decyzję w tej sprawie podjęli 27 czerwca 2024 roku. „Przedmiotowe śledztwo (…) zostało zawieszone wobec długotrwałej przeszkody uniemożliwiającej prowadzenie postępowania, tj. między innymi konieczność oczekiwania na realizację europejskiego nakazu dochodzeniowego oraz realizację wniosków o międzynarodową pomoc prawną przez władze państw leżących poza Unią Europejską, konieczność oczekiwania na sporządzenie opinii biegłego z zakresu rachunkowości, konieczność oczekiwania na sporządzenie analizy przepływów na kilkuset rachunkach bankowych" – napisała w odpowiedzi na pytania „GP" Beata Syk-Jankowska, rzecznik prasowy Prokuratury Regionalnej w Lublinie.

Jeden z wniosków trafił do Kazachstanu. Nasze źródła związane z prokuraturą twierdzą, że wnioskowane materiały są kluczowe dla prowadzonego śledztwa. Prokuratura chce bowiem ustalić, czy faktycznie doszło do wierceń, o których informowała spółka, oraz czy złoża, których koncesje na wydobycie posiadał lub nadal posiada Petrolinvest, są bogate w ropę i gaz.

– Bez materiałów z Kazachstanu nie da się ustalić tych kwestii. Dopiero na ich podstawie będzie można dalej prowadzić śledztwo – mówi „GP" osoba znająca materiały śledztwa. Przyznaje jednak, że szanse na otrzymanie dokumentów są niewielkie, a to oznacza, że śledztwo – przynajmniej w większości wątków – może być w przyszłości umorzone.

Obecne władze Petrolinvestu złożyły zażalenie na decyzję prokuratury o zawieszeniu postępowania. Zostało ono jednak odrzucone przez sąd. Zresztą kierowana przez Małeckiego spółka oskarża prokuraturę o rzekome tuszowanie afery.

Prezes Petrolinvest: „Nie jesteśmy bankrutami"

Bertrand Le Guern na czele naftowego przedsiębiorstwa stał przez 12 lat, do marca 2022 roku. Do dziś Francuz z polskim paszportem figuruje jako beneficjent rzeczywisty naftowego przedsiębiorstwa.

To właśnie Le Guern w 2022 roku złożył do Sądu Rejonowego Gdańsk-Północ wniosek o… upadłość Petrolinvestu. Powodem było roszczenie wobec przedsiębiorstwa na miliony złotych. Sprawa została oddalona 10 kwietnia 2025 roku.

Nieco ponad tydzień później, 18 kwietnia, do tego samego sądu wpłynął wniosek o ogłoszenie upadłości, złożony przez

eprasa.pl a51e4bc623

jedną z warszawskich spółek, występującą jako wierzyciel Petrolinvestu. „Sprawa obecnie znajduje się na etapie uzupełnienia informacji przez tymczasowego nadzorcę sądowego w zakresie szacowanych kosztów postępowania upadłościowego. (…) Postanowienie w wymienionym przedmiocie zostanie wydane po zakończeniu postępowania dowodowego w sprawie. Ogłoszenie upadłości lub oddalenia wniosku o jej ogłoszenie obwieszcza się w publicznie dostępnej części Krajowego Rejestru Zadłużonych" – poinformował sędzia Łukasz Zioła, rzecznik prasowy ds. cywilnych Sądu Okręgowego w Gdańsku.

– Mam nadzieję, że sąd odrzuci ten wniosek, podobnie jak ten wcześniejszy złożony przez Le Guerna. Zresztą są one niemal identyczne, co do przecinka. Ponadto spółka, która złożyła wniosek, nigdy nie upominała się o jakiekolwiek pieniądze od spółki – opowiada prezes Małecki i dodaje, że obecnie trwają próby wyciągnięcia z Petrolinvestu resztek posiadanych aktywów naftowych.

Co ciekawe, jak ustaliła „GP", spółka, która chce upadłości naftowego przedsiębiorstwa, wskazała, że po jej ogłoszeniu aktywa naftowe spółki nabędzie luksemburska firma Awaken.

– My jednak nie jesteśmy bankrutami. Pozyskaliśmy nawet pożyczkę 800 mln dolarów na 3,3 proc. na zagospodarowanie posiadanych przez nas terenów. Te wszystkie wnioski o upadłość mają dokończyć proces drenowania spółki z ostatnich aktywów – podkreśla prezes Petrolinvestu.

– Afera Petrolinvestu to sprawa o fundamentalnym znaczeniu dla uczciwości polskiego rynku kapitałowego oraz ochrony obywateli przed bezwzględnymi, transgranicznymi układami. Przez dwie dekady polski kapitał był drenowany. Teraz, gdy na dnie kazachskich odwiertów wreszcie udokumentowano potężne zasoby surowców, zyski zamiast do poszkodowanych Polaków mają trafić do anonimowych struktur offshore – tłumaczy z kolei Cyrulik.

Jak DGSE chroni francuskie interesy

Z nieoficjalnych informacji „GP" wynika, że w aktach śledztwa nie ma dokumentów ABW, która od początku monitorowała działalność Petrolinvestu. To kluczowe – podobnie jak te z Kazachstanu – materiały dla lubelskiego śledztwa.

Nasze źródła twierdzą również, że notatki na temat tego, co faktycznie działo się w Kazachstanie, znajdują się też w ściśle tajnych materiałach Agencji Wywiadu.

Z informacji posiadanych przez obydwie służby wynika, że w interesy Petrolinvestu była zaangażowana DGSE, francuski wywiad, którego zadaniem była ochrona interesów w Kazachstanie koncernu Total. Ten energetyczny gigant poszukiwania ropy i gazu w basenie Morza Kaspijskiego rozpoczął na początku lat 90.

W 2000 roku konsorcjum, w którego skład wchodził koncern, odkryło w Kazachstanie największe w ostatnim półwieczu złoże Kaszagan. Przez lata był jednak problem z uruchomieniem wydobycia. Ostatecznie eksploatacja Kaszaganu ruszyła trwale pod koniec 2016 roku, gdy Petrolinvest chylił się ku upadkowi. Do dziś Total wydobywa tam ropę.

– Nasze służby wskazują, że Francuzom mogło zależeć na sabotowaniu działań Petrolinvestu, niedopuszczeniu do eksploatacji, a wręcz przejęciu części aktywów, aby chronić interes swojego narodowego koncernu – mówi nasz informator z ABW.

Z materiałów agencji – jak ustaliła „GP" – wynika, że z DGSE ma być związany Bertrand Le Guern. Czy faktycznie były wieloletni prezes Petrolinvestu ma cokolwiek wspólnego z francuskim wywiadem? Jak komentuje zarzuty wysuwane pod jego adresem przez obecne władze naftowej spółki, a także zawieszone od ponad dwóch lat prokuratorskie śledztwo?

Próbowaliśmy zadać mu te pytania. Nie odbierał jednak telefonu. Przesłaliśmy je więc SMS-em. Szczegółowo poruszane w artykule wątki z prośbą o komentarz przesłaliśmy również na wskazany przez niego adres e-mail. Do momentu zamknięcia tego numeru „GP" nie otrzymaliśmy jednak odpowiedzi. **GP**

KONDOLENCJE

Z głębokim żalem i smutkiem składamy
wyrazy szczerego współczucia oraz słowa wsparcia
naszemu Drogiemu Koledze
HENRYKOWI JACUKOWICZOWI
Byłemu Przewodniczącemu Klubu „Gazety Polskiej" w Trzebnicy

z powodu śmierci Córki

ŚP.

IRENY JACUKOWICZ-SOBALA

Łączymy się z Tobą w bólu i żałobie,
pozostając myślami z Tobą i Twoimi Bliskimi
w tych trudnych i bolesnych chwilach.

Przyjmij wyrazy naszego szczerego współczucia.

Tomasz Sakiewicz, red. nacz. „Gazety Polskiej",
Ewa Wójcik, prezes Klubów „Gazety Polskiej",
Agnieszka Brząkała, Przewodnicząca i Koledzy z Klubu „GP" w Trzebnicy
oraz Koledzy z Klubów „Gazety Polskiej".

eprasa.pl a51e4bc623



Hubert **Kowalski**

CIEŃ ROSJI NAD WYSPĄ UZNAM. KULISY WALKI Z INWESTYCJAMI WOKÓŁ ŚWINOUJŚCIA

BIZNESY NIEMCÓW KONTRA WIELKIE PLANY NAD BAŁTYKIEM

Niemieccy aktywiści z Lebensraum Vorpommern próbują blokować rozwój terminalu kontenerowego w Świnoujściu i wydobycie gazu oraz ropy na Bałtyku. Inicjatorzy akcji biznesowo działają w branży turystycznej i zielonej transformacji, ale politycznie są częścią skrajnej lewicy, która wywodzi się jeszcze z władz NRD. Dziś zwalczają amerykańską obecność w Europie, sprzeciwiają się NATO, a nawet wprost popierają Rosję. Ich petycją przeciwko dużej polskiej inwestycji już niedługo ma się zająć Komisja Europejska.

U wybrzeży Świnoujścia rok temu odkryto jedno z największych złóż ropy i gazu rozpoznanych w Polsce. Według szacunków inwestora złoża Wolin East mogą kryć około 22 mln ton ropy oraz 5 mld m³ gazu o jakości handlowej. Równolegle Polska przygotowuje wartą miliardy złotych budowę nowego, około 70-kilometrowego toru podejściowego, który ma zapewnić największym statkom dostęp do rozbudowywanego portu w Świnoujściu w całości przez polskie obszary morskie. Oba strategiczne przedsięwzięcia napotykają jednak silny opór po niemieckiej stronie granicy. W protesty angażują się organizacje ekologiczne, niemieccy politycy i samorządowcy, ale także osoby powiązane z biznesem turystycznym i transformacją energetyczną. Choćby organizacja Bürgerinitiative Lebensraum Vorpommern, czyli Inicjatywa Obywatelska na rzecz Przestrzeni Życiowej Pomorza Przedniego, uruchomiła petycję, której postulat jest znacznie szerszy niż zatrzymanie Wolin East. Niemcy domagają się powstrzymania nowych projektów wydobycia ropy i gazu na całym Bałtyku. Zebrano już ponad 88 tys. podpisów i petycja ma trafić we wrześniu do Komisji Europejskiej.

eprasa.pl a51e4bc623





FOT. ADOBE STOCK, FACEBOOK

Tor do terminalu, ropa i gaz

Wokół Świnoujścia od lat powstają bardzo istotne dla Polski przedsięwzięcia. Głębokowodny terminal kontenerowy umożliwi Świnoujściu obsługę największych kontenerowców. Obecnie inwestycja ma już możliwość wejścia w zaawansowaną fazę realizacji. Przekazano m.in. plac budowy i rozpoczęto budowę drogi technicznej. Ale sam wielki terminal potrzebuje odpowiedniej drogi morskiej. Obecny tor podejściowy do Świnoujścia ma 14,5 m głębokości, a jego część przebiega poza polskimi obszarami morskimi. Dlatego równolegle przygotowano projekt nowego, około 70-kilometrowego toru o głębokości 17 m, poprowadzonego w całości przez polskie obszary morskie. W 2023 roku podpisano wstępną umowę dotyczącą finansowania inwestycji wycenianej na około 7,3 mld zł, a następnie rozpoczęto dalsze prace. Roboty budowlane przewidziane są na lata 2027–2029. To właśnie ten tor ma być morską arterią prowadzącą do budowanego Przylądka Pomerania.

Przed Świnoujściem pojawiła się kolejna perspektywa. W 2017 roku międzynarodowa spółka Central European Petroleum otrzymała obejmującą 593 km² koncesję na poszukiwanie, rozpoznawanie i wydobywanie węglowodorów w rejonie polsko-niemieckiej granicy i wybrzeża Bałtyku. W czerwcu 2024 roku spółka dostała zgodę na wykonanie morskiego odwiertu Wolin East 1. Wiercenie zakończono w lutym 2025 roku, a kilka miesięcy później nastąpił przełom. W lipcu 2025 roku CEP poinformował, że około 6 km od Świnoujścia odkrył duże nagromadzenie ropy i gazu.

Walczą o przestrzeń życiową

Ale przeciwko tym strategicznym inwestycjom natychmiast zaprotestowały środowiska niemieckie. Już w 2021 roku w demonstracje przeciw planowanemu terminalowi kontenerowemu zaangażowali się niemieccy europosłowie Hannah Neumann z Zielonych i Helmut Scholz ze skrajnie lewicowej Die Linke. Organizacja Lebensraum Vorpommern 11 sierpnia 2021 roku organizowała akcję przeciw planowanemu terminalowi kontenerowemu. Na Uznam przyjechało dwoje wspomnianych europosłów.

Duże znaczenie ma kontekst regionalny. W Meklemburgii-Pomorzu Przednim, czyli landzie obejmującym niemiecką część Uznamu, Die Linke od 2021 roku współtworzy z SPD rząd landowy Manueli Schwesig. To oznacza, że w regionie bezpośrednio sąsiadującym ze Świnoujściem formacja ta nie jest wyłącznie partią protestu, lecz ugrupowaniem współrządzącym landem. Die Linke w wyborach do Bundestagu w lutym 2025 roku zdobyła 8,8 proc. głosów, poprawiając wynik z 4,9 proc. z 2021 roku.

Wspomniani Neumann i Scholz wspólnie zamówili ekspertyzę dotyczącą możliwego wpływu terminala na środowisko morskie. W raporcie ostrzegano m.in. przed oddziaływaniem terminalu oraz związanego z nim

PRZECIWKO POLSCE

Za protestami przeciw inwestycjom wokół Świnoujścia stoi środowisko znacznie szersze niż klasyczne organizacje ekologiczne. W Lebensraum Vorpommern spotykają się działacze polityczni, osoby związane z turystyką oraz ludzie aktywni zawodowo w sektorze transformacji energetycznej.

eprasa.pl a51e4bc623

ruchu statków na chronione obszary morskie, ptaki, ryby i ssaki. Ekspertyza stała się główną podstawą działania dla niemieckich przeciwników inwestycji, w tym organizacji Lebensraum Vorpommern, która się na nią powoływała.

Później spór przesunął się na kolejny element inwestycji, czyli 70-kilometrowy tor podejściowy. Dla toru prowadzona jest odrębna procedura środowiskowa, w której uczestniczy także strona niemiecka. Do połowy czerwca 2026 roku niemieckie gminy i organizacje mogły zgłaszać stanowiska formalne. Z tej możliwości skorzystały m.in. gmina Heringsdorf oraz organizacja Lebensraum Vorpommern. W stanowisku z 16 czerwca 2026 roku zakwestionowano m.in. skalę pogłębiania, wpływ inwestycji na siedliska i obszary Natura 2000, prognozę ruchu statków oraz skutki rozwoju portu. Niemcy próbują więc wpłynąć na procedurę wydania decyzji środowiskowej. Równolegle powstał drugi front sporu, czyli złoże Wolin East. Po ogłoszeniu w lipcu 2025 roku wyników odwiertu niemieckie organizacje zaczęły działać już nie tylko przeciw konkretnym pracom poszukiwawczym, lecz przeciw perspektywie uruchomienia przemysłowego wydobycia ropy i gazu u wybrzeży Świnoujścia. „Nasza przyszłość to nie ropa naftowa z Morza Bałtyckiego, ale energia ze słońca, wiatru i biomasy" – grzmiał cytowany przez „Die Welt" Till Backhaus, minister klimatu Meklemburgii-Pomorza Przedniego.

Towarzyszka z Die Linke, europoseł po MGIMO i Europa bez NATO

Przewodniczącą Lebensraum Vorpommern jest Christa Labouvie, jednocześnie ważna działaczka Die Linke. Władze Die Linke nazywają ją „naszą towarzyszką". Postać wspomnianego Helmuta Scholza jest przy tym szczególnie interesująca. Zanim został europosłem Die Linke, w latach 1974–1980 studiował na moskiewskiej uczelni MGIMO, później pracował w resorcie dyplomacji NRD, w latach 1983–1986 był dyplomatą ambasady NRD w Pekinie, gdzie zajmował się polityką wewnętrzną Chin i był attaché kulturalnym, a w latach

Przeciwko strategicznym polskim inwestycjom na Bałtyku protestują środowiska niemieckie. Już w 2021 roku w demonstracje przeciw planowanemu terminalowi kontenerowemu zaangażowali się niemieccy europosłowie Hannah Neumann z Zielonych i Helmut Scholz ze skrajnie lewicowej Die Linke.

1987–1989 pracował w wydziale stosunków międzynarodowych komitetu centralnego SED, partii rządzącej NRD. Die Linke wyrasta więc częściowo ze wschodnioniemieckiego systemu politycznego. Jest bowiem następczynią wspomnianej SED. Niepokojące jest stanowisko Die Linke wobec NATO. W oficjalnym programie partii znalazło się jednoznaczne zdanie: „Żądamy rozwiązania NATO". Dalej partia proponuje zastąpienie Sojuszu systemem zbiorowego bezpieczeństwa „z udziałem Rosji". Postulowała również wyprowadzenie Bundeswehry ze struktur wojskowych NATO.

Hotelarze i biznesmeni od OZE

Za protestami przeciw inwestycjom wokół Świnoujścia stoi środowisko znacznie szersze niż klasyczne organizacje ekologiczne. W Lebensraum Vorpommern spotykają się działacze polityczni, osoby związane z turystyką oraz ludzie aktywni zawodowo w sektorze transformacji energetycznej. Sama Labouvie nie jest wyłącznie aktywistką ekologiczną i politykiem. Prowadzi Amazonas Camp w Loitz, dużą działalność turystyczną oferującą wypoczynek i noclegi w dolinie rzeki Peene. Chodzi też m.in. o Rolfa Seelige-Steinhoffa, właściciela dużej grupy Seetelhotels, która zarządza hotelami, rezydencjami, willami i apartamentami na Uznamie. Aktywny jest również Volker Brautzsch, związany z grupą Rovell Hotels. Równie ważne w tym ruchu są osoby z branży OZE. Jedną z najważniejszych obecnie osób w Lebensraum Vorpommern jest dr Rainer Sauerwein. To on jest autorem obszernego stanowiska organizacji z czerwca tego roku przeciw nowemu torowi podejściowemu do Świnoujścia. Sauerwein jednocześnie jest przewodniczącym rady nadzorczej w Inselwerke eG, spółdzielni energetycznej rozwijającej lokalną transformację energetyczną. Inselwerke zajmuje się m.in. fotowoltaiką, ładowarkami do samochodów elektrycznych i magazynami energii.

„Rosja nie jest naszym wrogiem"

Wiceprzewodniczącym Lebensraum jest Axel Kindler, który w przeszłości był burmistrzem nadbałtyckiego Ückeritz, jednej z miejscowości wypoczynkowych na Uznamie. Oprócz tego jest menedżerem energetycznym zajmującym się m.in. efektywnością i optymalizacją zużycia energii. W 2021 roku bezskutecznie kandydował z niewielkiej partii DieBasis w wyborach landowych. DieBasis powstała w 2020 roku na fali ruchu antyszczepionkowego. Jej głównym tematem stał się sprzeciw wobec szczepień przeciw COVID-19, ale nie tylko. W maju 2026 roku DieBasis poparła petycję do Bundestagu, w której zażądano „natychmiastowego zniesienia" obowiązku szczepienia przeciw odrze. DieBasis to partia otwarcie prorosyjska, jest także przeciwko NATO i USA. Jeszcze 13 lutego 2022 roku, 11 dni przed pełnoskalową rosyjską inwazją na Ukrainę, ugrupowanie twierdziło, że NATO i USA podejmowały „agresywne i prowokacyjne" działania. Domagało się wycofania sankcji wobec Rosji. A w marcu 2026 roku oficjalny portal partyjny opublikował tekst zatytułowany „Rosja nie jest naszym wrogiem!". **GP**

eprasa.pl a51e4bc623

FELIETON

{ WRZUTKA }



Marcin
Wolski

PAŁKA NA RAFAŁKA

Prezydent Warszawy przypomina dziś piłkę, z której zeszło powietrze. Nieelegancko mówiąc, wygląda jak kapeć albo flak. Nawet przydomek „dupiarz" zmienił sens, bo nie oznacza już bowiem przebojowego zdobywcy serc niewieścich, ale raczej takiego, kto sam daje... Warszawa miała w swej historii różnych prezydentów. Złych, dobrych i takich sobie, miała też prezydentkę, która także skończyła jak dętka. Byli też ojcowie miasta narzuceni przez zwierzchność, którzy mimo to zapisali się we wdzięcznej pamięci Warszawiaków: Rosjanin Starynkiewicz – jedyny funkcjonariusz zaborców, który ma w stolicy swój plac, czy komisarz z ramienia sanacji Stefan Starzyński, który trafił do panteonu narodowej chwały. I to nie tylko za heroizm we wrześniu 1939 roku. Ekstremalne sytuacje są tyglem, gdzie ludzie wybitni się hartują, a nędzni rozpuszczają. Przykład z Nowego Jorku: Rudy Giuliani. Gdyby nie 11 września, odszedłby w niesławie. A co by zrobił Rafałek, gdyby wróg doszedł do Wisły – uciekłby do Brukseli schować się pod spódnicą pani von der Leyen? Nasza piękna Rafalala jest realistą, jak nie przymierzając marszałek Czarzasty, który stwierdził, że nie musieliśmy zestrzeliwać wrogiej rakiety, bo i tak spadła. Pytanie: gdzie spaść by mogła? Może na Pałac Kultury? A może na miasteczko Wilanów? Niewdzięczni ci Warszawiacy. Nie potrafią docenić, ile dla nich zrobił prezydent – plaże dla psów, wyspa dla kóz, ścieżki (i pozostałe drogi) dla cyklistów. A jak bujnie rozwija się ekologia – drzewa z Niemiec, trawa z Holandii, bezdomni z Bliskiego Wschodu. A fauna? Nigdy nie było w Warszawie tylu szczurów, bobrów i dzików – to się nazywa przyjazne miasto. Chyba w żadnej stolicy świata w trakcie dwóch kadencji nie zlikwidowano tylu miejsc parkingowych, nie zwężono tylu ulic i nie postawiono tylu pachołków. A ile zrobiono remontów?! Kto nie wierzy, niech przyjrzy się historii Trasy Łazienkowskiej, gdzie gdy jeden remont się kończy, drugi się zaczyna. A ten pomysł referendum! Jak można robić to człowiekowi, dla którego dwukrotna przegrana w wyborach prezydenckich stanowi prawdziwą traumę. Jeśli utraci swoje stanowisko, co się stanie z młodym, przebojowym człowiekiem o światowych kontaktach i ogromnych możliwościach? Polska jest dla niego za mała. A może, kochani Europejczycy, zróbcie Rafalalę burmistrzem Ceuty, zalewanej obecnie ludzkim oceanem. On wytłumaczy mieszkańcom, że nic złego się nie dzieje, przybysze ich ubogacą, a barwna rzeka uchodźców zostanie rozlokowana po całej Europie, a zwłaszcza w Polsce. **GP**

FELIETON

{ MYŚLI NIENOWE }



Tomasz
Łysiak

ZAĆMIENIE ŁBÓW

Ogólne szaleństwo, jakie zapanowało w kwestii zaćmienia Słońca, ma w sobie dużo ciekawych, dobrych elementów. Ludzie nagle odrywają się od codziennych zadań i spraw, i przez różne przyrządy, zaciemniane szkła i okulary patrzą w niebo. Moja szwagierka pojechała nawet z przyjaciółką i jej mężem do Hiszpanii, by tam doświadczyć pełnego zaćmienia. Faktycznie chwila, w której zrobiło się całkiem ciemno, nawet na wysłanym do rodziny filmiku, zrobiła wrażenie. Lud upadłby na kolana przed faraonem. We włoskiej prasie także pokazały się zalecenia i wskazówki, gdzie jechać (do północnej części Italii), żeby dać się zaćmić. Nie pojechaliśmy. Przypomniała mi się za to zostawiona gdzieś w Polsce ciemna szybka, przez którą oglądaliśmy zaćmienie w roku 1999 wraz z naszym małym sześcioletnim synem Tadeuszem. Podpisaliśmy się białą farbką na tym czarnym szkle. Pod naszymi imionami mała, dziecięca, niewprawna jeszcze ręka, napisała dumnie: „Tadzio". Tak więc to wspomnienie porusza mnie, gdy sobie myślę o tym, jacy jesteśmy mali w stosunku do tego, co nas otacza w przestrzeni kosmicznej. I jak szybko czas ucieka. Myślę też sobie, że chyba w jakiejś mierze to jest tak, że to wszystko jest na odwrót. Mianowicie my wszyscy żyjemy w jakimś koszmarnym zaćmieniu, przytłoczeni codziennymi konfliktami, walkami, przepychankami. Wokół panuje nieustanne „zaćmienie łbów" – w zależności od miejsca obserwacji jest tylko różnica w skali i w procentach „zaćmienia". A taka chwila, w której wszyscy, nagle, w jednym momencie zatrzymamy się i wzniesiemy oczy w niebo, jest szczególnie urocza i cenna. Bywa tak, że razem patrzymy w niebo w czasie ważnych świąt. To wiara nakłania nas do tego, by patrzeć w górę, a nie pod stopy. Nie trzeba ciemnych szkieł, by to dostrzegać. Na odwrót – trzeba zrzucić łuski z oczu. **GP**

To wiara nakłania nas do tego, by patrzeć w górę, a nie pod stopy. Nie trzeba ciemnych szkieł, by to dostrzegać.

eprasa.pl a51e4bc623

Kto, jak nie Waldemar Żurek, miał wysłać PiS-owców za kraty, przyspieszając proces tzw. rozliczeń? Kto, jak nie on, miał sprowadzić do parteru „neosędziów", których zwalczał jako aktywista na protestach przeciwko reformie sądownictwa i Zbigniewowi Ziobrze? Od 24 lipca 2025 roku, kiedy Żurek został ministrem sprawiedliwości i prokuratorem generalnym, w sądownictwie narasta chaos, mnożą się przypadki uchylanych wyroków, areszty tymczasowe – mimo szumnych deklaracji – wciąż mają się dobrze, a główną beneficjentką „drwala" w gabinecie przy Al. Ujazdowskich jest Ewa Wrzosek. Nic dziwnego, że w trosce o własną posadę Żurek posuwa się do gróźb pod adresem prezydenta Karola Nawrockiego.



Grzegorz **Wszołek**

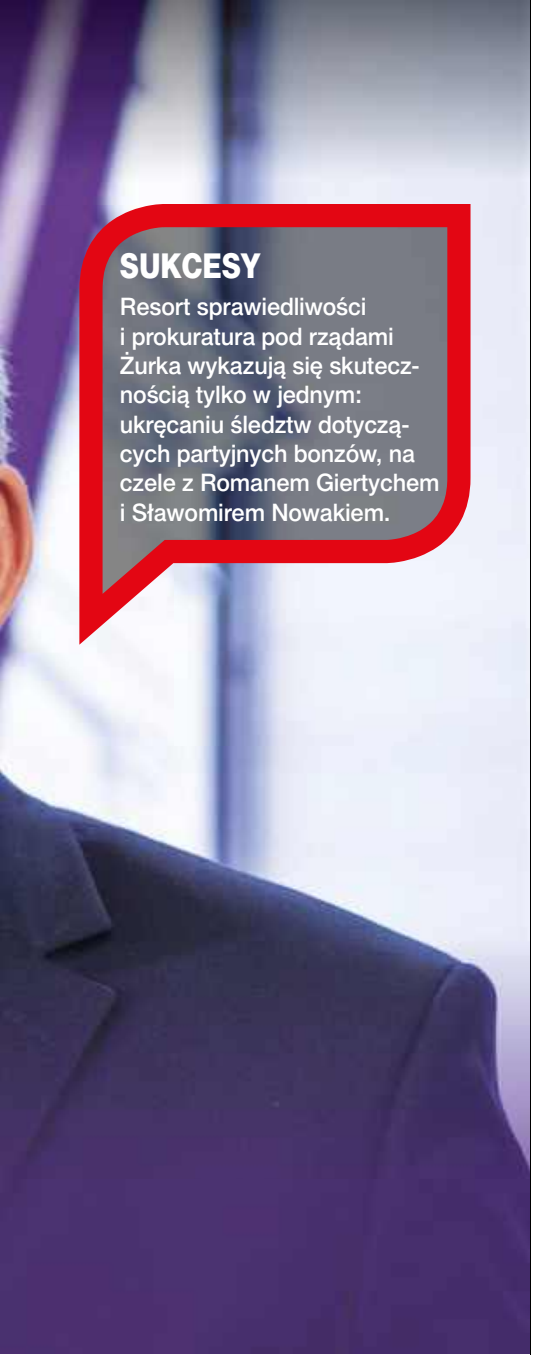
ROK Z ZEPSUTYM ŻURKIEM. DRWAL BEZ SIEKIERY

PODSUMOWANIE

Miało pójść szybko, sprawnie, bez oglądania się na przepisy prawa – zgodnie z duchem demokracji walczącej, której wielkim zwolennikiem – zgodnie z koncepcją Karla Loewensteina z lat 30. w Niemczech – jest Donald Tusk. Niemiecki prawnik opowiadał się za użyciem bezwzględnych, czasem brutalnych środków, by państwo mogło obronić się przed zagrożeniami zewnętrznymi. Jego poglądy twórczo rozwinął po zmianie władzy w Polsce w 2023 roku politolog – również zza Odry – Klaus Bachmann, który nawoływał do uderzenia w opozycję, wykorzystując aparat policyjny, byle ta już nie zagrażała pozycji Tuska. Zgodnie z ideą demokracji walczącej kolejne bezpieczniki wysadzał Adam Bodnar – a to z aprobatą odnosił się do nielegalnego przejęcia mediów publicznych, a to kilka tygodni później, przy użyciu policji, zamknął dostęp do gabinetu legalnemu prokuratorowi krajowemu Dariuszowi Barskiemu, którego – wbrew ustawie – zastąpiono Dariuszem Kornelukiem na mocy decyzji premiera. Siłowe zagarnięcie prokuratury okazało się zbyt słabym argumentem do utrzymania stanowiska. Bodnar w oczach Tuska okazał się zbyt miękki – choć śledztwa w sprawach partyjnych towarzyszy, jak Romana Giertycha czy Tomasza Grodzkiego, jego podwładni hurtowo umarzali, machina demokracji walczącej traciła impet, gdy przyszło rozliczać wierchuszkę PiS. Zbigniew Ziobro i Marcin Romanowski pozostawali nieuchwytni, a tymczasem coraz więcej mocnych oskarżeń z kampanii 2023 roku okazywało się nic niewartych.

Wtedy Donald Tusk postawił wszystko na jedną kartę, wyrzucając Adama Bodnara z rządu. Ryzyko podjął również Waldemar Żurek, który porzucił togę i immunitet, by spełniać się jako polityk, a przy okazji przestał wreszcie udawać bezstronnego sędziego. Po ponad roku od wejścia w polityczny wir czas ten trzeba nazwać klęską – i to w wielu aspektach: dla funkcjonowania sądów, autorytetu sędziów, zwykłych obywateli,

eprasa.pl a51e4bc623



SUKCESY

Resort sprawiedliwości i prokuratura pod rządami Żurka wykazują się skutecznością tylko w jednym: ukręcaniu śledztw dotyczących partyjnych bonzów, na czele z Romanem Giertychem i Sławomirem Nowakiem.

FOT. TOMASZ JĘDRZEJOWSKI/GAZETA POLSKA

którzy fatalnie oceniają sądownictwo, a także dla praworządności i idei rozliczeń.

Żenujące filmiki z żurkiem i awans dla Wrzosek

„Dobry ten żurek, co?" – zachwalał nowego ministra sprawiedliwości Donald Tusk, zajadając się zupą. Żurek też nie był bierny w social mediach. „Zapraszamy pana do kraju. Po co jeść te ostre węgierskie gulasze?" – zwracał się do Zbigniewa Ziobry, konsumując, podobnie jak szef rządu, żurek. Śmiechom nie było końca, gdy minister odgrażał się politykom PiS, rąbiąc drzewo albo przebywając na urlopie w Bieszczadach. Aż wióry miały lecieć – tak brzmiał podprogowy przekaz dotyczący rozliczeń. Stąd też „arcykapłanka propagandy" Dorota Wysocka-Schnepf w TVP Info zapowiadała wywiad z następcą Bodnara, nazywając go „drwalem". W uniwersum Żurka „młyny sprawiedliwości mielą powoli", co świadczy o jego ignorancji – wszak zarzuty karne, ani nawet akt oskarżenia złożony w sądzie, nie są wystarczające do uznania czyjejś winy. To aż zadziwiające, że ktoś, kto od lat 90. był sędzią, zalicza prokuraturę do instytucji wymiaru sprawiedliwości. Minister wsławił się jako jedyny członek rządu koalicji 13 grudnia, który nie chce ujawnić swojego majątku. Tłumaczył to rzekomą obawą przed przestępczością zorganizowaną, która miała tylko czekać na wykaz jego nieruchomości.

Wraz z Żurkiem awansowała politycznie i finansowo Ewa Wrzosek. Ze zwykłej prokurator rejonowej stała się nagle radcą ministra sprawiedliwości z pensją ponad 35 tys. zł brutto. Wrzosek utrzymuje na tyle dobre relacje z Żurkiem, że mówiło się nawet o tym, iż zastąpi na stanowisku prokuratora krajowego Dariusza Korneluka – skonfliktowanego z prokuratorem generalnym. Zaangażowana politycznie prokurator mogła liczyć na umorzenie śledztwa ws. wysłania wniosków do sądów o zablokowanie zmian w statutach mediów publicznych tuż po powrocie Tuska do władzy. Umożliwiło to grupie „Wejście" przejęcie wpływów nad TVP, PAP i Polskim Radiem. Dokumentacja powstała poza budynkiem prokuratury – w kancelarii prawniczej Clifford Chance, w której pracowała w grudniu 2023 roku obecna RPO Sylwia Gregorczyk-Abram.

Zapaść w sądownictwie

Za Adama Bodnara nastąpił głęboki regres, ale czasy Waldemara Żurka to kompletny upadek wymiaru sprawiedliwości i autorytetu sędziów. Nie z winy Zbigniewa Ziobry – co zarzuca poprzednikowi przy każdej sposobności minister sprawiedliwości. To nie Ziobro nastawiał przeciwko sobie sędziów. To nie przy aprobacie Ziobry uchylane były wyroki tylko dlatego, że wydawał je nieuznawany przedstawiciel wymiaru sprawiedliwości pod błahym pozorem zmiany ustawy. To nie Ziobro kwestionował status sędziów, a jednocześnie akceptował wyrok we własnej sprawie, gdy wydał go ktoś z grona osób, których status wcześniej podważał. To wreszcie nie Ziobro ogłaszał publicznie, że „trzeba wykurzyć neosędziów" – takich słów w ogóle nie powinien wypowiadać ktoś związany z sądownictwem.

Największą kompromitacją i widoczną spuścizną rządów Bodnara, jak i Żurka jest rozpętanie wojny w środowisku sędziowskim, skutkujące obstrukcją systemu i uchylaniem prawomocnych wyroków. Przykłady? W marcu 2026 roku Sąd Najwyższy wznowił postępowanie kasacyjne wobec dwóch członków grupy mokotowskiej, czyli „gangu obcinaczy palców" – Wojciecha S. „Wojtasa" i Tomasza R. „Garbatego" – mimo że ich kasacje zostały wcześniej oddalone w 2024 roku. Przyczyną było zakwestionowanie prawidłowości składu SN z uwagi na udział sędziów powołanych przy poprzedniej KRS. W październiku 2025 roku uchylono wyrok dożywocia w Sądzie Okręgowym w Poznaniu, prawomocny wyrok Serhija T. za potrójną zbrodnię w Puszczykowie – dokładnie z tego samego powodu. Wstrząsająca była też decyzja Sądu Apelacyjnego w Poznaniu, który „skasował" wyrok wobec mężczyzny, który w 2021 roku uprowadził przypadkową 14-letnią dziewczynkę, wciągnął ją do samochodu dostawczego i dopuścił się wobec niej czynności seksualnej. Sprawca był wcześniej karany za przestępstwo seksualne i odpowiadał jako recydywista. W Rzeszowie kary pięciu lat pozbawienia wolności nie doczekał przestępca seksualny, który napadł na swoją wnuczkę. Zwalczający „nowych" sędziów uznali, że skład sędziowski był wadliwie wybrany przez kontestowaną KRS. Jak gwiazdka z nieba sądowa zawierucha spadła Piotrowi P. ze Złotowa, działaczowi Koalicji Obywatelskiej. Cóż z tego, że został skazany na 11 lat za wykorzystanie seksualne 14 nieletnich dziewcząt, skoro w marcu 2026 roku jego proces rozpoczął się od nowa? Dekonstrukcja sądownictwa ma miejsce nie tylko w przypadku spraw karnych, ale też tych codziennych, cywilnych. Bardzo niepokojąca była decyzja Sądu Rejonowego w Giżycku, który stwierdził, że zapadły wyrok rozwodowy nie istnieje z powodu wadliwego statusu sędziego. Nie trzeba dodawać, że to wkraczanie z polityką w osobiste sprawy polskich obywateli. Do tego doprowadził Żurek, który zawsze w takich sytuacjach zasłania się

eprasa.pl a51e4bc623

„niekonstytucyjną" reformą KRS. Nóż w plecy ministrowi i jego ludziom wbił sam TSUE, uznając kilka miesięcy temu, że nawet jeśli doszło do wadliwego powołania sędziów, to nie oznacza z automatu, że tracą oni niezależność. W skrócie: ich wyroki pozostają – nawet w świetle prawa unijnego – ważne. Nie przeszkadza to „żurkowcom" w kontynuowaniu dojeżdżania neosędziów z udziałem specjalnej sekcji prokuratury, sprawdzającej powołania i awanse sędziów w całym kraju.

Nic dziwnego, że chaos w wymiarze sprawiedliwości dostrzega coraz więcej respondentów w sondażach. Zdaniem 61 proc. ankietowanych przez prorządowe CBOS jest w tej sferze źle. Tylko 26 proc. pytanych sądzi inaczej. Do największych bolączek systemu sądowniczego respondenci zaliczyli przewlekłość postępowań i opieszałość sędziów, po drugie – upolitycznienie, a po trzecie – niesprawiedliwe wyroki. To efekt między innymi działań Żurka, który – jako człowiek wywodzący się ze środowiska sędziowskiego – miał odbudować zaufanie obywateli do wymiaru sprawiedliwości. Bohater niniejszego artykułu od początku nie wzbudzał zaufania w sondażach – większość ocenia negatywnie poczynania ministra sprawiedliwości, wbrew rządowej propagandzie, podobnie jak skuteczność politycznych rozliczeń.

Fiasko rozliczeń

Trudno się dziwić – Zbigniew Ziobro po zmianie władzy na Węgrzech udał się do USA na mocy paszportu genewskiego, o czym nie wiedziało kierownictwo resortu sprawiedliwości. Żurek w arcyzabawnym wywiadzie dla Polsatu News nie miał pojęcia o geografii Stanów Zjednoczonych, dywagując na temat miejsca pobytu byłego ministra w Waszyngtonie. Mimo że administracja Donalda Trumpa – co wynikało jasno z wypowiedzi pełnomocnika prezydenta USA ds. ułaskawień, Eda Martina, w wywiadzie udzielonym Michałowi Rachoniowi w czerwcu na antenie Republiki – traktuje Ziobrę jako prześladowanego politycznie, Żurek nie odstąpi od wysłania wniosku o ekstradycję za ocean. Przestrzegał resort sprawiedliwości przed tym krokiem były sędzia ad hoc Europejskiego Trybunału Praw Człowieka prof. Ireneusz Kamiński, wskazując na wieloletni czas oczekiwania w całej procedurze i na fakt, że Amerykanie praktycznie nie wydają osób podejrzanych w sprawach politycznych – a taką jest śledztwo wokół Funduszu Sprawiedliwości. Na domiar złego zastępca Żurka, wiceminister Dariusz Mazur jako sędzia ponad dekadę temu zablokował ekstradycję reżysera Romana Polańskiego do USA, co wpłynie na ocenę polskiego wniosku przez stronę amerykańską.

Po ponad roku od wejścia w polityczny wir Waldemara Żurka czas ten trzeba nazwać klęską – i to w wielu aspektach: dla funkcjonowania sądów, autorytetu sędziów, zwykłych obywateli, którzy fatalnie oceniają sądownictwo, a także dla praworządności i idei rozliczeń.

Jednych polityków, jak Ziobrę i Romanowskiego, Żurek próbuje gonić jak króliczki, ale innym problemem pozostaje stos umorzonych spraw o politycznym charakterze. Najnowsza to śledztwo ws. apartamentu Muzeum II Wojny Światowej – hak na Nawrockiego z kampanii prezydenckiej, drugi obok słynnej kawalerki nabytej od Jerzego Ż. Roman Giertych, „Gazeta Wyborcza" i obecne kierownictwo placówki zarzucali kandydatowi popieranemu przez PiS marnowanie publicznych środków i nadużycia. Prokuratura potwierdziła prawdziwość tłumaczeń prezydenta – m.in. ze znacznie mniejszą liczbą dni, w których Nawrocki korzystał z apartamentu, niż mu zarzucano na podstawie rezerwacji, i odbyciem kwarantanny w pandemii koronawirusa.

Parodia z przeliczaniem głosów

Żurek rozpoczął swoje urzędowanie od stanowczych deklaracji ws. negowania wyników wyborów prezydenckich. Skoro Ewa Wrzosek i Roman Giertych kwestionowali mechanizm demokratyczny bez żadnych przesłanek, to minister sprawiedliwości poszedł ich śladem, zapowiadając dogłębne śledztwa ws. „fałszerstw". Jak to wygląda po roku? Nawet jeśli członkowie komisji wyborczych zostali skazani, to tylko za pomyłki – wymierzano im karę grzywny. Wiele śledztw umarzała sama prokuratura, nie dopatrując się przesłanek do wysuwania oskarżeń. Nikt – wliczając w to Żurka – nie przeprosił za celowe wywołanie gigantycznych turbulencji w demokratycznym procesie wyborczym. „Pisowskie zbrodnie" okazują się w zderzeniu z rzeczywistością kapiszonami – nie było korupcji przy przetargu na małe reaktory jądrowe (SMR-y) Orlenu. Nie znaleziono dowodów na handel ludźmi podczas realizacji inwestycji Olefiny III. Na starcie urzędowania Żurka umorzono sprawę działki kupionej przez Mateusza Morawieckiego we Wrocławiu. Poseł Michał Woś przez długie miesiące miał majątek zajęty przez prokuraturę. Ostatecznie przegrała ona z kretesem w sądzie. Michał Kuczmierowski – były szef RARS – wciąż przebywa w Londynie i komplikuje się jego ekstradycja. Paweł P., współpracownik świadka koronnego Pawła Sz. z Red is Bad i niegdyś pełnomocnik RARS ds. zakupów, opuścił niedawno areszt. Dopiero za trzecim podejściem „żurkowcy" skutecznie doprowadzili do ustanowienia hipoteki przymusowej na majątku Zbigniewa Ziobry, ponieważ dwa wcześniejsze wnioski zostały odrzucone przez sąd z powodu błędów formalnych. Żurek poległ też na „dwóch wieżach", które to śledztwo przez pewien czas prowadziła Wrzosek. Nie dość, że postępowanie wymierzone w Jarosława Kaczyńskiego umorzono ku wściekłości Romana Giertycha, to jeszcze do Gońca wyciekło nagranie z przesłuchania prezesa PiS. Prokuratura prowadzi śledztwo w kwestii publikacji materiałów – za pośrednictwem podającego się za prokuratora krajowego Dariusza Korneluka oznajmiła, że to Giertych miał do nich dostęp jako pełnomocnik austriackiego biznesmena Gerarda Birgfellnera i był de facto źródłem przecieku.

eprasa.pl a51e4bc623

Na froncie walki z prezydentem

Prezydent to dla ministra sprawiedliwości wróg, którego trzeba „ograć metodami zgodnymi z prawem". Żurek grozi Karolowi Nawrockiemu, że odpowie karnie za… sprawdzanie życiorysów kandydatów na sędziów TK. Działanie „z duchem prawa" według Żurka to mianowanie rzecznika dyscyplinarnego sądów powszechnych i jego zastępców wbrew kadencyjności zawartej w ustawie. Albo zniesienie losowego przydziału spraw w składach trzyosobowych zwykłym rozporządzeniem. Po zmianie system losuje jedynie sędziego referenta, natomiast dwóch pozostałych wyznacza ręcznie prezes sądu, teoretycznie po zasięgnięciu opinii kolegium. Miotła Żurka dotknęła kilkudziesięciu prezesów i wiceprezesów sądów w całym kraju. Gdy podobnych zmian – na mocy ustawy i zgodnie z prawem – dokonywał Ziobro, antypisowskie media oraz Iustitia podnosiły rwetes, zarzucając mu ręczne sterowanie wymiarem sprawiedliwości. Tymczasem obecny minister dokonał zmian personalnych wbrew ustawie – Prawo o ustroju sądów powszechnych. Jak widać, również w zakresie „ogrywania prezydenta zgodnie z przepisami" Żurek manipuluje. Dodajmy do tego obrazki rodem z państw policyjnych, gdy policja z prokuratorami pruła sejfy w siedzibie KRS w styczniu 2026 roku, by przejąć akta dyscyplinarne „prawilnych" sędziów, jak Żurka. Kilka tygodni temu w siedzibie Trybunału Konstytucyjnego przechadzał się prokurator Andrzej Piaseczny. „Nie róbcie z siebie politycznej wycieraczki. Panu Piasecznemu coś poradzę. Jak Pan już gdzieś się wybiera, to najbardziej błazeńską postawą jest milczenie wobec mediów" – apelował w sieci prokurator Jacek Skała, przewodniczący Związku Zawodowego Prokuratorów i Pracowników Prokuratury RP. Plan B zakładał nieskuteczne zaprzysiężenie czterech sędziów TK przed notariuszem i marszałkiem Sejmu, czego nie przewiduje ustawa o Trybunale. Żurek chwali się zainstalowaniem nowych członków w KRS, wybranych przez wytypowane z góry organizacje sędziowskie – nie wspomina jednak, że przez szereg lat uważał nowelizację ustawy z 2017 roku za niezgodną z konstytucją, a to na jej mocy wybrano przedstawicieli tegoż organu. I tak „żurkowcy" musieli zgodnie ze swoimi zwyczajami złamać przepisy, gdyż prawo nie przewiduje organizacji „prawyborów" do KRS w środowisku sędziowskim.

Za rządów Żurka nie doszło do żadnej dużej reformy – ani sądownictwa, ani prokuratury. KO nie spełniła nawet sztandarowej obietnicy ze 100 konkretów: rozdzielenia funkcji ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego. Jedyne przedstawione propozycje dotyczyły KRS i TK, a także nowelizacji Kodeksu postępowania karnego oraz ustawy „praworządnościowej", polegającej głównie na stygmatyzowaniu i wyrzucaniu poza nawias sądownictwa „nowych" sędziów. KRS i TK w koncepcji Żurka i demokracji walczącej trzeba zawłaszczyć, a projekt zmian w k.p.k. był krytykowany przez samych prokuratorów za zbyt liberalne podejście do stosowania aresztów tymczasowych w przypadku choćby przestępstw na nieletnich, zagrożonych karą do dwóch lat pozbawienia wolności. Przykład ten świadczy wręcz o paranoi prawniczej w umysłach rządzących – z jednej strony prezydent Karol Nawrocki jest atakowany za zawetowanie nowelizacji k.p.k., a z drugiej podwładni Żurka ochoczo wnioskują do sądów o najcięższy środek zapobiegawczy. Ostatnio na trzy miesiące do aresztu został wysłany rolnik za zaoranie asfaltu w Gliwicach. Życie za kratami poznał niekarany dotąd redaktor Leszek Kraskowski, który tropił przekręty Romana Giertycha. Dziennikarz został zatrzymany, następnie aresztowany bez jakiejkolwiek podstawy, bowiem śledczy nie zweryfikowali, kto wysłał e-mail z pogróżkami do komendanta piaseczyńskiej policji. Do radykalnej zmiany polityki aresztowej nie potrzeba nowelizacji obowiązujących przepisów – wystarczy zdrowy rozsądek prokuratorów.

Swoich trzeba bronić

A afera ze Szpitalem Południowym? „Młyny sprawiedliwości mielą powoli" – powiada Żurek. Tak wolno, że mimo upływu dwóch miesięcy nikt nie znalazł czasu na przesłuchanie Dawida Kacprzyka, który zbijał kokosy w placówce nadzorowanej przez Rafała Trzaskowskiego. Prokuratura nie miała jednak oporów, aby w zaledwie kilka godzin od udzielonego wywiadu Kanałowi Zero wezwać sygnalistę – dr. Emila Jędrzejewskiego. Resort sprawiedliwości i prokuratura pod rządami Żurka wykazują się skutecznością tylko w jednym: ukręcaniu śledztw dotyczących partyjnych bonzów, na czele z Romanem Giertychem i Sławomirem Nowakiem. W przypadku tego ostatniego, któremu groził długoletni wyrok za polską odsłonę w międzynarodowej aferze korupcyjnej, nie przeszkadzał nawet udział asesora sądowego, uprawnionego do orzekania dzięki wnioskowi KRS bojkotowanej przez Żurka. Minister sprawiedliwości czuje oddech Giertycha na plecach, który w każdej chwili może go zastąpić. Walcząc o polityczne życie, zakłada w wywiadach – co śmieszne – że jeszcze kiedyś wróci do orzekania. Marzenia musi wybić sobie na co najmniej cztery, jeśli nie dziewięć lat urzędowania Karola Nawrockiego. Nie będzie go też chronił immunitet, czego Żurek ma świadomość. **GP**

REKLAMA

FUNDACJA „POMNIK OFIAR KATYNIA"

Zbudujmy Sanktuarium Narodowej Martyrologii

PKO Bank Polski

78 1020 2906 0000 1102 0218 1915 (PLN)

PROSIMY O WSPARCIE IDEI BUDOWY POMNIKA

www.pomnikofiarkatynia.pl

eprasa.pl a51e4bc623



Dawid
Wildstein

OPERACJA „SFAŁSZOWANE WYBORY" TRWA i jest śmiertelnie groźna



Operacja „sfałszowane wybory" nie kończy się. Obecna władza i jej politycy, chociaż nie w takiej skali jak rok temu, wciąż podsycają tę skrajnie niebezpieczną dla Polski narrację. Delegitymizują w ten sposób nie tylko demokratycznie wybranego prezydenta Karola Nawrockiego czy uderzają w fundamenty naszego systemu politycznego. Potencjalna destabilizacja, jaka może być skutkiem tego typu propagandy, jest także zagrożeniem dla państwa jako takiego. Wszystko wskazuje na to, że Tusk i jego zaplecze traktują opowieść o „nielegalnie wybranym Nawrockim" jako rodzaj „broni ostatecznej", której mogą użyć, kiedy naprawdę znajdą się już pod ścianą.

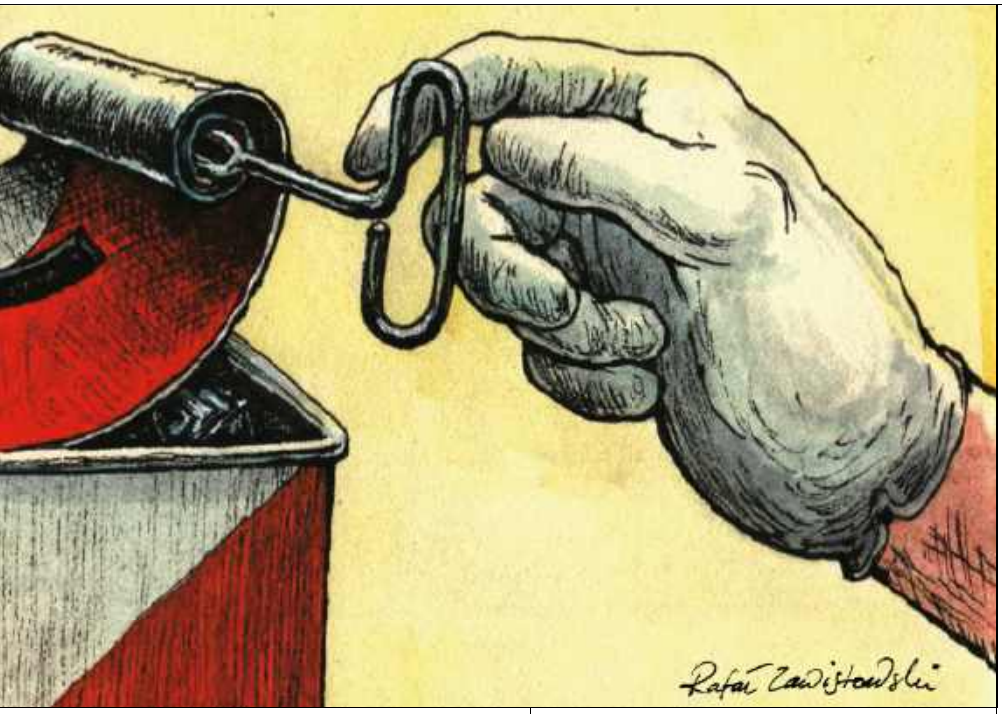
PUBLICYSTYKA

Ponad rok temu doszło do zaprzysiężenia Karola Nawrockiego. Z perspektywy czasu widać wyraźnie, jak ważny był to dla Polski moment. Jest oczywiste, że w ten sposób uniknęliśmy domknięcia systemu Donalda Tuska, który – mając za prezydenta Trzaskowskiego – mógł posunąć się naprawdę daleko w swojej „demokracji walczącej". Niemniej nie wolno nam zapomnieć o tym, co w reakcji na to zwycięstwo Nawrockiego usiłowała zrobić z Polską uśmiechnięta władza. Próba zakwestionowania demokratycznego wyboru, jakiego dokonali Polacy, za pomocą kłamstw o „sfałszowanych wyborach" to rzecz właściwie bez precedensu w historii III RP. Była to forma gwałtu na fundamentach państwa, próba zniszczenia naszej demokracji. Co gorsza, ten gwałt nadal trwa.

Nasze „zielone ludziki"

To, co po wygranej Nawrockiego urządziły koalicja 13 grudnia i sprzedane jej media, było nie tylko szkodliwe. Warto też przypomnieć, jak bezczelna, prymitywna i zwyczajnie głupia była wtedy ich propaganda. Główne argumenty za sfałszowanymi wyborami? Analiza anonimowego mężczyzny z serwisu Wykop, który szybko przyznał, że napisał ją po pijaku. „Badania" Kontka, których głupota i fałsz były oczywiste nawet dla niezbyt uzdolnionego matematycznie ucznia liceum. W końcu opowieści snute przez Giertycha u Moniki Olejnik na temat „rodaków kamratów", których tajna sieć agentów masowo opanowała lokale wyborcze. Z perspektywy czasu brzmi to zupełnie groteskowo, pamiętajmy jednak, że w tego typu narrację weszło wiele z najważniejszych ośrodków politycznych, prawniczych czy medialnych. Głównymi politykami nadającymi spin o „sfałszowanych wyborach" byli Tusk, Bodnar i Giertych. Za nimi podążyły wiernie ich „autorytety", takie jak profesor Zoll czy adwokat Kalisz i im podobni, ich funkcjonariusze medialni z TVN, „Wyborczej" i reszty tego typu tub propagandowych uśmiechniętej Polski. Brednie te powtarzał także dzisiejszy idol części prawicy Leszek Miller. Rozpowszechniana przez te środowiska narracja o „wyborczych fałszerstwach" była skrajnie destrukcyjna dla państwa. Wyglądała ona jak żywcem napisana na Kremlu, ponieważ jeden do jednego w swoich najważniejszych elementach okazywała się tożsama z „separatystycznymi narracjami" używanymi przez Rosję do destabilizacji państw, z którymi ma konflikt. Jej celem było przekonanie jak najszerszej grupy ludzi (w pewnym momencie, jak wynika z badań, w opowieść o „sfałszowanych wyborach" wierzyło nawet 40 procent Polaków!) do tego, że jeden z podstawowych ośrodków odpowiedzialnych za bezpieczeństwo państwa (a takim jest ośrodek prezydencki) nie ma legitymacji do działania. Więcej, że jest właściwie bytem wrogim, z którym należy walczyć. W sytuacji kryzysowej doprowadziłoby to do podobnego paraliżu państwa czy wręcz działań dywersyjnych, jakie moglibyśmy obserwować na Krymie. Ot, taka nasza wersja „zielonych ludzików". Ta śmiertelnie groźna dla państwa narracja wcale nie zniknęła. Raz po raz pojawia się w najważniejszych mediach powiązanych z władzą. Ostatnio w neo-TVP funkcjonariusz Pawlicka stwierdziła, że wciąż nie wiadomo, ile Nawrocki naprawdę dostał głosów. W „Wyborczej" pojawił się tekst Kublik o Nawrockim „uzurpatorze", Szczepkowska i tym podobne „autorytety" obecnej władzy wciąż powtarzają, że Nawrocki to „rezydent", który został niesłusznie zaprzysiężony i nie ma prawa tytułować się prezydentem. Podobne wątki pojawiają się ciągle, a szczególnie teraz, przy okazji rocznicy zaprzysiężenia, w TVN, „Polityce", „Newsweeku" etc. Zresztą zwróćmy uwagę na pod-

eprasa.pl a51e4bc623



RYS. RAFAŁ ZAWISTOWSKI

stawowy zbitek słów, jaki używany jest, coraz ostrzej i częściej, w mediach głównego nurtu do opisu prezydenta. „Alfons, ćpun, rezydent, uzurpator” – wszystkie te określenia nie są wcale kwestionowaniem samej polityki Nawrockiego. Ich cel jest dużo głębszy. Chodzi o stworzenie wrażenia, że nie ma on prawa być na tym stanowisku, że nie posiada odpowiedniej legitymacji. Że doszło do błędu tak dużego, że wolno nawet zakwestionować wynik demokratycznych wyborów.

Czerwony guzik Tuska

Pytanie: dlaczego Donald Tusk i jego media nadal po ponad roku podkręcają ten przekaz? Czy chodzi tylko o karmienie najbardziej radykalnej, agresywnej części swojego elektoratu? Patrząc na wymienione ośrodki propagandowe, które wciąż biorą udział w tej operacji, widać wyraźnie, że nie jest to narracja, która ma pozostać jedynie w obrębie wspomnianej grupy. Owszem widzimy wyraźną różnicę, jeśli chodzi o natężenie tej propagandy. Silni Razem są nią karmieni w sposób właściwie stały, 24 godziny na dobę, przez rozmaite pudła rezonansowe Giertycha, takie jak Szczepkowska, Skiba czy ich klony. Tymczasem w mediach władzy o bardziej „cywilizowanym” obliczu pojawia się ona rzadziej, ale cyklicznie, konsekwentnie – zwłaszcza w najbardziej symbolicznych momentach. Przy okazji świąt państwowych czy, jak mieliśmy ostatnio do czynienia, z okazji roku prezydentury Karola Nawrockiego. Pokazuje to jedno – ta skrajnie szkodliwa dla polskiej racji stanu propaganda ma się tlić w całości elektoratu, żeby – gdyby doszło do sprzyjających okoliczności – Donald Tusk i sprzedane mu media mogły ją ponownie odpalić. Jest jak rodzaj specjalnie podtrzymywanej choroby, która jeśli tylko organizm państwowy odpowiednio osłabnie, może rozlać się na znaczną część jego instytucji. Rodzaj „czerwonego guzika”, którego wciśnięcie zależy tylko od decyzji uśmiechniętego premiera. Jasne, patrząc na to, co się dzieje obecnie, tak wewnątrz kraju, jak i geopolitycznie za granicą, może nam się wydawać wątpliwe, że Tusk zdecyduje się na ten ruch. Sytuacja jest dla niego jeszcze bardziej niekorzystna, niż była rok temu. Ma znacząco mniejsze poparcie społeczne, Trump wciąż rządzi, zaś berlińscy i brukselscy patroni uśmiechniętej władzy mają swoje problemy. Z drugiej strony nie powinniśmy zapominać o czysto ludzkim komponencie, czyli desperacji. Obecny rząd ma świadomość, jaki jest kaliber przestępstw, które popełnił. Wielu z jego członków może uważać, że to już droga, z której nie ma odwrotu. Dodajmy do tego, że znaczna część z nich może mieć utrudnioną ewakuację, jeśli w części państw UE zwyciężą antyestablishmentowe ugrupowania (a jest to bardzo możliwe), lub po prostu nie mieć na nią ochoty.

Nie zapominajmy!

Zdesperowany Tusk ze swoją ekipą mogą uznać, że jedyne, co może ich uratować, to niedopuszczenie do wyborów parlamentarnych, ewentualnie nieuznanie ich wyniku. Żeby jednak to zrobić, muszą się pozbyć prezydenta. Jak to wykonają, jeśli się zdecydują na taki ruch? Trudno na ten moment stwierdzić. Może być to jakaś hucpa z Trybunałem, jakaś maskarada uchwałowa, cokolwiek, jednak pewne jest to, że jeśli wejdą w takie bezprawie, żeby ten kryminał usprawiedliwić, będą musieli do maksimum rozkręcić narrację o nielegalnym uzurpatorze Nawrockim, który nie wygrał wyborów. Oczywiście taka decyzja doprowadzi do skrajnego chaosu w kraju. Byłoby to nie tylko uderzeniem w fundamenty demokracji, ale i, patrząc na obecną sytuację geopolityczną, zagrożeniem dla fizycznego trwania naszego państwa... niemniej Tusk już rok temu wskazał, że jest do tego skłonny, a powiązane z władzą ośrodki propagandowe wciąż pokazują gotowość na taki ruch. Fakt, że narracja o sfałszowanych wyborach to wciąż odbezpieczony granat w rękach Tuska, pokazuje, jak bardzo powinniśmy na tę sprawę być wyczuleni. Tymczasem można odnieść wrażenie, że w nawale kolejnych afer i awantur organizowanych przez ten rząd tak fundamentalna kwestia nam po prostu umyka. Dlatego już teraz każde media zainteresowane losem Polski powinny regularnie zadawać dwa pytania reprezentantom najważniejszych partii opozycyjnych. Po pierwsze – co mają zamiar zrobić, jeśli Tusk zdecyduje się na opisywany powyżej destrukcyjny ruch dla Polski. Po drugie – jakie konsekwencje mają zamiar wyciągnąć wobec ludzi odpowiedzialnych za tę oczywistą zdradę stanu, za próbę zniszczenia naszego demokratycznego systemu. Jaki los spotka Bodnara, Giertycha czy samego Tuska za tę jedną, konkretną sprawę? Bo jeśli pozostaną bezkarni po czymś takim, to oznacza tylko jedno – nasza demokracja to zjawisko sezonowe, a prędzej czy później podobna im grupa powtórzy opisywaną tu operację – tylko tym razem skutecznie. **GP**

eprasa.pl a51e4bc623



Piotr
Grochmalski

NOWA DOKTRYNA NUKLEARNA USA



USA przyspieszają przygotowania do wojny z Chinami i Rosją. Pentagon pracuje nad korektą strategii nuklearnej na wypadek agresji Putina lub Xi Jinpinga na Stany Zjednoczone. Waszyngton chce rozwinąć taktyczną broń jądrową krótkiego zasięgu, aby zwiększyć opcje odstraszania. To zdecydowany sygnał wysłany do Pekinu i Moskwy, gdy coraz więcej danych wywiadowczych ujawnia skalę współdziałania przemysłów zbrojeniowych obu tych autorytarnych państw. Co to oznacza dla Polski?

PUBLICYSTYKA

Waszyngton wysyła ważny sygnał w momencie, gdy coraz większej dynamiki nabierają regionalne rywalizacje, a na Bliskim Wschodzie, w Mekce, Turcja, Arabia Saudyjska i Pakistan podpisały 7 sierpnia 2026 roku pakt obronny. Porozumienie zakłada zasadę wzajemnej obrony wzorowaną na art. 5 traktatu o NATO. To nie tylko odpowiedź na zagrożenie z Iranu, to też format konkurencyjny wobec zacieśniającej się współpracy Indii, Izraela i Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

Dlatego Waszyngton sygnalizuje rewizję swojej strategii nuklearnej. Podsekretarz stanu ds. polityki wojennej w Pentagonie Elbridge Colby ogłosił 5 sierpnia rozpoczęcie przeglądu amerykańskiej podstawy w kwestii broni nuklearnej, którego celem jest zapewnienie Białemu Domowi większej liczby „opcji".

Archaiczne strategie odstraszania

USA są bliskie przełomowej decyzji po ponad dekadzie narastających obaw, że Rosja i Chiny opracowują kolejne „taktyczne" głowice jądrowe o mniejszej mocy, podczas gdy arsenał USA w ogromnej mierze opiera się na cięższej „strategicznej" broni jądrowej i nie przystaje do obecnych realiów. Obce państwo mogłoby użyć broni o mniejszej mocy i postawić prezydenta Stanów Zjednoczonych w sytuacji bez wyjścia: albo nie zareagowałby, albo musiałby odpowiedzieć przytłaczającą, miażdżącą siłą.

Szef Dowództwa Strategicznego USA (STRATCOM) adm. Richard Correll, w wypowiedzi dla Breaking Defense jednego z czołowych portali zajmujących się bezpieczeństwem, stwierdził, iż Departament Wojny poszukuje sposobów „rozszerzenia dostępnych opcji" dla prezydenta i zapewnienia „przestrzeni decyzyjnej na wypadek każdego możliwego scenariusza eskalacji". W istocie chodzi o odzyskanie przez USA dominacji w nuklearnym odstraszaniu.

John Lewis Gaddis w swoim pomnikowym dziele „Strategie powstrzymywania" zwraca uwagę, że prezydent Dwight Eisenhower narzucił Rosji strategię odstraszania opartą na groźbie użycia przez USA broni nuklearnej w odpowiedzi na najmniejszą nawet rosyjską prowokację. Dziś to Putin przejął strategię eskalacyjną. Od początku pełnoskalowej agresji na Ukrainę Rosja traktowała odstraszanie nuklearne jako integralny element konfliktu, który miał wywierać stałą presję na USA i NATO, by ograniczyć skalę i rodzaj udzielanej pomocy militarnej dla Ukrainy.

W wymiarze strategicznym Kreml wykorzystywał pewną strukturalną cechę podejścia amerykańskich elit do broni nuklearnej. Jak zwrócił uwagę Henry Kissinger w swojej „Dyplomacji": „W epoce zarysowującej się równowagi sił nuklearnych broń ta będzie ograniczała amerykańską skłonność do podejmowania ryzyka, co tym samym będzie zmniejszało swobodę manewrów dyplomatycznych".

Rosja umiejętnie to wykorzystywała jako element presji politycznej na administrację prezydenta Joego Bidena. Bob Woodward w swojej „Wojnie" opisuje panikę, jaką wywołały w Białym Domu informacje, że Putin, po spektakularnej klęsce Rosji pod Charkowem we wrześniu 2022 roku i zbliżającej się katastrofie pod Chersoniem, która ostatecznie nastąpiła w listopadzie 2022 roku, miał rozważać użycie na froncie taktycznej broni nuklearnej wobec Ukrainy.

To wtedy Lloyd Austin, szef Pentagonu, w rozmowie z ówczesnym rosyjskim szefem resortu obrony Siergiejem Szojgu miał stwierdzić: „Jeżeli to zrobicie, nie będziemy się dalej ograniczać w naszych działaniach w Ukrainie". Rzekomo dopiero publiczne ostrzeżenie Xi Jinpinga, chińskiego przywódcy, miało pohamować Putina.

Niebezpieczna asymetria taktycznej broni nuklearnej

Po zakończeniu zimnej wojny istniała pogłębiająca się asymetryczność w podejściu do broni nuklearnej przez Zachód, w tym USA i NATO, i Rosją. Jeszcze w 1991 roku Amerykanie utrzymywali w Europie niemal 5 tys. ładunków nuklearnych, a dziś, w ramach Nuclear Sharing, jest to ledwie sto bomb grawitacyjnych B61-12. To praktycznie dzisiaj jedyne zasoby USA w Europie, gdy chodzi

eprasa.pl a51e4bc623



FOT. ADOBE STOCK

o taktyczną broń nuklearną. W Stanach Zjednoczonych jest dodatkowe 180 tych bomb.

Natomiast Rosjanie mogą posiadać od 1553 sztuk taktycznych ładunków nuklearnych do nawet 3 tys. Już po zakończeniu zimnej wojny rozbudowali też systemy podwójnego zastosowania – zdolne do przenoszenia konwencjonalnych ładunków i równocześnie taktycznych głowic nuklearnych, jak: Iskander M, Kalibr 3M, Cirkon 3M22 czy Ch-102 (w Polskę 30 lipca uderzył pocisk w wersji konwencjonalnej, Ch-101).

Harold Brown, szef amerykańskiego Departamentu Obrony w czasach prezydenta Jimmy'ego Cartera, sarkastycznie stwierdził, że „kiedy my się zbroimy, oni też się zbroją. Kiedy my się rozbrajamy, oni się zbroją". Ta asymetryczność zaczęła się pogłębiać już za czasów Jelcyna, ale przyspieszyła w epoce Putina.

Punktem krytycznym była agresja Federacji Rosyjskiej na Ukrainę. Jak zauważają analitycy Stimson Center w Waszyngtonie William Alberque i Artur Kacprzyk: „Prezydent Rosji Władimir Putin stosował groźby nuklearne przeciwko Stanom Zjednoczonym i ich sojusznikom z NATO z coraz większą częstotliwością i intensywnością od czasu, gdy Rosja ponownie najechała Ukrainę w lutym 2022 roku. Na przestrzeni lat Rosja zwiększyła rodzaje, liczbę i dokładność swojej broni dwufunkcyjnej i nuklearnej przeznaczonej do użytku na polu bitwy i teatrze działań, jednocześnie zwiększając częstotliwość i widoczność ćwiczeń terenowych i rozmieszczeń z udziałem tej broni. NATO ze swojej strony spędziło ponad dwie dekady po zimnej wojnie na zmniejszaniu liczby broni nuklearnej i systemów przenoszenia przypisanych do obrony sojuszu, a także wszystkich powiązanych zdolności (takich jak siła robocza, infrastruktura i planowanie)".

Potencjał strategiczny USA

Ameryka, która jeszcze pod koniec zimnej wojny produkowała ponad tysiąc rdzeni jądrowych, owych kul wielkości brzoskwini, z plutonu 239, w zakładach Rocky Flats w Kolorado, musi wykorzystywać teraz stare rdzenie w modernizowanych głowicach. Fabryka została zamknięta w 1989 roku po nalocie FBI i pod zarzutem przestępstw środowiskowych; i od tego momentu do dziś USA utraciły zdolność do masowej produkcji owych plutonowych zapalników.

Po dekadach batalii ostatecznie w Los Alamos, w obiekcie PF-4, w październiku ubiegłego roku wznowiono produkcję rdzeni, ale wiele brakuje do planowanego poziomu 30 sztuk rocznie. A obiekt Savannah River Site (SRS) w Karolinie Południowej ma do tego dołożyć każdego roku 50 rdzeni, ale wszystkie plany zostały już zawalone i – według najnowszych terminów – linia produkcyjna ma ruszyć niewcześniej niż we wrześniu 2035 roku.

Opóźnienia dotyczą też modernizacji kluczowych elementów amerykańskiej strategicznej triady nuklearnej. Podwodna atomowa pięść oparta na 14 wysłużonych, wielokrotnie modernizowanych okrętach klasy Ohio (każdy wyposażony w 20 rakiet Trident II D-5, z których każda przenosi od 4 do 8 głowic) ma być stopniowo zastępowana 12 jednostkami klasy Columbia do 2042 roku (pierwsza ma wejść do służby w 2031 roku).

Lądowy potencjał strategiczny opiera się na 400 rakietach Minuteman III wyposażonych w jedną głowicę. To przestarzała konstrukcja. Mają je zastąpić od początku lat 30. XXI wieku rakiety balistyczne LGM-35A Sentinel. W tym roku rozpoczęto budowę prototypowego pierwszego silosu dla tej międzykontynentalnej broni. Stare stanowiska startowe nie będą wykorzystane, a to pokazuje skalę przedsięwzięcia.

Pilnej modernizacji wymaga też powietrzna pięść atomowa. USA dysponują obecnie 20 bombowcami strategicznymi B-2A, a także 72 B-52H, z których 46 jest przystosowanych do przenoszenia przestarzałej rakiety manewrującej AGM-86 ALCM, wyposażonej w głowicę W80 o pięciokilotonowej sile detonacji.

Ale to się już zmienia. Lotnictwo ma wzmocnić supernowoczesny bombowiec strategiczny B-21 Raider, który wszedł we wstępną fazę produkcji seryjnej w 2024 roku, a pierwsze egzemplarze mają trafić do armii w 2027 roku. Pentagon zamówił sto takich maszyn. Będą wyposażone w nowoczesny strategiczny pocisk manewrujący AGM-181 LRSO, przenoszący głowicę termojądrową W80-4 na dystans 2,5 tys. km.

Trump obudził Amerykę

Prezydent Donald Trump już za pierwszej swojej kadencji naciskał na przyspieszenie prac nad strategicznym pociskiem manewrującym AGM-181 LRSO. Ale rozumiał też, jak groźna jest pogłębiająca się asymetria z Rosją dotycząca taktycznej broni nuklearnej. Stąd pomysł budowy zmodyfikowanej głowicy W76-2 dla rakiet Trident, aby wyposażyć ją w ładunek „niestrategiczny", o mocy detonacji poniżej 10 kiloton.

Zdecydowanie ważniejszy był jednak projekt, forsowany przez niego, zbudowania SLCM-N – taktycznego morskiego pocisku manewrującego, uzbrojonego w głowicę ją-

eprasa.pl a51e4bc623

drową NSNW. Oba przedsięwzięcia z początku wyhamował Joe Biden, ale po agresji Rosji na Ukrainę radykalnie zmienił zdanie.

Ale to Trump po powrocie do Białego Domu mocno naciska na szybką realizację SLCM-N. Po tym jak prezydent Obama w 2010 roku wycofał ze służby Tomahawka, armia nie dostała jego następcy. To dlatego jest teraz ogromna presja, aby naprawić ten strategiczny błąd.

System ma przede wszystkim zwiększyć elastyczność odpowiedzi prezydenta USA w sytuacji ograniczonego użycia broni jądrowej przez przeciwnika albo poważnego kryzysu regionalnego. SLCM-N dodaje do zestawu amerykańskiego arsenału niestrategicznego (dziś opartego niemal wyłącznie na bombach B61 przenoszonych przez samoloty oraz na ograniczonej liczbie niskomocowych głowic W76-2 dla pocisków Trident II D5) pocisk oparty na bardzo nowoczesnym, skrytym, mobilnym i morskim środku przenoszenia, który nie wymaga bazowania broni jądrowej na terytorium sojusznika.

SLCM-N zapewnia regionalną obecność nuklearną USA bez uzależnienia od państw-gospodarzy oraz rozszerzenie opcji prezydenta w przypadku ograniczonego użycia broni jądrowej lub strategicznego ataku niejądrowego. Oznacza to jakościowe zwiększenie odporności i elastyczności odstraszania USA. Najważniejszą wartością SLCM-N będzie możliwość wyboru dodatkowego sposobu odpowiedzi bez konieczności natychmiastowego sięgania po strategiczne pociski balistyczne lub bombowce.

Ogromne nakłady na zbrojenia

Donald Trump dokonał imponującego przełomu. Od maja 2026 roku Stany Zjednoczone wymieniają lub modernizują niemal każdy element swojego strategicznego arsenału nuklearnego, a także nabywają potencjał nuklearny, którego produkcja została przerwana pod koniec zimnej wojny.

Koszty zakupu nowych strategicznych środków transportu – pocisków rakietowych, bombowców i okrętów podwodnych – dla sił zbrojnych wyniosą co najmniej 516 mld dolarów. Koszt eksploatacji i utrzymania tych systemów przez cały okres ich eksploatacji wyniesie ponad 430 mld dolarów. Koszt zakupu głowic – zaprojektowanych i zbudowanych przez Narodową Administrację Bezpieczeństwa Jądrowego (NNSA) – to 70 mld dolarów, nie licząc ogromnych wydatków związanych z budową infrastruktury pomocniczej.

Łącznie działania NNSA w zakresie uzbrojenia będą wymagały nakładów około 720 mld dolarów w ciągu najbliższych 25 lat. Przyszłe przewidywalne koszty amerykańskich sił jądrowych wynoszą zatem co najmniej 1,7 bln dolarów.

To też odpowiedź na przyspieszoną rozbudowę chińskiego arsenału nuklearnego. Według najnowszych szacunków Sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem (SIPRI) Chiny posiadały na początku 2026 roku około 620 głowic nuklearnych, podczas gdy jeszcze w 2024 roku szacowano ich liczbę na 500. SIPRI podkreśla, że ChRL prowadzi obecnie najbardziej dynamiczną rozbudowę arsenału spośród mocarstw nuklearnych.

Przy czym, podobnie jak Moskwa, Pekin kładzie duży nacisk na arsenał taktycznej broni nuklearnej i posiadanie systemów podwójnego zastosowania, pozwalających na używanie ich także jako nośników taktycznych ładunków jądrowych.

Po wygaśnięciu 5 lutego 2026 roku amerykańsko-rosyjskiego traktatu, zwanego New START, USA muszą zwiększyć swoje siły nuklearne. Będzie to odpowiedź na ich rozbudowę przede wszystkim przez Chiny, ale też przez Rosję. Może to pomóc we wzmocnieniu odstraszania przez NATO.

USA wzmacniają presję na Chiny i Rosję

To pod presją zagrożeń USA wyraźnie zmieniają sposób myślenia o roli broni jądrowej. Atomową strategiczną triadę – obejmującą: międzykontynentalne pociski balistyczne, atomowe okręty podwodne i bombowce strategiczne – musi wzmocnić taktyczna, a dokładniej niestrategiczna broń jądrowa o relatywnie niskiej mocy oraz systemy zdolne do jej przenoszenia na teatrze działań.

Najważniejszym sygnałem zmiany jest amerykańska Narodowa Strategia Obrony z 2026 roku. Dokument nie ogłasza wprost przejścia USA na doktrynę „taktycznej wojny nuklearnej", ale wskazuje na istotne przesunięcie akcentów. Waszyngton zapowiada „modernizację i adaptację naszych sił nuklearnych" ze „szczególnym uwzględnieniem odstraszania i zarządzania eskalacją".

Właśnie tę zmianę akcentują autorzy analizy Center for Strategic and International Studies. Heather Williams i Nicholas Adamopoulos piszą, że nowa architektura nuklearna administracji Trumpa opiera się na dwóch filarach: „bardziej elastycznym odstraszaniu" oraz „bardziej kompleksowej kontroli zbrojeń". Jednocześnie wskazują, że Stany Zjednoczone mogą potrzebować „dywersyfikacji i rozszerzenia" arsenału, aby lepiej odstraszać przeciwników i zarządzać eskalacją, szczególnie w konfliktach regionalnych.

To ważne rozróżnienie. Klasyczna logika strategicznego odstraszania opierała się na przekonaniu, że każdy wielki atak nuklearny spotka się z niszczącym odwetem. Problem pojawia się jednak wtedy, gdy przeciwnik przeprowadza ograniczoną operację nuklearną i zakłada, że Waszyngton nie zdecyduje się odpowiedzieć strategicznym uderzeniem, ponieważ oznaczałoby ono ryzyko wojny prowadzącej do wzajemnego zniszczenia terytorium USA i Rosji albo USA i Chin. W takiej sytuacji powstaje luka pomiędzy bronią konwencjonalną a strategiczną bronią jądrową.

Właśnie tę lukę chce potencjalnie wypełnić nowa amerykańska koncepcja. Jeżeli Rosja uznałaby, że może użyć ograniczonego ładunku jądrowego przeciwko państwu NATO, licząc na to, że USA nie odpowiedzą strategicznym uderzeniem, wiarygodność amerykańskiego odstraszania byłaby osłabiona. Z punktu widzenia Waszyngtonu problemem nie jest więc wyłącznie liczba głowic, lecz także to, czy prezydent USA dysponuje odpowiednimi opcjami odpowiedzi.

CSIS zauważa, że chodzi o stworzenie prezydentowi „opcji odstraszania i pokonania przeciwników, szczególnie na poziomie regionalnym". W tym sensie broń taktyczna nie musi oznaczać przygotowania Stanów Zjednoczonych do prowadzenia „małej wojny atomowej". Jej podstawową funkcją pozostaje odstraszanie.

eprasa.pl a51e4bc623

Paradoks polega na tym, że broń o mniejszej mocy może być postrzegana jako bardziej wiarygodny instrument odstraszania właśnie dlatego, że jej potencjalne użycie nie musi automatycznie oznaczać strategicznej zagłady. To jednak zarazem największy problem tej koncepcji. Im bardziej użyteczna staje się broń jądrowa na niższym szczeblu eskalacji, tym większe może być ryzyko, że granica między odstraszaniem a rzeczywistym użyciem atomu stanie się mniej wyraźna.

Nie jest to całkowicie nowa idea w amerykańskiej polityce nuklearnej. Przegląd Postawy Nuklearnej USA z 2018 roku, powstały za pierwszej kadencji Trumpa, zakładał „rozszerzenie elastycznych opcji nuklearnych USA" o środki o niższej mocy, które miały podnosić próg nuklearny i uniemożliwiać przeciwnikowi uznanie ograniczonej eskalacji nuklearnej za korzystną.

Nowością w 2026 roku jest jednak połączenie tej koncepcji z odpowiedzią na rosnące znaczenie Chin, szybki rozwój rosyjskich zdolności niestrategicznych oraz wygaśnięcie New START.

Rola Polski

Tu pojawia się historyczna szansa dla Polski jako państwa kluczowego na wschodniej flance NATO i dysponującego nowoczesnymi samolotami F-35A. To ostatnie może mieć w przyszłości znaczenie większe, niż wynikałoby z samego zakupu tych maszyn.

NATO już obecnie opiera swoją nuklearną architekturę na amerykańskiej broni rozmieszczonej w Europie oraz na samolotach państw sojuszniczych zdolnych do wykonywania misji nuklearnych. Sojusz podkreśla, że USA zachowują absolutną kontrolę nad amerykańską bronią jądrową rozmieszczoną w Europie, natomiast państwa uczestniczące zapewniają samoloty, pilotów, infrastrukturę i inne elementy systemu.

Sojusz określa Nuclear Sharing jako widoczną manifestację „transatlantyckiego związku między Europą a Ameryką Północną". Dla Polski może to stworzyć nowe możliwości uczestnictwa w amerykańskim i natowskim systemie Nuclear Sharing.

Rywalizacja USA z ChRL i Rosją oraz ryzyko wybuchu równoczesnych konfliktów w Europie i Azji wzmacniają argumenty za

USA są bliskie przełomowej decyzji po ponad dekadzie narastających obaw, że Rosja i Chiny opracowują kolejne „taktyczne" głowice jądrowe o mniejszej mocy, podczas gdy arsenał USA w ogromnej mierze opiera się na cięższej „strategicznej" broni jądrowej i nie przystaje do obecnych realiów.

tym, by sojusznicy w większym stopniu uzupełniali amerykańskie odstraszanie nuklearne. Oprócz zwiększenia roli, jaką arsenały nuklearne Francji i Wielkiej Brytanii odgrywają w ochronie Europy, mogłoby to objąć także szerszy udział pozostałych sojuszników, w tym Polski, w Nuclear Sharing z USA. Może to polegać na zapewnieniu przez te państwa dodatkowych samolotów do przenoszenia amerykańskiej broni jądrowej rozmieszczonej w Europie.

Wskazane byłoby również dalsze zwiększanie liczby miejsc jej stacjonowania. Korzystne dla nuklearnego odstraszania będzie także szybsze wzmacnianie zdolności do precyzyjnych uderzeń konwencjonalnych na dalekich dystansach, w tym pozyskanie przez Polskę wystrzeliwanych z lądu pocisków średniego zasięgu (w przedziale 1–3 tys. km).

Systemy tego typu i tak są konieczne do prowadzenia skutecznej obrony przed agresją konwencjonalną, czyli do uderzeń na położone w głębi terytorium wroga wojska i wspierającą je infrastrukturę. W niektórych przypadkach pociski te mogłyby posłużyć ponadto do dokonania odwetu za ograniczone ataki nuklearne, na przykład do uderzeń na infrastrukturę krytyczną przeciwnika. Mogłyby także zostać wykorzystane do zwalczania rosyjskich systemów podwójnego zastosowania (zdolnych do przenoszenia broni konwencjonalnej i nuklearnej), a także do wspierania operacji sił jądrowych państw NATO, zwłaszcza poprzez osłabianie obrony powietrznej wroga.

Oznacza to, że potencjalne przystąpienie Polski do Nuclear Sharing nie musi oznaczać rozmieszczenia amerykańskich bomb atomowych w Polsce w czasie pokoju. Wręcz przeciwnie, obecna konstrukcja programu pozwala myśleć o znacznie bardziej elastycznych rozwiązaniach. Niedawno wskazywał na to William Alberque, były wysoki rangą urzędnik NATO, według którego bardziej prawdopodobnym rozwiązaniem dla Polski mogłaby być certyfikacja polskich F-35A do wykonywania misji nuklearnych oraz wykorzystanie wybranych polskich baz jako rozproszonych centrów operacyjnych, do których broń byłaby przemieszczana dopiero w sytuacji kryzysu. **GP**

OGŁOSZENIE REDAKCYJNE

Pomoc dla Domu Chleba

Redakcja „Gazety Polskiej" wraz z zakonem oo. barnabitów zwraca się do wszystkich ludzi dobrej woli z prośbą **o wsparcie działalności Domu Chleba, funkcjonującego w parafii rzymskokatolickiej oo. Barnabitów pw. św. Antoniego Marii Zaccarii przy ul. Sobieskiego 15, który niesie pomoc osobom ubogim i bezdomnym.**

Wiemy, że jesteś dobry i hojny, dla nas i naszych podopiecznych każda złotówka jest bezcenna, dzięki Twojej ofierze kolejny głodny się nasyci.

Wpłat można dokonywać na konto: 78 1240 6175 1111 0000 4579 7336
DOM CHLEBA PARAFIA RZYMSKOKATOLICKA
PW. ŚW. ANTONIEGO M. ZACCARII.
Więcej informacji pod adresem:
www.parafiabarnabici.pl

eprasa.pl a51e4bc623



Krzysztof
Wołodźko

FASADOWE PAŃSTWO TUSKA
ANTYSPOŁECZNY EKSPERYMENT NA PODKARPACIU

Coraz ciemniejsze chmury wiszą nad ochroną zdrowia w Bieszczadach. Wiele wskazuje na to, że obecna władza zamierza przyspieszyć demograficzną katastrofę w tym regionie. Potężny kryzys szpitala w Sanoku współgra z zapowiadanymi od jakiegoś czasu planami likwidacji kolejnych placówek leczniczych i zastąpienia ich jednym molochem.



PUBLICYSTYKA

Sprawa szpitalu w Sanoku nie była dotąd tak głośna; przyćmiła ją słynna historia porodówki z Leska, którego mieszkańcy zostali oszukani zarówno przez premiera, jak i cały rząd. Donald Tusk jeszcze jako lider opozycji zapowiadał kompleksową pomoc dla tamtejszej lecznicy. Skończyło się na obietnicach. Tuż przed aferą szpitalną opinia publiczna zobaczyła lidera trzynastogrudniowej koalicji, jak gniewnym gestem odrzuca petycję lokalnej bieszczadzkiej społeczności, przerażonej wizją zamknięcia leskiej porodówki.

Coraz gorzej w Bieszczadach

Dzisiaj jest już jasne, że to nie jest jedyny problem w regionie. Coraz głośniej o narastających problemach Samodzielnego Publicznego Zespołu Opieki Zdrowotnej w Sanoku. Pracownicy tamtejszego SPZOZ zostali niedawno poinformowani, że wynagrodzenia za lipiec zostaną wypłacone, ale część zatrudnionych otrzyma jedynie 70 proc. pensji wynikającej z umowy. Całkowite zadłużenie placówki wynosi obecnie 218 mln zł. Placówka ma każdego miesiąca notować około 3,5 mln zł niedoboru finansowego.

Zarówno władze szpitala, jak i samorządu deklarują, że nie chcą zamykać żadnego z oddziałów i że wkrótce wdrożą plan naprawczy. W deklaracje nie wierzy jednak strona związkowa. W dodatku wszystko wskazuje na to, że rząd nie jest zainteresowany jakąkolwiek pomocą. Szczególnie że stopniowy upadek szpitala świetnie wpasowuje się we wspólną strategię premiera, Ministerstwa Finansów i resortu zdrowia na rozwiązywanie problemów w ochronie zdrowia przez likwidację placówek medycznych. Wszystko jak w puencie starego dowcipu: operacja się udała, tylko pacjent zszedł.

Dla lokalnej bieszczadzkiej społeczności to wszystko brzmi jak zły sen, ale świetnie wpisuje się w „plan naprawczy", o którym mówiono już rok temu. Latem 2025 roku nagłośniono informacje, że szpitale w Lesku, Sanoku i Ustrzykach Dolnych zostaną połączone w Szpital Bieszczadzki.

Co znamienne, TVN podawał wówczas w uspokajającym tonie, że nie wpłynie to na funkcjonowanie istniejących placówek. Więcej jeszcze, w lipcu ubiegłego roku mainstreamowa telewizja podawała, że „leska porodówka zostanie utrzymana i po przerwie, podczas której na oddziałach zostanie przeprowadzony remont, od 1 września ponownie będzie funkcjonować".

Kłamstwo w żywe oczy

Pół roku później porodówkę zamknięto, a o sprawie zrobiło się głośno, gdy Donald Tusk – ponownie w TVN – z miedzianym czołem przekonywał widownię, że porodówka w Lesku ma się świetnie. Tak działa liberalno-postkomunistyczny układ zamknięty. Czy może ściślej: układ, który gorąco liczy na odbudowę reglamentowanego obiegu informacji. Tyle że dopóki istnieje TV Republika, bardzo trudno będzie uczynić z patologii normę.

Wróćmy do głównego wątku rozważań: o konsolidacji bieszczadzkich szpitali zrobiło się ciszej, gdy okazało się, że sprawa budzi tak wielkie emocje opinii publicznej. Nie jest dzisiaj nagłaśniana, bo szczególnie fatalnie wyglądałaby w czasach afery szpitalnej.

Ale narastający kryzys sanockiej placówki, problemy szpitala w Lesku i niemałe kłopoty placówki w Ustrzykach Dolnych, regularnie opisywane przez branżowe media, wskazują, że wszystko przed nami. Tak zwana dzika restrukturyzacja trwa już w najlepsze i prawdopodobnie w kolejnych latach wywoła niejedno lokalne i ogólnopolskie trzęsienie ziemi.

Dla bieszczadzkich społeczności to jednak coś więcej niż chwilowy news – to realny dramat. W czym rzecz? W pierwszej połowie sierpnia lokalny portal informacyjny Rzeszów News podał w alarmistycznym tonie: „Najnowsze dane Urzędu Statystycznego w Rzeszowie za 2025 rok

eprasa.pl a51e4bc623



FOT. FACEBOOK

kreślą ponury obraz przyszłości województwa podkarpackiego. Region zmaga się z postępującym procesem starzenia się społeczeństwa oraz drastycznym spadkiem liczby urodzeń. (…) Na 25 analizowanych powiatów i miast na prawach powiatu w całym województwie dodatni przyrost naturalny w przeliczeniu na 1000 mieszkańców odnotowano wyłącznie w Rzeszowie i wyniósł on +1,4 proc.”.

Polska B oddana walkowerem

Mamy więc do czynienia z sytuacją, gdy zamiast prorozwojowej strategii liberalna władza, programowo niechętna Polsce B, walkowerem oddaje walkę o demografię i zachowanie potencjału społecznego całego regionu.

Ale obraz sytuacji jest bardziej skomplikowany. Władza spisuje Bieszczady na straty, choć miejscowości takie jak Polańczyk czy, szerzej, okolice Soliny przyciągają dziś młodszych mieszkańców. I to nie jest obserwacja turystyczna, lecz twarde dane GUS.

Kilka miesięcy temu portal wBieszczadach.pl podawał: „Wśród gmin, które zanotowały wzrost liczby mieszkańców, znalazły się Solina i Cisna – oba miejsca chętnie odwiedzane przez turystów. Gmina Solina liczy obecnie 5187 mieszkańców, z czego 50,1 proc. stanowią kobiety, a 49,9 proc. mężczyźni. W latach 2002–2024 liczba mieszkańców zwiększyła się o 1,4 proc., co czyni ją jedną z nielicznych gmin w regionie z dodatnim bilansem demograficznym. (…) Średni wiek mieszkańców oscyluje wokół 43 lat, co wskazuje na stabilną strukturę demograficzną regionu”.

Władza spisuje Bieszczady na straty, choć miejscowości takie jak Polańczyk czy, szerzej, okolice Soliny przyciągają dziś młodszych mieszkańców. I to nie jest obserwacja turystyczna, lecz twarde dane GUS.

Ten drugi przykład pokazuje, jak potężny potencjał drzemie w Bieszczadach. Jeśli jednak obecna władza narzuci tempo „deform”, których znakiem szczególnym jest antycywilizacyjny regres, szansa na utrzymanie pozytywnych zjawisk zacznie znikać. Im więcej zwijania państwa w regionie znienawidzonym przez warszawocentryczne, wielkomiejskie elity, tym trudniej będzie wykorzystać walory regionu dla utrzymania pozytywnych tendencji choćby w części tworzących go miejscowości.

Trudno podejrzewać obecną władzę, by miała dość wyobraźni, by myśleć o sprawie w taki sposób. Liczy się narzucony przez Ministerstwo Finansów, mentalnie akceptowany przez Donalda Tuska i jego otoczenie, balcerowiczowski model społeczno-gospodarczy, w którym dobrobyt państwa ocenia się na podstawie dobrostanu tych, którzy brylują na salonach. A przecież sytuacja w ochronie zdrowia jest jednym z papierków lakmusowych całego systemu społeczno-gospodarczego. I kierunku, w jakim on zmierza.

Dyrektorzy szpitali bez złudzeń

Znamienne, że nawet dyrektorzy powiatowych szpitali, czyli nierzadko ludzie popierający obecną władzę, krytykują plany owych reform szumnie zapowiedzianych przez Jolantę Sobierańską-Grendę. Tak wynika z niedawnej ogólnopolskiej ankiety, której wyniki opublikował branżowy portal Rynek Zdrowia: 66 proc. respondentów obawia się pogorszenia sytuacji szpitalnictwa, 73 proc. obawia się odejścia lekarzy, 90 proc. dostrzegało ryzyko zamykania oddziałów lub szpitali, 15 proc. lęka się zamknięcia całej placówki, a problemy z kształceniem lekarzy przewiduje 45 proc. ankietowanych. Mówimy zatem o bardzo dużych obawach praktyków ochrony zdrowia!

W każdym kraju, budującym więzi między obywatelami a instytucjami na cywilizowanych zasadach, a nie na jawnej przemocy, klientelizmie i korupcji, potrzebne są widome znaki efektywnego działania państwa. Znacznie łatwiej wynaradawiają się ludzie, którzy państwo uważają za wrogie, obce i obojętne, o czym w polskich realiach szczególnie mocno powinniśmy pamiętać.

Niestety, czasy III RP w znacznej mierze upłynęły nam pod rządami ludzi, dla których ta prosta prawda kompletnie się nie liczyła. Dziś znów są u sterów władzy. A negatywnych skutków tego stanu rzeczy wciąż przybywa. **GP**

eprasa.pl a51e4bc623



Mateusz **Matyszkowicz**

EUTANAZJA starej Francji



Francja właśnie przyjęła ustawę o „aide à mourir", czyli o pomocy w umieraniu – by nie użyć wprost określeń „eutanazja" czy „samobójstwo wspomagane". 15 lipca Zgromadzenie Narodowe ostatecznie przegłosowało akt 291 głosami przeciw 241. To koniec długiej i zaciętej batalii parlamentarnej, w której Senat stawiał opór do samego końca. – To cywilizacyjny regres – grzmi Michel Houellebecq. – I klasyczny przykład ideologicznej oligarchii – dodaje Chantal Delsol.

PUBLICYSTYKA

Francuski Senat trzykrotnie odrzucał projekt – w styczniu, maju i lipcu. Za każdym razem izba wyższa uznawała go za zbyt otwarty, niebezpieczny dla najsłabszych i pozbawiony realnych zabezpieczeń. Próby kompromisu w komisji mieszanej skończyły się fiaskiem. Rząd oddał ostatnie słowo posłom, omijając opór Senatu (w parlamencie francuskim obowiązuje procedura „navette", ustawa wędruje między dwiema izbami do momentu pełnego uzgodnienia treści).

Przewodniczący Senatu Gérard Larcher nazwał to „grą pozorów" i skierował ustawę do Rady Konstytucyjnej. To samo zrobił premier Sébastien Lecornu. Senat nie ustąpił ani na jotę, ale został zignorowany. Prawo zostało formalnie uchwalone, lecz wciąż jest zawieszone na decyzji sędziów konstytucyjnych.

Akt porzucenia najsłabszych

Ugrupowania polityczne oddały swoim posłom wolność głosowania i nikt nie narzucał dyscypliny. Mimo to układ głosów był czytelny. Największą przychylność tekst zyskał po lewej stronie i wśród stronników prezydenta Emmanuela Macrona. Lewica widziała w ustawie akt wolności i końcowy gest autonomii jednostki. Blok centrowy, choć wewnętrznie podzielony, w większości poszedł tą samą drogą. Prawica natomiast, od republikanów po Rassemblement National, stanęła po drugiej stronie.

Część przeciwników atakowała ustawę za nieprecyzyjność. Twierdzili, że kryteria są zbyt szerokie, okres namysłu zbyt krótki, a zabezpieczenia iluzoryczne. Brak obowiązkowej konsultacji psychiatrycznej, niejasne granice „cierpienia nie do zniesienia", słaba ochrona osób z niepełnosprawnością intelektualną – wszystko to miało otwierać furtkę do nadużyć. Senat wielokrotnie wskazywał te luki i domagał się twardszych gwarancji. Został zignorowany.

Inni szli dalej. Nie kwestionowali tylko technicznych braków. Mówili wprost o cywilizacyjnej zmianie. Legalizacja aktu dobrowolnej śmierci to obniżenie wartości życia. Przejście od opieki do terminacji. Od solidarności wobec słabych do indywidualnego prawa, które w praktyce może stać się społeczną presją. I właśnie te głosy są najciekawsze.

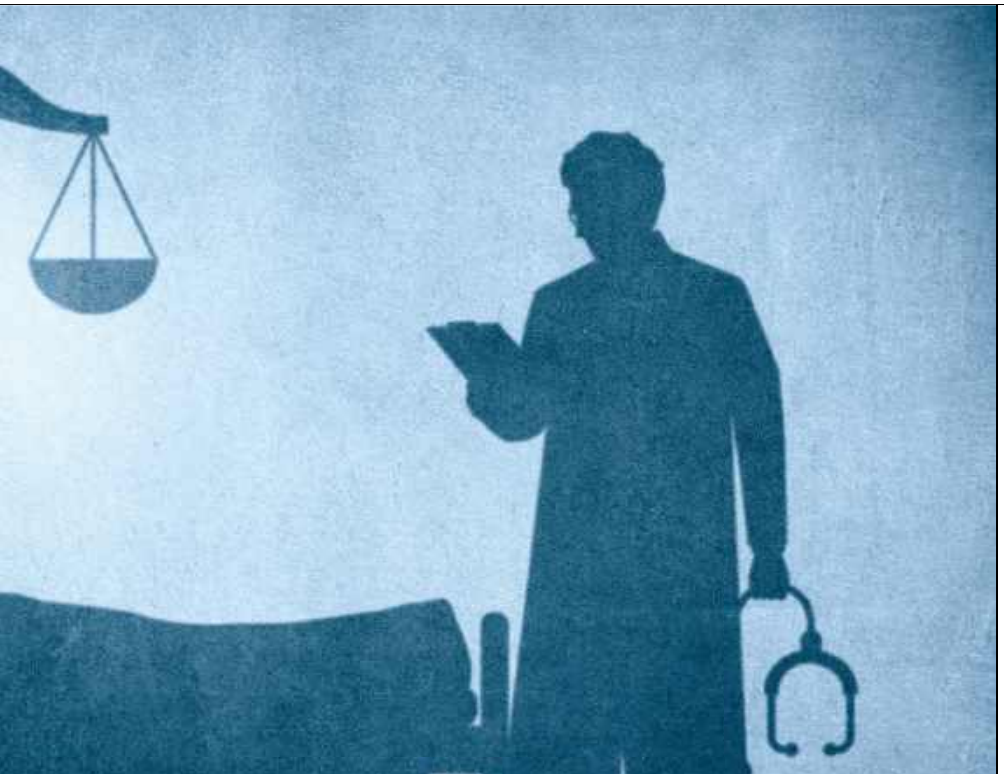
Najwyraźniejszym głosem tej linii był Bruno Retailleau, możliwy kandydat Republikanów na prezydenta. Nie chował się za technicznymi zastrzeżeniami, lecz mówił wprost o antropologicznym zerwaniu w naszej cywilizacji. Dla niego ustawa nie była poprawką do prawa medycznego, lecz aktem porzucenia najsłabszych i ryzykiem, że jutro łatwiej będzie prosić o śmierć niż o opiekę. Retailleau nazwał rzecz po imieniu i – biorąc pod uwagę temperaturę dzisiejszych sporów publicznych – bardzo odważnie.

Houellebecq: Nikt nie chce umierać

Michel Houellebecq, najciekawszy i najbardziej bezczelny diagnosta naszej cywilizacji, dał głos, którego nie można było zignorować. Żywy, skandalizujący, nigdy niewpisujący się w sztampową prawicowość ani chadecką pobożność; wręcz przeciwnie, bo jego diagnoza wychodzi z zupełnie innej perspektywy, zimnej i bezlitosnej wobec wszelkiego sentymentalizmu. Wypowiedział się dosłownie, bez owijania w bawełnę i bez żadnej troski o to, czy przypadnie do gustu którejkolwiek z gotowych ideologicznych formacji.

Dla niego eutanazja nie jest postępem, lecz regresją w najdosłowniejszym znaczeniu tego słowa. „Otruć kogoś umiemy od kilku tysięcy lat. Unikać cierpienia to nowsze i bardziej wyrafinowane" – mówił, odwracając cały narracyjny porządek zwolenników ustawy.

eprasa.pl a51e4bc623



FOT. ADOBE STOCK/AI

Houellebecq neguje istnienie autentycznej chęci umierania. „Dla uczciwości powiem, że uważam, iż chęć umierania nie istnieje. Istnieje chęć, by przestać cierpieć" – stwierdził wprost. Prośba o śmierć często maskuje coś zupełnie innego: lęk przed byciem ciężarem, przed zależnością, przed tym, że przestanie się być użytecznym. Opieka paliatywna mówi dokładnie coś przeciwnego: nie jesteś ciężarem, nigdy nim nie będziesz. Ustawa tę prawdę przekreśla i zamienia w jej przeciwieństwo, otwierając drogę do sytuacji, w której najłatwiej będzie właśnie prosić o koniec.

Najdalej idzie w ocenie całej cywilizacji. „Gdy kraj, społeczeństwo, cywilizacja dochodzi do punktu legalizacji eutanazji, traci w moich oczach wszelkie prawo do szacunku" – napisał już kilka lat wcześniej i nigdy się z tego nie wycofał. Zaczyna się od współczucia, kończy na księgowości, bo umierający kosztuje, a martwy nie kosztuje nic. Hospicja są drogie, wymagają personelu, czasu i pieniędzy. Ustawa jest tania, szybka i nazywa się nowym prawem.

Choć Michela Houellebecqa nigdy nie kojarzyliśmy z Janem Pawłem II, bo to światy kompletnie odmienne, jego diagnoza zjawiska jest zaskakująco zbieżna z nauczaniem Kościoła, które dla polskiego papieża stanowiło jeden z filarów myślenia o współczesności. Jan Paweł II mówił o cywilizacji śmierci i czynił z tego pojęcia klucz do rozumienia procesów, jakie ogarniają Zachód. Postępowa lewica od dekad robi sobie z tego sformułowania pośmiewisko, uznając je za reakcyjny relikt, za język, który nie zasługuje już nawet na poważną polemikę.

A jednak Houellebecq, pisarz tak czuły na najdrobniejsze zmiany, jakie przechodzi nasz świat, i tak daleki od jakiejkolwiek konfesyjnej retoryki, opisuje dokładnie ten sam mechanizm: cywilizację, która zamiast bronić życia w jego najsłabszej i najbardziej zależnej postaci, zaczyna je porządkować według kryteriów użyteczności, kosztów i komfortu, aż w końcu, krok po kroku, sama sobie podpisuje wyrok i nazywa to postępem.

Delsol: Oligarchia ignoruje lud

Wyjaśnienie tego zjawiska najdobitniej wyraża Chantal Delsol. Debatę nad prawem eutanazyjnym wpisuje ona w używane przez siebie pojęcie oligarchii ideologicznej, które pozwala zrozumieć, dlaczego tekst o tak głębokich konsekwencjach przechodzi mimo widocznego oporu i mimo braku stabilnej zgody społecznej.

Pojęcie to Delsol czerpie z klasycznej socjologii. Inspirowany teorią Maxa Webera Robert Michels sformułował kiedyś „spiżowe prawo oligarchii", według którego w organizacjach demokratycznych władza nieuchronnie koncentruje się w rękach aktywnej, zdeterminowanej mniejszości. Ta mniejszość, dzięki lepszej organizacji, ciągłości działania i ideowej pasji, skuteczniej narzuca swoją wolę niż rozproszona, bierna większość. Delsol przenosi ten mechanizm na współczesne demokracje zachodnie i nadaje mu charakter ideologiczny.

Dla niej oligarchia ideologiczna nie jest klasyczną władzą pieniądza ani statusu. To grupa, która wierzy, że posiada wyższy poziom świadomości moralnej i historycznej, dlatego ma prawo ignorować opór większości. Przedstawia siebie jako nosiciela postępu i emancypacji, a przeciwników jako zacofaną masę bez przyszłości. W imię postępu burzy dotychczasowy porządek i traktuje każdy sprzeciw jako przeszkodę do pokonania, a nie jako głos, z którym należy się liczyć.

Jeśli Francuzów zapytać o eutanazję, to raczej projektowi przyklasną, ale jeśli wejść w szczegóły i pytać o konkretne rozwiązania – odpowiedzi będą zbieżne raczej z krytykami nowego prawa. Dlatego według Delsol ustawa nie jest wyrazem demokratycznej woli ludu, lecz triumfem zorganizowanej, ideologicznie zmotywowanej mniejszości, która w imię postępu składa ofiarę z przyzwoitości i ze wspólnej moralności.

W ten sposób debata eutanazyjna i upór w jej wprowadzaniu w kolejnych głosowaniach, mimo oporu Senatu, zgodnie ze strategią, której elity oligarchiczne chętnie używają, czyli głosujmy tak długo, aż wyjdzie na nasze, są równocześnie znakomitym materiałem do diagnozy mentalnej współczesnej Europy. **GP**

eprasa.pl a51e4bc623



Wojciech **Mucha**

PUBLICYSTYKA

CZARNE CHMURY nad Słonecznym Brzegiem

„Czy musiało do tego dojść? Widocznie musiało, skoro doszło". Tym cytatem ze słynnych „Rozmów kontrolowanych" można podsumować sytuację, jaka ma miejsce w Bułgarii po wprowadzeniu tam waluty euro. Wstrząs, wzrost cen i spadek ruchu turystycznego z zagranicy nawet o 35 proc. Branża liczy straty, a stali bywalcy plaż nad Morzem Czarnym przyznają: tak drogo nie było nigdy.



O tym, że po wejściu Bułgarii do strefy euro kraj ten raczej na pewno powtórzy los pogrążającej się w drożyźnie Chorwacji, pisaliśmy w „Gazecie Polskiej" jeszcze w ubiegłym roku (nr 29/2025). To w lipcu rok temu Komisja Europejska „potwierdziła gotowość" tego najbiedniejszego kraju Wspólnoty do przyjęcia wspólnej waluty.

Choć wówczas Ursula von der Leyen przekonywała, że „to prawdziwe osiągnięcie, które wzmocni gospodarkę i przyniesie duże korzyści bułgarskim obywatelom i przedsiębiorcom, to wnioski z kończącego się powoli tegorocznego sezonu turystycznego nad Morzem Czarnym są jednoznacznie przeciwne.

Za golenie brody jak za zboże

– Dużo mam uwag, ponieważ tutaj spędziłem już w tym roku sześć tygodni i teraz jadę na następne trzy, więc wiem wszystko o cenach po wprowadzeniu euro – mówi z gorzkim uśmiechem Przemysław Miśkiewicz, znany Państwu były działacz opozycji antykomunistycznej i szef Stowarzyszenia Pokolenie, który urlop w Bułgarii spędza od wielu lat, zawsze w tej samej spokojnej okolicy, już przy granicy z Turcją. – Ludzi jest wyraźnie mniej, a ceny skoczyły dramatycznie, są momentami przeliczane na euro jeden do jednego w stosunku do lewa. Przykładowo pomidory, które rok temu kosztowały 5,8 lewa (około 13 zł – kurs z 2025 roku – red.), dziś kosztują 5 euro (21,5 zł). I co z tego, że to piękne pomidory? – pyta gorzko. Podobnie mają się ceny w prywatnym transporcie, usługach czy te związane z zakwaterowaniem. – Za golenie brody płaciłem 12 lewów (25 zł), dziś ten sam fryzjer życzy sobie 10 euro (43 zł). Nocleg w Warnie, który kosztował 100 lewów – 100 euro. I tak dalej – wylicza. Wszystko to o tyle zaskakujące, że przecież przez lata kurs euro był sztywno spięty z lewem i podobne sytuacje w teorii nie powinny mieć miejsca. I niewielkim pocieszeniem jest, że ceny na przykład transportu publicznego pozostały na podobnym poziomie.

Miśkiewicz przyznaje, że rzecz jest spowodowana nie tylko samym faktem wprowadzenia euro, ale oczywistą spiralą, w której przedsiębiorcy widzący podnoszenie cen przez konkurencję nie chcą zostać w tyle. – Oczywiście ceny w Polsce też rosną, tylko nie zauważamy tego, więc ten szok rok do roku jest tu bardziej wyraźny. Byłem tu jednak na sylwestra i widziałem, jak zmieniało się to w zasadzie z dnia na dzień o kilka–kilkanaście procent. Teraz dzieje się to samo. Jeden podnosi, a drugi nie chce być frajerem i robi to samo. Efekt jest oczywisty – mówi szef Pokolenia. Choć w większych miastach czy miejscowościach oddalonych od turystycznych kurortów ceny nie urosły aż tak dramatycznie, wybrzeże pogrąża się w drożyźnie.

Koniec tanich wakacji

Wszystko to sprawia, że Bułgaria, która do tej pory kojarzyła się ze względnie tanimi wakacjami i możliwością spędzenia czasu w warunkach może nie bijących się o bycie „siódmym cudem świata" i mniej atrakcyjnych niż choćby Chorwacja czy Grecja, ale względnie przyjemnych – z szerokimi plażami i ofertą turystyczną dostosowaną do chcącego spokojnie odpocząć budżetowego turysty, może utracić ten status. – Ceny sprawiają, że owszem, może wciąż jest taniej niż w Hiszpanii, ale co do Portugalii nie byłbym już taki pewien – dodaje Miśkiewicz.

eprasa.pl a51e4bc623



FOT. ADOBE STOCK/AI

Podobne sygnały płyną z całego wybrzeża. Przykładem może być mój wuj, który dla mnie w tych sprawach jest autorytetem niemniejszym niż Miśkiewicz, bo w słonecznej jak zawsze Rawdzie (lubiana przez Polaków niewielka miejscowość oddalona kilka kilometrów od Słonecznego Brzegu) spędza od blisko dwóch dekad kilkadziesiąt dni na przełomie sierpnia i września. Wskazuje on przy tym na szerszy trend, który został jedynie pogłębiony przez wprowadzenie euro. – Zmiany widzę od pandemii, przed którą ulice były pełne aż do 3 w nocy, obecnie pustoszeją przed północą, a nawet o 22, ludzie wydają wyraźnie mniej, nie biesiadują, tak jak jeszcze kilka lat temu. Plaże są mniej zatłoczone nawet w weekend, a ceny – wyższe w zależności od produktów od 20 do nawet 400 proc. – słyszę, gdy dzwonię do wuja w połowie sierpnia.

W Bułgarii wpływ wprowadzenia euro na inflację miał być „niewielki", o czym na swojej stronie pisał Europejski Bank Centralny, przekonując, że „wielu Bułgarów obawiało się dużych wzrostów cen po zastąpieniu lewa przez euro. Rzeczywistość jest jednak inna".

Przykładem może być pizza, której kawałek w małym barze kosztował 2,5 lewa (około 6 zł), a teraz – 2,5 euro. Sprawia to, że cały placek kosztuje ponad 100 zł i jak można się domyślić, chętni nie ustawiają się w kolejkach jak po wizycie youtubera „Książula". – Jestem strasznie smutny, wszystko jakby zdechło, nie widzi się ani spacerujących do późna ludzi, ani imprezowej atmosfery, gdy wychodzę na balkon przed północą – cisza – słyszę.

To fakt, dodać trzeba, że nie bez wpływu mogą być rosnące koszty życia w głębi Europy. Ale przecież jeszcze przed pandemią, gdy kilkukrotnie wybieraliśmy się z ojcem i wujem na męski wypad, plaże pękały w szwach, a ulice nie tylko znanego z komercji Słonecznego Brzegu, ale i Rawdy, gdzie zjeżdżały się rodziny z Polski, Rumunii, Ukrainy, Rosji, ale i Bułgarzy z głębi kraju, tętniły życiem długo po północy. Dziś dla przeciętnego turysty z Polski, a nawet z Niemiec, robi się po prostu dość drogo.

Ludzie widzą, dane pokazują

Dla krajowego turysty i wcześniej nie było tu najtaniej. – Właścicielka domu, w którym co roku mieszkam, nie podniosła cen, ale jest to wyjątek. Widzę przy tym Bułgarów, którzy przyjeżdżają ledwie na chwilę, na weekend, z własną wałówką, bo ceny na wybrzeżu są zabójcze – mówi mój wuj. To prawda, dodać jednak trzeba, że i przed wprowadzeniem euro podobne obrazki nie były zaskoczeniem.

Pomyślą Państwo, że to tylko dowody anegdotyczne, że nasłuchałem się narzekania znajomych, „jak to kiedyś było, a teraz nie jest". Co jednak zrobić, skoro twarde dane potwierdzają te obserwacje.

Już w czerwcu na północnym wybrzeżu Morza Czarnego odnotowano spadek zagranicznych gości o około 35 proc., a hotele, m.in. w Złotych Piaskach, były zapełnione ledwo w połowie. Tego trendu nie udało się powstrzymać. Jak mówił cytowany przez branżowy serwis Horecabc.pl Stanisław Stojanow, wiceprzewodniczący Związku Zawodowego Hotelarzy, „nastąpił drastyczny odpływ turystów z Niemiec oraz Rumunii". A jak czytamy, „stali odwiedzający" zauważyli wzrost cen nawet o 33 proc. „Przykładowo cena butelki piwa wzrosła z około 3,50 lewa do 2,80 euro, co po przeliczeniu daje niemal dwukrotną kwotę w pierwotnej walucie (…). Zamiast trzech dni ludzie wydają tyle samo pieniędzy, co wcześniej przez dwa dni" – relacjonuje serwis Horecabc.pl.

Oficjalnie wpływ wprowadzenia euro na inflację miał być „niewielki", o czym na swojej stronie pisał Europejski Bank Centralny, przekonując, że „wielu Bułgarów obawiało się dużych wzrostów cen po zastąpieniu lewa przez euro. Jednak wstępne dane wskazują, że zmiana waluty w Bułgarii miała jak dotąd ograniczony wpływ na ceny konsumpcyjne i postrzeganie inflacji", a Bułgarski Bank Narodowy jeszcze w tym samym czasie przekonywał, że „efekt euro to zaledwie 0,3–0,4 pkt proc." i „będzie przejściowy jak w Chorwacji", a wzrost cen tłumaczy się „ogólną inflacją kosztów" – w czerwcu było to 5,3 proc. po spadku z 6,9 proc. z maja – oraz sytuacją na rynku paliw czy spekulacyjnym przeliczaniem cen i „efektem kuli śnieżnej". Dla turysty to jednak żadne pocieszenie.

Wiele wskazuje na to, że sezon nad Morzem Czarnym w Bułgarii skończy się tak, jak przewidywali wszyscy, poza chyba tylko wspominaną na początku Ursulą von der Leyen. O prognozach na przyszły rok moich rozmówców nie pytałem, nie chciałem psuć im urlopu. Pocieszeniem jest fakt, że – jak mówią – słońce świeci tam jak zwykle. **GP**

eprasa.pl a51e4bc623



Jakub
Maciejewski

NIEMCY NADAL KNUJĄ Z ROSJĄ. OTO 11 DOWODÓW

Pakiety unijnych sankcji wobec Rosji i demokratyczne diatryby niemieckich oraz brukselskich urzędników przeciwko Putinowi są fikcją. Berlin potajemnie paktuje z Kremlem, planuje kolejne przedsięwzięcia biznesowe, a na obrzeżach terenów postsowieckich niemieccy politycy spotykają się z doradcami satrapy z Moskwy. Jest źle, będzie jeszcze gorzej i uderzy to w Polskę z niesłychaną siłą.



PUBLICYSTYKA

Four Seasons w Baku jest najbardziej ekskluzywnym hotelem w Azerbejdżanie. To dobre miejsce na spotkanie rosyjsko-niemieckie, bo kraj lawiruje pomiędzy wpływami rosyjskimi, zachodnimi a tureckimi i można go traktować jako neutralny. Rosjanie przybywają z obstawą. Niemieccy dziennikarze, którzy ich śledzili, opisują scenę jak ze szpiegowskich filmów: „W poniedziałek tego tygodnia obie strony tak bardzo dbają o zachowanie tajemnicy, że nawet w porze obiadowej nie udają się razem do hotelowej restauracji. Żaden z uczestników – ani ze strony rosyjskiej, ani niemieckiej – nie pojawia się w hotelowym lobby. Jedynymi widocznymi osobami są rosyjscy funkcjonariusze ochrony".

Dowód pierwszy

Wiktor Zubkow reprezentuje Gazprom, Aleksiej Gromyko jest ekspertem Władimira Putina ds. Europy, a Walerij Fadiejew to inżynier propagandy w Rosji. Ze strony niemieckiej również przybywają grube ryby. Matthias Platzeck to były szef SPD, a w przeszłości minister w rządzie NRD. Był też premierem Brandenburgii i mógł zostać kanclerzem całych Niemiec. Ronald Pofalla reprezentuje z kolei chadecję, partię kanclerza Merza. Jakby tego było mało, spotkaniu towarzyszy były szef OBWE, Szwajcar Thomas Greminger. Panowie z Europy formalnie nie reprezentują swoich instytucji, wszelkie negocjacje mają więc charakter przedwstępny, półoficjalny, można się w nich powoływać na rzeczywistych decydentów w postaci Merza, ale w razie kompromitacji kanclerz Niemiec wszystkiego się wyprze. Nie ma wątpliwości, że rozmawiali o przyszłej współpracy niemiecko-rosyjskiej. To jednak tylko pierwszy dowód na sekretne kontakty na linii Berlin–Moskwa. Oto dziesięć następnych.

Dowód drugi

Kanclerz Merz oficjalnie, choć na drugorzędnych i nienagłaśnianych spotkaniach, uspokaja niemieckich finansistów: „Jeśli uda nam się przywrócić pokój i wolność Europie, jeśli w końcu znajdziemy równowagę w stosunkach z naszym największym europejskim sąsiadem, mówię o Rosji (…), Rosja jest krajem europejskim, (…) wtedy Unia Europejska, my w Niemczech zdamy ten kolejny test i będziemy mogli z ufnością patrzeć w przyszłość po 2026 roku". Słowa te padły 4 stycznia 2026 roku podczas przyjęcia Izby Przemysłowo-Handlowej w Saksonii-Anhalcie.

Dowód trzeci

Rosnąca w sondażach i maszerująca po władzę AfD oficjalnie apeluje o współpracę z Rosją, uzasadniając, że Niemcy sobie nie poradzą bez taniej energii z kraju Putina. Wiceprzewodnicząca AfD w czerwcu zapewniała swoich wyborców: „Tania energia z Rosji była sekretem sukcesu »made in Germany«. Potrzebujemy jej z powrotem. Utrata tej energii cofnęła nas o lata. Setki tysięcy miejsc pracy zostało straconych. Uzależniło nas to od Stanów Zjednoczonych, które sprzedają nam energię po znacznie wyższych cenach".

Dowód czwarty

Wraz z zawieszeniem handlu niemiecko-rosyjskiego nastąpił skokowy wzrost eksportu niemieckiego do Azji Środkowej. Oczywiście chodzi o kraje byłego Związku Sowieckiego, które mają ścisłe i trudne do sprawdzenia kontakty gospodarcze z dawną metropolią. I tak na przykład niemiecki eksport do Kirgistanu wzrósł kilkunastokrotnie, z około 40 mln euro do ponad 700 mln euro. Eksport do Kazachstanu się podwoił, a do Uzbekistanu wzrósł o prawie 1/3. Co więcej, chodzi tu o maszyny, części samochodowe, pojazdy i elektronikę, a więc urządzenia przydatne w działaniach wojennych. Ukraińskie źródła potwierdzają, że w miejscach wycofywania się Rosjan znajdują sprzęt z marką „made in Germany". Tak, Berlin nadal finansuje tę wojnę. Z drugiej strony Kazachstan eksportuje do Niemiec ropę, a więc surowiec, który Europa sprowadzała wcześniej z Rosji. Nikt nie wierzy tu w naturalny proces gospodarczy, lecz właśnie w omijanie sankcji.

eprasa.pl a51e4bc623



FOT. ADOBE STOCK/AI

Dowód piąty

W Rosji nadal funkcjonuje 1600 firm niemieckich. To jedno zdanie mówi tak wiele, bo duży biznes niemiecki powiązany jest z polityką, zwłaszcza w landach, które zyskują na wzroście swoich przedsiębiorstw, wokół których rosną infrastruktura, zatrudnienie i nowe technologie. Urzędnicy o tym wiedzą i bez ich poparcia to zjawisko nie istniałoby na tak wielką skalę.

Dowód szósty

W czerwcu przedstawiciele niemieckich firm uczestniczyli w Petersburskim Międzynarodowym Forum Ekonomicznym. Thomas Bruch z Globus Holding czy Stefan Dürr z EkoNiva oficjalnie brali udział w tym wydarzeniu. Przedsięwzięcie ma charakter nie tyle ekonomiczny, ile propagandowy – Putin pokazuje rozmach światowych inwestycji w jego kraju i tym samym zachęca inne podmioty gospodarcze do współpracy.

Dowód siódmy

Ochrona Nord Streamu. Rosyjska inwazja na Ukrainę nastąpiła dwa miesiące po dokręceniu ostatniej śruby Gazociągu Północnego. Choć trwająca ćwierć wieku budowa była jednym z narzędzi militarnego wzmacniania Rosji, to Niemcy nie tylko nie demontują wspierającego ludobójczy reżim projektu, ale też chronią go z udziałem służb i swojego sądownictwa. Berlin domagał się wydania przebywającego w Polsce Ukraińca, podejrzanego o udział w sabotażu na dnie Bałtyku. Troska o bezpieczeństwo niemiecko-rosyjskiej rury jest jednoznaczna.

Dowód ósmy

Niemieckie think tanki i środowiska eksperckie coraz częściej sugerują ponowne nawiązanie bezpośredniej współpracy z Kremlem. Oficjalne stanowisko Ost-Ausschuss (Komitetu Wschodniego Niemieckiej Gospodarki) brzmi: „Jak dotąd nie ma wiarygodnego procesu pokojowego dla Ukrainy ani nie są widoczne możliwe ramy dla przywrócenia normalnych stosunków gospodarczych". Eksperci poszukują różnych demokratycznych pretekstów do współpracy z Rosją, na przykład „martwiąc się", że sankcje wzmacniają zbliżenie Rosji do niedemokratycznych potęg, takich jak Chiny.

Dowód dziewiąty

Niemcy są krajem zinfiltrowanym przez rosyjską agenturę. Nie tylko postkomunistyczna spuścizna po NRD jest tutaj źródłem werbunku, ale przede wszystkim właśnie przemysł. Sam Frank-Walter Steinmeier propagował koncepcję „Modernisierungspartnerschaft" (partnerstwo modernizacyjne) z Rosją, a oficjele niemieccy często spotykali się z przedstawicielami Gazpromu. Manuela Schwesig, premier Meklemburgii-Pomorza Przedniego, czy też Sigmar Gabriel, minister gospodarki, a później spraw zagranicznych, wielokrotnie konferowali z ważnymi postaciami putinowskiego reżimu.

Dowód dziesiąty

Do tej pory nie tylko nie rozliczono niemieckich decydentów współpracujących z Rosją, ale też zachowali oni silną pozycję w establishmencie niemieckim. Olaf Scholz, gdy był jeszcze kanclerzem, odmawiał nawet komentarza w sprawie konsekwencji, jakie miałby wysunąć wobec Gerharda Schroedera, byłego kanclerza, ale też dawnego przełożonego Scholza. A przecież Schroeder po swoim urzędowaniu stał się głównym lobbystą Gazpromu w Europie.

August Hanning, były szef BND, pobierający pensje z łotewsko-rosyjskiego banku, jest popularnym komentatorem w mediach, zatem nie tylko włos mu z głowy nie spadł, ale wciąż jest uznaną postacią establishmentu.

Dowód jedenasty

Choć w pewnym stopniu ograniczona, wciąż istnieje naukowa współpraca rosyjsko-niemiecka. Nadal powstają wspólne publikacje niemiecko-rosyjskie, choć jest ich o połowę mniej niż wcześniej. Rosja jest jednak ciągle udziałowcem w pracach nad zaawansowanymi technologiami, takimi jak European XFEL, rentgenowski laser na swobodnych elektronach.

I jeszcze jedno

Nie ma co udawać, że tylko twarde dane, spotkania i liczby, świadczące o ich rzeczywistej, choć ukrywanej współpracy, są nam potrzebne do obaw przed paktami między Berlinem a Moskwą. Oprócz wymienionych powyżej powodów jest jeszcze stara, sprawdzona prawda o geopolityce i wiecznym parciu naszych dwóch imperialnych sąsiadów do ponadczasowego podziału wpływów w tej części Europy. Niemcy nie odżegnały się od tej współpracy, co w wymiarze zbrodni rosyjskich na Ukrainie budzi niepokój. Już sam fakt, że Niemcy rozmawiają o pokoju na Ukrainie bez udziału przedstawicieli Polski, świadczy o tym, że z naszymi potrzebami nie będą się liczyć. **GP**

eprasa.pl a51e4bc623



REFORMOWAĆ I RATOWAĆ. Tarcza medyczna pęka na dwóch frontach

Z GRZEGORZEM GIELERAKIEM ROZMAWIA KONRAD WYSOCKI

– Musimy wreszcie wyjść z tego zaklętego kręgu: dziś w Polsce nie organizujemy opieki pod kątem potrzeb pacjentów, ale pod kątem zysku. Jeśli tego nie zmienimy, za dekadę wejdziemy na równię pochyłą z prawdziwym kryzysem, a poziom opieki spadnie do poziomu krajów Trzeciego Świata. Z kolei patrząc na wojskową służbę zdrowia, często mam wrażenie, że przeciwnik, nawet gdyby bardzo się starał, nie byłby w stanie tak skutecznie osłabić naszych zdolności, jak robimy to sami – mówi „Gazecie Polskiej" gen. broni prof. dr hab. Grzegorz Gielerak, dyrektor Wojskowego Instytutu Medycznego w Warszawie.

Panie Generale, gdybyśmy mieli postawić diagnozę medyczną polskiemu systemowi ochrony zdrowia, jak oceniłby Pan jego obecną kondycję?

Najprościej mówiąc, mamy pacjenta wymagającego pilnych procedur medycznych – może jeszcze nie podtrzymujących życie, ale zdecydowanie stabilizujących jego funkcje życiowe. Diagnozę stawiam na podstawie bilansów: rok 2025 stratą netto zamknęło 298 szpitali. Groźniejszy od samego zadłużenia jest jednak mechanizm, który je wytwarza: placówka lecząca więcej powiększa stratę, ograniczająca przyjęcia – poprawia wynik. Dopóki taki rachunek obowiązuje, kolejne pieniądze podtrzymają czynności życiowe, nie przywracając sprawności.

W swoich analizach i publikacjach wielokrotnie podkreślał Pan istotny element w kontekście służby medycznej – że samo pompowanie miliardów złotych w obecny system przypomina przetaczanie krwi osobie z pękniętą tętnicą, czyli jest nieefektywne. Jakie zatem decyzje należy podjąć, by usprawnić wydolność tego systemu?

System wymaga rozwiązań gwarantujących mu stabilizację przychodową, a zarządzanie środkami publicznymi w ochronie zdrowia – zdecydowanej naprawy. Z drugiej strony pieniędzy przeznaczanych na ten cel jest w Polsce po prostu za mało; wystarczy porównać, ile na zdrowie wydają państwa europejskie o zbliżonej stopie życiowej.

Tkwimy w absurdalnej licytacji: chcemy obciążeń podatkowych możliwie najniższych, a zarazem oczekujemy, że zagwarantują nam one najlepszy system ochrony zdrowia w Europie – obu oczekiwań nie sposób pogodzić.

Sam pieniądz jednak niczego nie przesądza. Wydatki publiczne na zdrowie wzrosły od 2014 roku niemal trzykrotnie, a średni czas oczekiwania na świadczenie gwarantowane wydłużył się z 2,2 do 4,2 miesiąca. Musimy więc uporządkować zarządzanie, ale też urealnić nakłady.

Skoro system wymaga tak pilnych działań, to dlaczego politycy nie chcą podjąć tematu tej reformy? Przecież jej brak dotyka bezpośred-

eprasa.pl a51e4bc623

nio ich samych i wszystkich obywateli.

Ochrona zdrowia jest inwestycją społeczną, która w dłuższej perspektywie przekłada się na kondycję państwa, gospodarki i społeczeństwa. Profilaktyka i programy zdrowotne przynoszą jednak efekty dopiero po pięciu, dziesięciu, a czasem kilkunastu latach, podczas gdy kadencja parlamentu trwa cztery. Żaden rząd nie zdąży zatem pokazać wyborcy rezultatów reformy, którą rozpoczął.

Wniosek narzuca się sam: skuteczna reforma wymaga porozumienia ponadpolitycznego i planu rozpisanego na co najmniej dwie kadencje, czyli około dziesięciu lat. Bez takiego uzgodnienia każdy kolejny rząd zaczyna od początku.

Nie uważa Pan, że przy dzisiejszej polaryzacji i przerzucaniu się odpowiedzialnością przez polityków jest to misja niewykonalna?

Paradoksalnie mamy najlepszy czas na taką dyskusję, zgodnie z zasadą: „kończą się pieniądze, zaczynają się reformy". Ten moment właśnie osiągnęliśmy. Trzeba też pamiętać, że dzięki inwestycjom z ostatnich 15 lat szpitale są dziś wyposażone najlepiej w historii; sam Krajowy Plan Odbudowy zasilił ochronę zdrowia kwotą blisko 18 mld zł. Wszystko ma jednak swój kres – sprzęt się zdekapitalizuje, a po wygaśnięciu wsparcia europejskiego ciężar odtworzenia spadnie na same placówki.

Jeżeli nie zbudujemy systemu z wbudowanym mechanizmem odtwarzania majątku, najpóźniej za dziesięć lat wejdziemy w fazę kryzysu strukturalnego, którego nie zatrzyma już żadna transza wsparcia, a poziom opieki medycznej, jaki dziś znamy, cofnie się o co najmniej dekadę.

Z badań opinii społecznej wynika, że Polacy w zdecydowanej większości dostrzegają poprawę infrastruktury i sprzętu w szpitalach, ale za niewydolność opieki medycznej obwiniają złą organizację. Pańskie spostrzeżenia potwierdzają tę diagnozę.

Trudno się z tym nie zgodzić. Problemy organizacyjne wynikają w znacznej mierze z niewłaściwej wyceny świadczeń. Nikt nie domaga się finansowania oderwanego od faktycznie wykonanej pracy, ale świadczenia rozstrzygające o bezpieczeństwie zdrowotnym populacji muszą być wyceniane co najmniej na poziomie kosztu ich wykonania – inaczej dyrektor szpitala broniący oddziału działa wbrew rachunkowi, który sam podpisuje.

Odporny system to nie tylko schrony i bezpieczne miejsca leczenia, lecz także wyszkolony personel medyczny oraz bezpieczeństwo lekowe, w którym nasza niezależność pozostaje dziś na dramatycznie niskim poziomie. Potrzebujemy zatem rezerw leków ratujących życie i krajowej produkcji substancji czynnych.

Świetnym przykładem są specjalizacje podstawowe: interna i chirurgia ogólna. Przez ćwierć wieku wyceniano je poniżej kosztu wykonania, przez co dla szpitali powiatowych stały się finansowym kamieniem u szyi.

Konsekwencje są strukturalne: bez interny trudno utrzymać oddział ratunkowy, bez chirurgii ogólnej blok operacyjny traci ciągłość pracy. W efekcie zamyka się te oddziały na rzecz tego, co aktualnie się opłaca. Musimy wreszcie wyjść z tego zaklętego kręgu, bo dziś w Polsce o zakresie opieki rozstrzyga nie potrzeba pacjenta, ale rachunek opłacalności – szpital, który leczy zgodnie z rozpoznaniem, płaci za to własnym wynikiem finansowym.

Czy takie podejście, w którym o dostępności leczenia decyduje opłacalność, nie jest dla nas jako społeczeństwa zakładaniem pętli na szyję?

Oczywiście, że tak, a kierunek, w którym zmierzamy, czyli stopniowe zawężanie dostępu do świadczeń podstawowych, potwierdza to najlepiej. Uzdrawiając system, trzeba jednak patrzeć szerzej niż na sam cennik. Populacja się starzeje, a przed nami rewolucja na rynku pracy, która podważy składkę zdrowotną jako fundament finansowania systemu ochrony zdrowia, aktualnie opartą głównie na dochodach z zatrudnienia etatowego. Oba procesy są przewidywalne co do kierunku i tempa – trudno będzie mówić o zaskoczeniu, gdy nadejdą skutki.

Jakie dokładnie wyzwania dla finansowania ochrony zdrowia niesie ze sobą wspomniana rewolucja?

Weszliśmy w erę nowych technologii, robotyzacji i sztucznej inteligencji, co oznacza odchodzenie od klasycznych etatów na rzecz pracy kontraktowej. Rynek ubezpieczeń trzeba zaprojektować pod tę zmianę już dziś, bo na obecnym poziomie z pewnością się nie utrzyma.

Proces zaczął się zresztą wcześniej, niż przyjmujemy: około 1,8 mln jednoosobowych działalności płaci składkę zdrowotną według efektywnej stawki rzędu 3 proc. wobec 9 proc. od wynagrodzenia z umowy o pracę. Obecnie narzekamy na braki środków w NFZ, ale jeśli zignorujemy to, co wydarzy się na rynku pracy w ciągu najbliższych pięciu lat, dzisiejszy budżet uznamy z czasem za komfortowy. Proszę mi wierzyć, nie jest to straszenie, ale prognoza.

W swoich publikacjach zwraca Pan również uwagę na chaos organizacyjny – chociażby na to, że sześć na dziesięć karetek wyjeżdża do błahych przypadków. Zaproponował Pan stworzenie specjalnej infolinii nieratunkowej, która przekierowywałaby pacjentów na konsultacje lekarskie. Czy jednak w obecnej sytuacji taki krok nie doprowadziłby do całkowitego zatkania przychodni podstawowej opieki zdrowotnej (POZ)?

FOT. KRZYSZTOF ZUCZKOWSKI/FORUM

eprasa.pl a51e4bc623

Rozpatrzmy rzecz w dwóch aspektach. Zacznijmy od ratownictwa medycznego. Mamy świetny sprzęt, ale kuleje zarządzanie informacją: nie wiemy w czasie rzeczywistym, jakie jest obłożenie poszczególnych SOR-ów, by mądrze i sprawnie kierować tam pacjentów.

Drugą barierą jest wąski zakres uprawnień. Ratownik nie może dziś samodzielnie przepisać pacjentowi leków ani pokierować go do POZ, gdzie zostałby zaopatrzony w zakresie odpowiadającym błahej dolegliwości, więc jedyną ścieżką pozostaje transport na oddział ratunkowy. Rozszerzenie kompetencji, choćby o prawo do wystawiania prostych recept, sprawia, że wizyta w przychodni w ogóle nie jest potrzebna.

Europa Zachodnia robi to od lat: Brytyjczycy nadali zaawansowanym praktykom ratownictwa uprawnienia receptowe w 2018 roku, a duńska linia 1813 zmniejszyła liczbę wizyt na oddziałach ratunkowych w Kopenhadze o 10 proc. Nasze rozwiązania organizacyjne w ratownictwie medycznym sytuują Polskę o dobrą dekadę za praktyką, która w Europie stała się już rutyną.

A co z samymi przychodniami POZ? Przecież oblężenie szpitali nie bierze się znikąd.

Oblężenie SOR-ów jest bezpośrednim efektem niewydolności opieki ambulatoryjnej. Co najmniej połowa trafiających tam pacjentów to osoby, które nie uzyskały pomocy w POZ. Za takim stanem rzeczy stoi struktura nakładów: do szpitali trafia 51,6 proc. budżetu NFZ, na POZ zaledwie 11 proc. System ambulatoryjny musi stać się bardziej wydolny i otwarty.

Zwracam przy tym uwagę na zagrożenie, o którym powinniśmy zacząć mówić głośno. Od początków reformy opieka ambulatoryjna jest systemem quasiprywatnym: finansują ją środki publiczne, ale właścicielsko stoją za nią spółki albo osoby prywatne, w opiece specjalistycznej nawet 95 proc. podmiotów, w POZ do 80 proc. Wychylenie wahadła w stronę kapitału prywatnego jest tu bardzo duże.

Przejdźmy do wojskowego sektora medycznego. W ciągu zaledwie 15 miesięcy, do I kwartału br., dług wymagalny szpitali wojskowych wzrósł dziesięciokrotnie, osiągając poziom 120 mln zł. To piętnastokrotnie szybszy wzrost niż w placówkach cywilnych. Czy biurokracja i złe zarządzanie rozbrajają nasze bezpieczeństwo skuteczniej niż militarny przeciwnik?

Niestety, diagnoza jest trafna. Odnoszę nieraz wrażenie, że przeciwnik, nawet przy największym wysiłku, nie osłabiłby naszych zdolności równie skutecznie, jak czynimy to sami. Zobowiązania wymagalne podmiotów nadzorowanych przez MON wynosiły 11,5 mln zł w 2024 roku, po roku 64,2 mln, a po I kwartale 2026 roku już 119,7 mln zł.

Sytuacja jest tym bardziej niepokojąca, że placówki te jeszcze niedawno należały do najlepszych na rynku pod względem wyników finansowych. W sposobie ich zarządzania nic się nie zmieniło – zmieniły się warunki, w jakich mają realizować misję, której żaden publiczny płatnik nie wycenia.

Z czego wynika to nagłe załamanie i czy istnieje groźba, że państwo po prostu zrezygnuje z tych placówek na rzecz rynku cywilnego?

Przestrzegam przed takim scenariuszem. Zwolennikom wyzbycia się wojskowej służby zdrowia warto przypomnieć doświadczenie brytyjskie z początku lat dwutysięcznych: skutki tamtej decyzji Brytyjczycy odrabiają do dziś, kontraktując leczenie żołnierzy w szpitalach cywilnych.

Różnica między obydwoma sektorami jest zasadnicza. Szpital cywilny w kryzysie ogranicza przyjęcia, co bywa dotkliwe, ale pozostaje odwracalne. Szpital wojskowy traci to, czego pieniądz nie przywróci: specjalistę odchodzącego do sektora cywilnego, akredytację do kształcenia jego następcy i rezerwę gotowości.

Dlatego nadszedł czas, by uznać szpitale wojskowe i placówki MSWiA za pierwszą linię reagowania kryzysowego. Ponoszą koszty utrzymania gotowości, których obecny system nie pokrywa – nie sposób zatem wymagać od nich konkurowania na zwykłych zasadach rynkowych i równocześnie pełnego zabezpieczenia państwa na wypadek wojny.

Zwłaszcza że od blisko pięciu lat jesteśmy państwem przyfrontowym. Za naszą wschodnią granicą toczy się wojna XXI wieku, która brutalnie weryfikuje dotychczasowe zasady i radykalnie różni się od asymetrycznych misji stabilizacyjnych, do jakich przywykliśmy przez dekady. Wskazuje Pan na upadek koncepcji „złotej godziny" w ewakuacji medycznej ze względu na zdronizowane pole walki. Czy Pana zdaniem Polska wyciągnęła właściwe wnioski z ukraińskich doświadczeń, czy wciąż tkwimy w przestarzałych doktrynach, nieadekwatnych do dzisiejszego teatru działań?

Wnioski z Ukrainy analizujemy na bieżąco, czytamy je jednak przez pryzmat własnych uwarunkowań: odmienna głębokość strategiczna i inna dostępność infrastruktury sprawiają, że nasze zadania obronne wyglądają inaczej.

Dwie lekcje mają jednak walor uniwersalny. Pierwsza to wspomniany upadek „złotej godziny": bezzałogowce odpowiadają dziś za około 70 proc. strat po obu stronach frontu, a ewakuacja, którą doktryna przewiduje w godzinach, trwa kilkanaście godzin, w skrajnych przypadkach sześć, siedem dni.

Druga dotyczy bezwzględności przeciwnika, który ignoruje znaki Czerwonego Krzyża i celowo atakuje obiekty medyczne. Skoro szpitala nie chroni już konwencja, ochronę musi zapewnić sam projekt placówki: rozproszenie funkcji, obniżenie sygnatury oraz niezależne zasilanie i media techniczne.

Skoro wiemy, z czym potencjalnie przyjdzie nam się zmierzyć, kiedy doczekamy się nowego systemu dopasowanego do tych brutalnych realiów?

Konkretne plany zaczniemy przedstawiać w najbliższych tygodniach. Zakładam, że w ciągu trzech lat zbudujemy dobrze zorganizowany system bezpieczeństwa medycznego państwa, wspólny dla sektora cywilnego i wojskowego.

Nie zaczynamy od zera: dysponujemy podstawą prawną w ustawie o ochronie ludności i obronie cywilnej oraz transzą

eprasa.pl a51e4bc623

miliarda złotych z Funduszu Medycznego. Zadanie polega na złożeniu z nich sieci, w której każdy szpital ma przypisaną rolę, wymagany pułap zdolności i gotowość potwierdzoną weryfikacją, a nie deklaracją w planie. Powodzenie zależy od konsekwencji Ministerstwa Zdrowia i wsparcia MON, a kierownictwa obu resortów traktują to przedsięwzięcie jako priorytet – współpraca układa się wzorowo, co pozwala liczyć na dotrzymanie terminu i osiągnięcie zakładanego efektu.

Czy nowy plan uwzględnia fizyczną ochronę i samowystarczalność szpitali? Zaznaczał Pan, że w czasie kryzysu placówka musi przetrwać bez pomocy z zewnątrz przez 30 dni, a nie zaledwie 30 godzin. Jesteśmy do tego w ogóle przygotowani?

Formalnie każdy podmiot leczniczy ma plan zarządzania kryzysowego na wypadek awarii czy zwiększonego napływu pacjentów. Mówimy jednak o wyzwaniu, które daleko przekracza nasze pokojowe doświadczenia: o stratach masowych i o ryzyku utraty całych placówek.

Samowystarczalność trzeba przy tym stopniować. W wymaganiach dla sieci szpitali bezpieczeństwa medycznego państwa przyjęliśmy, że placówka pierwszego szczebla utrzymuje 72 godziny autonomii energetycznej, wodnej i tlenowej, szpital wyższego poziomu – siedem dni zapasów, a ośrodek leczenia definitywnego – 14 dni.

Do takiego scenariusza nie jesteśmy jeszcze w pełni przygotowani, rozpoczynamy jednak celowe inwestycje w organizację systemu odpornego na tyle, na ile wymaga tego położenie państwa takiego jak Polska – przez najbliższe 15–20 lat pozostanie to naszym głównym zadaniem, by nie rzec, codziennością. Przedsięwzięcie pochłonie znaczne środki, ale zaniechanie kosztowałoby więcej, a rachunek zapłacilibyśmy ludzkim życiem.

Straciliśmy wiele lat, zaniedbując ten sektor. Czy przy obecnej, niezwykle napiętej sytuacji geopolitycznej i bezpieczeństwa zdążymy zbudować skuteczny system bezpieczeństwa przed nadejściem czasu próby?

Wniosek narzuca się sam: skuteczna reforma wymaga porozumienia ponadpolitycznego i planu rozpisanego na co najmniej dwie kadencje, czyli około dziesięciu lat. Bez takiego uzgodnienia każdy kolejny rząd zaczyna od początku.

Musimy to zrobić. Odporny system to nie tylko schrony i bezpieczne miejsca leczenia, lecz także wyszkolony personel medyczny oraz bezpieczeństwo lekowe, w którym nasza niezależność pozostaje dziś na dramatycznie niskim poziomie. Potrzebujemy zatem rezerw leków ratujących życie i krajowej produkcji substancji czynnych.

Tym, którzy mówią „nie straszcie wojną, bo jej nie będzie, więc to wyrzucone pieniądze", odpowiadam własnym szacunkiem: dobrze zorganizowany system bezpieczeństwa medycznego odpowiada na 70 proc. zagrożeń, które mogą wystąpić każdego dnia. Nie muszą to być działania wojenne – wystarczą epidemie, katastrofy, zdarzenia masowe czy konflikt hybrydowy prowadzony poniżej progu wojny. Gotowość zbudowana na gorszy scenariusz pracuje więc codziennie.

W kontekście obrony cywilnej niezwykle dużym problemem jest drastycznie niska liczba osób potrafiących udzielać pierwszej pomocy. Ktoś zasłabnie na ulicy, nad poszkodowanym stoi tłum, a jedyną reakcją jest wybranie numeru 112. W porównaniu z krajami skandynawskimi, gdzie obrona cywilna jest potężnym filarem bezpieczeństwa, zostajemy daleko w tyle. Czy szkolenia z pierwszej pomocy powinny stać się w Polsce obowiązkowe?

Takie szkolenia powinny być powszechne, począwszy od szkoły podstawowej. Wiedzę tę trzeba jednak regularnie odświeżać, choćby w zakładach pracy, bo umiejętność, sprawność nabyta jednorazowo, bez powtórek, szybko zanika.

W skali państwa brakuje nam przede wszystkim treningu na wypadek zdarzeń masowych, określanych skrótem MASCAL – sytuacji z dużą liczbą poszkodowanych. Możemy pisać ambitne plany kryzysowe, ale bez praktycznego sprawdzenia ich w działaniu, z udziałem policji, straży pożarnej, szpitali i urzędów, realnej odporności nie zbudujemy.

Na koniec chciałbym zapytać o budowę 300-tysięcznej armii w Polsce. Aby ten cel zrealizować, potrzebujemy silnego „fundamentu biologicznego". Tymczasem z roku na rok jest on słabszy: pokolenie nastolatków zmaga się z falą otyłości, a ich odporność psychiczna drastycznie spada. Co musimy zrobić, aby nie przespać tego problemu i zapewnić Polsce odpowiednią liczbę młodych ludzi zdolnych do służby w wojsku?

Musimy wrócić do podstaw: do rzetelnych lekcji wychowania fizycznego w szkołach podstawowych i zajęć pozalekcyjnych, takich jak np. znane z mojego dzieciństwa szkolne koła sportowe (SKS). Rekomendację ruchową WHO spełnia 23 proc. polskich chłopców i 14 proc. dziewcząt w wieku 11–15 lat. Każdy punkt procentowy poniżej tego poziomu zawęża bazę rekrutacyjną armii, i to w rocznikach, które stają do kwalifikacji dziś, nie kiedyś.

Trzeba przekonywać dzieci i młodzież każdego dnia, że ruch jest inwestycją w ich własną przyszłość, o tym przesłaniu zapomnieliśmy niemal całkowicie. Wystarczy porównać, ile czasu w mediach zajmują reklamy śmieciowego jedzenia, a ile promocja zdrowego stylu życia. Młodym ludziom trzeba uświadomić jedną prostą prawdę: ruch może zastąpić wiele leków, ale żaden lek nie zastąpi ruchu. GP

eprasa.pl a51e4bc623

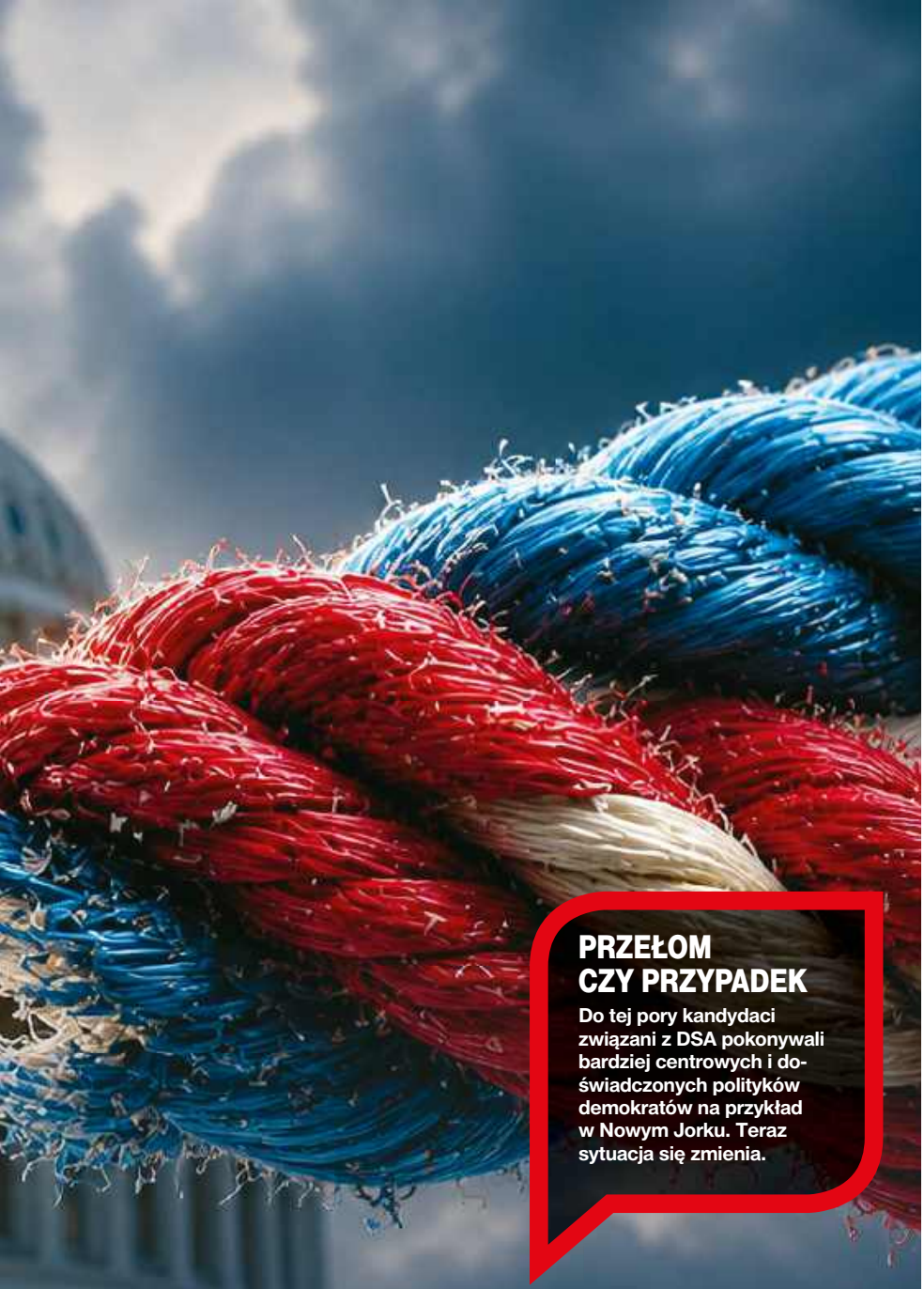


Maciej
Kożuszek
SZEF DZIAŁU ŚWIAT

DEMOKRACI I SOCJALIZM z ludzką twarzą

KONIEC WOKE 1.0 I CO DALEJ?

eprasa.pl a51e4bc623



PRZEŁOM CZY PRZYPADEK

Do tej pory kandydaci związani z DSA pokonywali bardziej centrowych i doświadczonych polityków demokratów na przykład w Nowym Jorku. Teraz sytuacja się zmienia.

Walka o duszę Partii Demokratycznej trwa w najlepsze. Kandydaci związani z komunizującą organizacją Demokratycznych Socjalistów Ameryki (DSA) odnotowali sukces w Michigan i zaskakującą porażkę w Wisconsin. Z kolei politycy sympatyzujący z DSA próbują przekonywać, że zrezygnowali z części radykalnych postulatów, które głosili jeszcze kilka lat wcześniej.

FOT. ADOBE STOCK

Z punktu widzenia samych radykałów i tych, którzy z niepokojem obserwują ich rosnące wpływy, prawybory w Michigan były pęknięciem pewnej tamy. Do tej pory kandydaci związani z DSA pokonywali bardziej centrowych i doświadczonych polityków demokratów na przykład w Nowym Jorku. Czerpali siłę ze wsparcia charyzmatycznego burmistrza Zohrana Mamdaniego i obecnego już od jakiegoś czasu trendu, który faworyzował radykalnie lewicowych kandydatów w dużych miastach. Teraz jednak kandydat związany z DSA Abdul El-Sayed wygrał nominację do Senatu w stanie, w którym w latach 2016 i 2024 głosy elektorskie zgarniał Donald Trump.

Nadzieja czy kula u nogi?

Jeśli El-Sayed zdobyłby mandat i pokonał kandydata republikanów w listopadzie, dla zwolenników radykalnego skrętu w lewo byłby to koronny argument za tym, że ich wizja sprawdza się nie tylko w wielkomiejskich twierdzach lewicy. A być może też za tym, by w poszukiwaniu kandydata na wybory prezydenckie w 2028 roku partia wybrała kogoś związanego z DSA albo przynajmniej startującego z błogosławieństwem organizacji.

Spora część doświadczonych demokratów uważa jednak, że radykalny skręt na lewo to najprostszy przepis na zmarnowanie dobrej koniunktury, jaką cieszy się partia. W ogólnonarodowych sondażach preferencji demokraci cieszą się średnio nawet 7-punktową przewagą nad republikanami. Według wielu modeli prognozujących wyniki to wystarczająca przewaga, by przejąć kontrolę nad Izbą, a przy dobrych wiatrach nawet nad Senatem. Mniej więcej taką przewagą demokraci cieszyli się w 2018 roku i wówczas przełożyło się to na zysk wynoszący 41 mandatów w Izbie.

Pomimo symbolicznego zwycięstwa w Michigan ostatnia runda prawyborów dostarczyła też argumentów przeciwnikom stawiania na radykalizm. El-Sayed wygrał z minimalną przewagą (około 1 pkt proc.), choć dwa ostatnie sondaże dawały mu przewagę nawet dwucyfrową (Emerson 15 pkt proc. i Tavern 10 pkt proc.). Z jeszcze

eprasa.pl a51e4bc623

większym przeszacowaniem radykalnej kandydatki mieliśmy do czynienia w prawyborach na gubernatora Wisconsin. Francesca Hong, członkini DSA, popierająca w przeszłości większość najbardziej szalonych postulatów, od likwidacji policji, więzień, granic aż po pozbycie się „kolonialnego" Święta Dziękczynienia. Według sondażowni Hong miała się cieszyć przewagą wynoszącą od 20 do 35 pkt proc. Ostatecznie przegrała o 0,4 pkt proc. z Davidem Crowleyem, który w pewnym momencie zawiesił nawet swoją kampanię, twierdząc, że nie widzi szans na zwycięstwo.

Czas radykałów

Oszacowanie prawdziwego politycznego potencjału radykałów jest trudne. Mamy bowiem do czynienia z sytuacją dość bezprecedensową, w której w przyspieszonym tempie do centrum amerykańskiej polityki trafiają ludzie o poglądach i pomysłach, które przez wiele lat ograniczone były do marginalnych grupek aktywistycznych i uniwersyteckich kolokwiów z marksizmu i teorii krytycznej. Wrażenie wszechobecności radykalnej narracji jest związane też z nadreprezentacją i dobrą organizacją zwolenników Mamdaniego, DSA i radykalnych rozwiązań socjalnych w mediach społecznościowych. Bardziej umiarkowani politycy demokratów zdają sobie sprawę, że krytyka DSA może zakończyć się szturmem i atakami na portalu X czy innych platformach, i zamiast zająć stanowisko, czekają, aż burza sama przejdzie.

W tym kontekście ciekawa jest postawa ustępującego gubernatora, demokraty Toma Eversa. Ten, nie mogąc się już ubiegać o kolejną kadencję, zaangażował się w pełni w kampanię Davida Crowleya, argumentując, że Hong jest zbyt radykalna, by wygrać generalne wybory. Evers przekonał Crowleya, by wznowił swoją kampanię, podróżował po stanie, przekonywał wyborców i ostatecznie pokazał, jak krucha była kandydatura Hong, 37-letniej senatorki stanowej, która do tej pory nie odznaczyła się niczym szczególnym, a podczas kampanii miała problem, by odpowiadać na najprostsze pytania. Gdyby nie Evers, polityk, który nie miał już wiele do stracenia, balonik Hong nadmuchiwany przez aktywistów i media mógł ją unieść do zwycięstwa. Pytanie, czy w innych miejscach kraju i na poziomie federalnym demokraci znajdą więcej takich odważnych, gotowych te baloniki przebijać.

Przepierka historii

Z Hong, a także z nagłym załamaniem się jej kandydatury związana będzie nowa refleksja po stronie progresywistów w Partii Demokratycznej. Jeśli chcemy na poważnie wejść do „dużej" polityki, może czas nie krzyczeć aż do zdarcia gardeł haseł, które przy dobrych wiatrach popiera kilkanaście procent Amerykanów. Alexandria Ocasio-Cortez, największa nadzieja DSA na kandydaturę prezydencką, zapytana o słowa Hong na temat Święta Dziękczynienia, stwierdziła: „Woke 1 to było szaleństwo". Pytany o to burmistrz Zohran Mamdani powiedział, że on też wyciągnął wnioski i nie popiera już odbierania środków i likwidacji nowojorskiej policji. „Wygłosiłem takie uwagi, będąc sfrustrowanym, tak jak wielu Nowojorczyków, śmiercią George'a Floyda" – tłumaczył.

„Woke 1" – w wersji AOC i Mamdaniego ma być chwilową utratą kontroli, postulatami wygłaszanymi w nerwach, pod wpływem oburzenia skalą niesprawiedliwości i nieszczęścia. Ocasio-Cortez tłumaczy, że szczyt owych nerwów przypadł na rok 2020 i pandemię, „wtedy otworzyły się drzwi, by rozważać jakąkolwiek i każdą propozycję rozwiązania, które zaprowadziłyby nas do lepszego miejsca. Myślę, że dyskusje, które mieliśmy w tym czasie, okazały się bardzo owocne" – stwierdziła w ostatnim wywiadzie.

Naturalnie, im bliżej są władzy, radykałowie chcieliby się i bagatelizować swoje poglądy z przeszłości i się ich wyzbyć. Jak doniósł CNN, Abdul El-Sayed tuż przed swoim zwycięstwem usunął ponad 100 filmów ze swojego kanału youtube'owego.. Ale warto pamiętać, że ów „woke 1" był czymś dużo więcej niż tylko „burzą mózgów" grupki ludzi sfrustrowanych polityką. Postulaty, takie jak operacje zmiany płci dla nastolatków, „równościowe" zatrudnianie w firmach, narzucanie „antydyskryminacyjnego" języka i nagonki na tych, którzy się do zasad nie stosują, czy wreszcie odbieranie funduszy policji i likwidacja granic, miały realny wpływ na życie wielu Amerykanów i pozostawiły po sobie realne szkody. Naprawienie tych ostatnich, jak chociażby skutków obniżonego bezpieczeństwa w miastach, wymagałoby czegoś więcej niż usunięcia tweeta sprzed kilku lat. Pojawia się też pytanie, na ile zmiana kursu jest szczera, a na ile stanowi jedynie taktyczny wybieg. Zresztą na miejsce tych porzuconych, skompromitowanych postulatów wchodzą nowe, często równie radykalne. Zamiast praw LGBT mamy skrajne pomysły na politykę zagraniczną – zerwanie relacji z Izraelem czy faktyczną likwidację albo przynajmniej radykalne ograniczenie finansowania amerykańskich sił zbrojnych. Zgodnie ze starą zasadą wszystkich rewolucjonistów z przeszłości młodzi socjaliści USA uznają, że kompromitacja w jednym obszarze nie oznacza, że nie można sprawdzić swojego geniuszu w jakimś nowym.

Dziwaczna samokrytyka

Jak twierdzi AOC, pomimo błędów i wypaczeń okres „woke 1" miał swoje zalety, bo „wówczas mieliśmy ogromne przesunięcie okna Overtona". To kluczowa wypowiedź, bo właśnie dokładnie z taką sytuacją mamy obecnie do czynienia w amerykańskiej polityce. David Crowley nie mógłby być uznany za centrowego demokratę, gdyby jego rywalką nie była szalona Hong. Sami radykałowie oczekują chyba, że należą im się podziękowania, że nie są już wersjami samych siebie sprzed pięciu lat.

A okno tego, co dopuszczalne, i tego, na co mogą sobie pozwolić nawet teoretycznie „centrowi" demokraci, rzeczywiście się przesuwa. Aborcja na życzenie w jakimkolwiek momencie ciąży, aż do porodu. Takie prawo ogłosiła w swoim stanie, Massachusetts, gubernator Maura Healey. „Te aborcje stanowią jedne z najpoważniejszych naruszeń praw człowieka dopuszczanych w zaledwie kilku miejscach na świecie, w tym w Chinach i Korei Północnej" – mówiła o tej decyzji Myrna Maloney Flynn z organizacji Massachusetts Citizens for Life. To tyle, jeśli chodzi o ludzką twarz lewicy. **GP**

eprasa.pl a51e4bc623

ROSJA **absurdem stoi**

Wiadomości z kraju wiecznej szczęśliwości, czyli cotygodniowy przegląd ciekawostek z Federacji Rosyjskiej. Od Kaliningradu po chińską granicę. Od Moskwy do wiosek na Przywołżu.



Feliks **Kazański**

Rosja: Horror from real Mordor

Primum non nocere „Skurcze, halucynacje i biała gorączka: lekarz zabronił Rosjanom gwałtownego rzucania picia" – ostrzegł w tytule swojej publikacji portal Life.ru, powołując się na opinię Antona Rudkowskiego z kliniki AlkoSpas. Biorąc pod uwagę, że zwraca się do rodaków, pan doktor powinien chyba ostrzec przed śmiertelnie groźnymi skutkami abstynencji jako takiej.

Na 100 procent Jak podliczył wrogi, emigracyjny portal The Moscow Times, w Dumie Państwowej tylko w ciągu ostatniego miesiąca czterokrotnie apelowano do rodaków, aby nie wierzyli, że w Rosji trwają przygotowania do nowej mobilizacji. No cóż, skoro politycy tak zapewniają, to trzeba wierzyć. I czekać.

Bez zaproszenia Naczelny rabin Rosji wyraził nadzieję na powrót Żydów z Izraela do Mariupola, Ługańska i Doniecka. „Pracujemy z tymi wspólnotami" – zapewnił. To miłe, ale warto pamiętać, że spora grupa Izraelczyków pojawiła się już w tamtych okolicach bez jego starań – tyle że przyjeżdżając od strony Ukrainy, aby zasilić szeregi ochotników jej Legionu Międzynarodowego.

Za zdrowie armii! Spożywać alkoholu nie powinno się jednak w miejscach publicznych, o czym świadczy niedawna historia z Omska. Pechowego mieszkańca tego miasta zgarnięto wprost z ławki w centrum miasta, gdzie popijał sobie piwko i… zanim wytrzeźwiał, zmuszono do podpisania kontraktu z armią. Trzeba przyznać, że lepsze to niż wlepienie mandatu.

Za przykładem Krymu „Doświadczenia Krymu dotyczące ochrony systemu energetycznego mogą zostać wykorzystane na szczeblu federalnym" – oznajmił Denis Baturin, doradca szefa rosyjskich władz półwyspu. Ciekawa sprawa, chciał się zapewne pochwalić, a jednak dla regionów, do których także dolatują ukraińskie drony i rakiety, słowa te zabrzmiały raczej jak niepokojące ostrzeżenie. **GP**

SZCZEROŚĆ POLITYKA

„W żaden sposób" – tak deputowany do Dumy Państwowej Władisław Dawankow odpowiedział na trudne pytanie, jak wziąć kredyt hipoteczny, zarabiając 60–70 tys. rubli (niecałe 3 tys. zł). A mówi się, że szczerość wśród polityków to rzadka cecha.

RYS. MIROSŁAW ANDRZEJEWSKI

Przygoda w Ałtaju

Niezwykłą przygodę przeżył w Kraju Ałtajskim weteran specjalnej operacji wojskowej: gdy jechał konno, napadł go niedźwiedź, a kiedy odpędzał drapieżnika, w drzewo, do którego przywiązywał konia, trafił piorun. Jak informują media, pomoc nadeszła, kiedy na wpół sparaliżowany ostrzeliwał się ze strzelby, a jednocześnie robił sam sobie masaż serca. O losie niedźwiedzia brak doniesień…



Czytajcie więcej na **www.facebook.com/RosjaHFRM**

eprasa.pl a51e4bc623



ZIELONE LUDZIKI I FAŁSZYWE DRONY

ROSJA PRZETESTUJE NATO NAD BAŁTYKIEM?

Już od kilku lat zachodni politycy, wojskowi i służby wywiadowcze ostrzegają przed zbrojną agresją Rosji na kraje NATO. Jednak do tej pory wszyscy byli raczej zgodni, że takie zagrożenie mogłoby się pojawić po zakończeniu wojny rosyjsko-ukraińskiej. Najnowsze oceny wywiadu USA wskazują jednak, że Kreml może pokusić się o ograniczone siłowe testowanie NATO nawet mimo prowadzonej inwazji na Ukrainę. Najbardziej zagrożone są kraje leżące nad Bałtykiem, szczególnie Estonia.

Antoni **Rybczyński**

Władimir Putin może w ciągu najbliższych kilku lat podjąć próbę sprawdzenia determinacji NATO poprzez przeprowadzenie ograniczonej inwazji na jeden z krajów sojuszniczych – wynika z nowych raportów amerykańskich służb wywiadowczych, o czym napisał niedawno „The Wall Street Journal". Raporty te przedstawiają możliwe scenariusze, od cyberataku po inwazję lądową na niewielką skalę.

Niepokojąca ocena wywiadu USA

USA wcześniej oceniały, że Kreml nie sprowokuje żadnego kraju należącego do NATO, dopóki toczy wojnę z Ukrainą. Jednak ocena ta uległa zmianie na początku tego roku – stwierdzili amerykańscy urzędnicy – ponieważ Putin znajduje się w trudnej sytuacji. Ukraińskie drony wyrządzają coraz większe szkody zarówno armii, jak i gospodarce Rosji, podczas gdy siły rosyjskie odnoszą niewielkie sukcesy na linii frontu, ponosząc przy tym ciężkie straty. Obawy budzi fakt, że Putin może stać się bardziej niebezpieczny, gdy zostanie przyparty do muru. Możliwe zagrożenia obejmują zarówno cyberatak na państwo członkowskie NATO, wysłanie nieoznakowanych grup zbrojnych w celu zajęcia terytorium („zielone ludziki"), jak i ograniczoną inwazję na wschodnią flankę Sojuszu. Niepokojące są coraz częstsze prowokacje rosyjskie mające na celu sprawdzenie determinacji NATO, choćby drony i pociski manewrujące spadające na terytorium krajów wschodniej flanki, w tym Polski i Rumunii.

Według ocen amerykańskich służb wywiadowczych ewentualne działania Rosji mogą nastąpić w okresie od jesieni bieżącego roku do 2029 roku. Prawdopodobieństwo najbardziej ekstremalnego scenariusza – ograniczonej inwazji lądowej – jest niskie, ale rośnie wraz z upływem czasu, jak wynika z raportów. Taki ruch zawsze uważano za mało prawdopodobny, ponieważ uruchomiłby on artykuł 5 traktatu NATO, który zobowiązuje członków do zbiorowej obrony. Artykuł 5 nie jest jednak tak jednoznaczny, jeśli chodzi o reakcję NATO na zagrożenia cybernetyczne lub hybrydowe. Celem Putina w przypadku ograniczonego ataku na NATO w trakcie trwającej wojny z Ukrainą, gdyby do niego doszło, byłoby rozbicie Sojuszu – twierdzą amerykańscy urzędnicy. „Pytanie brzmi, jak w takim przypadku zareagowałyby Stany Zjednoczone" – powiedziała Heather Conley z American Enterprise Institute, odnosząc się do ewentualnej rosyjskiej inwazji. „Celem zawsze było podważanie wiarygodności NATO oraz rozdzielenie Stanów Zjednoczonych z ich sojusznikami".

FOT. ADOBE STOCK/AI

eprasa.pl a51e4bc623

Szczególne powody do obaw mają trzy kraje bałtyckie, byłe sowieckie republiki, które znalazły się na celowniku nasilającej się rosyjskiej propagandy i prowokacji. Prezydenci Litwy i Łotwy, Gitanas Nausėda i Edgaras Rinkevičius, powołując się na dane wywiadowcze, twierdzą, że Rosja planuje ataki na infrastrukturę o kluczowym znaczeniu w krajach bałtyckich lub w Polsce, a państwa te muszą być gotowe na prowokacyjne działania. Według większości ocen najbardziej dziś zagrożonym państwem NATO jest Estonia. Wynika to z powierzchni kraju, jego położenia geograficznego, a także logistyki.

„Zielone ludziki" w Narwie?

Na granicy Estonii z Rosją brakuje linii obronnych i fortyfikacji – całego kompleksu niezbędnych przeszkód, które pozwoliłyby, jeśli już nie zatrzymać, to przynajmniej maksymalnie spowolnić natarcie wojsk. Ale i tak pełnoskalowa inwazja na ten mały kraj wymagałaby zaangażowania nawet 100 tys. żołnierzy – w czasie wojny z Ukrainą jest to dla Rosji niewykonalne. Co innego ograniczona operacja zbrojna. Na przykład w Narwie, mieście granicznym, gdzie większość ludności to Rosjanie. W scenariuszu hybrydowym lokalna samoobrona postanowi chronić się przed „rusofobiczną polityką" Tallina i proklamuje coś w rodzaju „Ludowej Republiki Narwy" (niedawno w mediach społecznościowych zaczęły się pojawiać symbole takiej „republiki"…). Rolę sił zbrojnych, podobnie jak na Ukrainie w 2014 roku, będą odgrywać oddziały „zielonych ludzików" bez znaków rozpoznawczych. W przypadku jawnej inwazji narracja będzie taka sama: walka z rusofobią, ochrona ludności rosyjskojęzycznej, ale do akcji zostaną zaangażowane regularne siły zbrojne Federacji Rosyjskiej. To bardzo niebezpieczny scenariusz – w razie faktycznego zajęcia wyłącznie Narwy NATO stanęłoby przed dylematem: stanowczo odpowiedzieć czy de facto zachować się biernie? Taki może być właśnie plan Kremla.

W przypadku Estonii widać w ciągu ostatniego roku coraz częstsze prowokacje rosyjskie właśnie z użyciem „zielonych ludzików". 11 października 2025 roku Departament Policji i Straży Granicznej tymczasowo zamknął na wschodniej granicy przejście przez tzw. But Saatse, po tym jak strażnicy zauważyli po stronie rosyjskiej przemieszczanie się oddziału liczniejszego niż zwykle. Po mundurach było jasne, że nie są to strażnicy graniczni. Byli w mundurach bez oznaczeń i wręcz pozowali do kamer monitoringu. Pojawienie się „zielonych ludzików" na granicy z Estonią może wskazywać na to, że Rosja nie tylko testuje granice dopuszczalnych działań w stosunku do jednego z krajów UE i członka NATO, ale także na to, że hybrydowe prowokacje i zagrożenia mogą się tylko nasilić. Także w powietrzu – również Estończycy coraz częściej mają do czynienia z dronami i samolotami rosyjskimi naruszającymi granice państwa.

NIEOBLICZALNY

Putin może stać się bardziej niebezpieczny, gdy zostanie przyparty do muru. Możliwe zagrożenia obejmują zarówno cyberatak na państwo członkowskie NATO, wysłanie nieoznakowanych grup zbrojnych w celu zajęcia terytorium („zielone ludziki"), jak i ograniczoną inwazję na wschodnią flankę Sojuszu.

Ograniczony „scenariusz irański"?

Obecnie armia Rosji posiada dużą liczbę ukraińskich dronów, unieruchomionych przez systemy walki radioelektronicznej. Te bezzałogowe statki powietrzne, formalnie należące do Ukrainy, można skierować w stronę krajów bałtyckich. Sterować nimi mógłby przy tym rosyjski operator, na przykład z Moskwy. Typowa operacja „pod fałszywą flagą". Warto przypomnieć, że 20 maja 2026 roku ministerstwo obrony Litwy ogłosiło alarm z powodu drona zbliżającego się od strony Białorusi. W niektórych miejscowościach, w tym w Wilnie, przeprowadzono nawet ewakuację ludzi do schronów. Wydaje się, że ewentualna ograniczona operacja Rosji wobec krajów bałtyckich jeszcze w trakcie wojny z Ukrainą, przed którą przestrzega amerykański wywiad, może mieć właśnie taki, powietrzny charakter. Putin może spróbować powtórzyć – na ograniczoną oczywiście skalę – scenariusz ataku USA i Izraela na Iran. Taką agresję Rosja może przeprowadzić łatwo, bo dysponuje obecnie wystarczającymi środkami rażenia powietrznego. Duża operacja lądowa jest bowiem niemożliwa.

Do okupacji wszystkich trzech krajów bałtyckich Rosja potrzebowałaby rozbudowanej grupy bojowej liczącej nawet do miliona osób. Obecnie taka koncentracja sił jest po prostu nierealna. W tym celu konieczne byłoby wycofanie z Ukrainy wszystkich wojsk okupacyjnych. Dopóki trwają działania zbrojne na Ukrainie, armia rosyjska nie dysponuje siłami niezbędnymi do realizacji zadań na dużą skalę w Europie. Zresztą jeśli Kreml zacznie gromadzić siły na zachodniej granicy, państwa NATO dowiedzą się o tym i podejmą działania odwetowe. Wszystkie zdolne do walki jednostki graniczących z krajami bałtyckimi Leningradzkiego Okręgu Wojskowego i Moskiewskiego Okręgu Wojskowego są zaangażowane w działania bojowe na Ukrainie. W miejscach stacjonowania pozostaje jedynie personel techniczny odpowiedzialny za funkcjonowanie infrastruktury, zaopatrzenie i załatwianie spraw logistycznych. Sytuacja może się jednak zmienić po mobilizacji jesiennej w Rosji, gdy do armii trafią setki tysięcy ludzi.

Biuro Ochrony Konstytucji (SAB), jeden z trzech na Łotwie organów bezpieczeństwa państwa, odpowiedzialny m.in. za kontrwywiad, w ostatnim raporcie pisze, że Rosja postrzega wydarzenia międzynarodowe jako grę o sumie zerowej. „Rosja często interpretuje działania innych krajów w kategoriach podobieństwa, zakładając, że będą one postępować tak samo, jak Rosja w podobnej sytuacji". To sprawia, że działania Rosji stają się coraz bardziej nieprzewidywalne. Zdaniem łotewskiego kontrwywiadu postrzeganie krajów bałtyckich przez Rosję staje się coraz bardziej podobne do postrzegania Ukrainy przez Rosję przed wojną. To może skutkować bardziej agresywnymi decyzjami Rosji. **GP**

eprasa.pl a51e4bc623



OPŁATY ZA EMISJĘ CO_2 DO KOSZA

W związku z odrzuceniem przez prorządową senacką większość zaproponowanego przez prezydenta Nawrockiego referendum ws. wycofania się Polski z polityki klimatycznej UE kandydat PiS na premiera prof. Przemysław Czarnek ogłosił konieczność wprowadzenia w życie jednego z kilku punktów programu przyszłego rządu PiS, tj. wyjścia Polski z unijnego mechanizmu ETS.

WYJŚCIE POLSKI Z SYSTEMU ETS MOŻE ZNACZĄCO ZMNIEJSZYĆ KOSZTY FUNKCJONOWANIA GOSPODARKI

Zdaniem obecnie rządzących, m.in. minister klimatu Pauliny Hennig-Kloski, krok taki miałby oznaczać polexit, tj. wyjście Polski z UE. Prof. Czarnek zapowiedział, że PiS złoży do parlamentu projekt ustawy zakładającej wyjście naszego kraju z ETS.

Kluczowy system dla Zielonego Ładu

Projekt zakłada uchylenie dwóch obowiązujących obecnie ustaw: z 2009 roku – o systemie zarządzania emisjami gazów cieplarnianych, i z 2015 roku – o systemie handlu uprawnieniami do emisji CO_2. Prof. Czarnek, mówiąc o tej ostatniej, przypomniał, że do niej odnosi się orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego z czerwca 2025 roku o tym, że „UE nie miała w zakresie swoich kompetencji traktatowych możliwości podejmowania decyzji z 2015 roku większością w ramach Rady UE, a obowiązek w tym zakresie to jest obowiązek podejmowania decyzji jednogłośnie".

Zdaniem profesora „odejście od tego sposobu podejmowania decyzji jest przekroczeniem uprawnień UE". „W związku z powyższym wszystko, co jest efektem, również ten handel uprawnieniami do emisji CO_2, spekulacyjny handel z udziałem instytucji finansowych, który doprowadził do zwiększenia cen uprawnień do emisji CO_2 z 8 euro/t do dzisiaj już 80 parę euro (…), to powoduje niebywałą drożyznę – ocenił. Jego zdaniem obie ustawy wprowadziły w Polsce „de facto najdroższy prąd w UE, najdroższy dla przedsiębiorstw energochłonnych i jeden z najdroższych w stosunku do siły nabywczej dla zwykłych gospodarstw, także dla rolników".

ETS przyjęty przez Unię jeszcze przed akcesją Polski do UE

– To nie było tak, że konkretny rząd polski podpisał zgodę na ETS w imieniu Polski – tłumaczy europoseł Bogdan Rzońca (PiS/EKR). – Dyrektywa ustanawiająca EU ETS została przyjęta w październiku 2003 roku, czyli przed wejściem Polski do UE, za rządów Leszka Millera (SLD). Pierwsza polska ustawa wdrażająca tę dyrektywę weszła w życie 1 stycznia 2005 roku, za premiera Marka Belki (SLD). Jednocześnie Polska nie głosowała nad ETS, ponieważ w październiku 2003 roku nie była jeszcze członkiem UE.

eprasa.pl a51e4bc623



KOSZTY

W latach 2028–2032 koszt wyceny emisji objętych ETS2 może wynieść w Polsce około 45,4 mld euro. Przewidywane wpływy budżetowe nie pokryją tej kwoty.

Maciej **Pawlak**
SZEF DZIAŁU GOSPODARKA

Zdaniem Rzońcy już wiadomo, że OZE nie „uciągną" w UE gospodarki. – Dlatego nastąpiły „przeprosiny" z energetyką jądrową. Bo w żadnym dokumencie unijnym na nową perspektywę finansową w latach 2028–2034 nie mówi się już, że energia nuklearna jest zła, ale że jest potrzebna. Widać więc, że akcja przeciwko ETS w Polsce ma sens także międzynarodowy. Dyskusje na ten temat i w Polsce, i w UE są potrzebne dlatego, że obecnie na giełdzie związanej z funkcjonowaniem ETS najwięcej zarabiają wszyscy ci, którzy nie mają nic wspólnego z produkcją energii.

W Polsce jest najdroższy prąd w UE, najdroższy dla przedsiębiorstw energochłonnych i jeden z najdroższych w stosunku do siły nabywczej dla zwykłych gospodarstw, także dla rolników.

FOT. ADOBE STOCK/AI

Negatywne konsekwencje ETS

Interesujące wnioski na temat znaczenia ETS w pogarszaniu warunków funkcjonowania naszej gospodarki przedstawiła niedawno Fundacja SET. W jej opinii bez ETS znaczna część polskich elektrowni konwencjonalnych nadal pozostawałaby konkurencyjna ekonomicznie wobec wielu alternatywnych technologii. Ponadto koszt emisji CO_2 stał się jednym z najważniejszych składników kosztu produkcji prądu. W przypadku elektrowni węglowych oznacza to dodatkowe setki złotych na każdej megawatogodzinie energii. „Transformacja energetyczna jest więc nie tylko rezultatem rozwoju nowych technologii, ale również efektem administracyjnego wzrostu kosztów funkcjonowania źródeł konwencjonalnych" – pisze fundacja.

Jej prezes Wojciech Dąbrowski, były prezes PGE, podkreśla, że dalsze pogłębianie polityki klimatycznej UE to po prostu sabotaż polskiej gospodarki. – W założeniu miała ona doprowadzić do trwałego utrzymania konkurencyjności europejskiej gospodarki i niskich cen energii. Tymczasem Europa, a szczególnie Polska, która jest jednym z niechlubnych liderów cen energii, ceny ma najwyższe na świecie – są one sześciokrotne wyższe niż w Chinach, czterokrotnie wyższe niż w USA i dwukrotnie wyższe niż na Ukrainie, która dziś negocjuje akcesję do UE, a jej towary nie są obciążone parapodatkami UE, jak jej polityka klimatyczna – tłumaczy.

Obciążenie dla całej europejskiej gospodarki

– ETS to obciążenie dla całej europejskiej gospodarki – wskazuje poseł Andrzej Adamczyk (PiS), były minister infrastruktury. – Skutkiem tego jest ona wyprzedzana przez gospodarki innych kontynentów. Znajdujemy się, praktycznie rzecz biorąc, w ogonie świata – ze względu na „religię klimatyczną" wyznawaną i narzucaną nam przez lewackie kręgi decyzyjne. I to jest poza wszelką dyskusją. Nasze produkty są mniej konkurencyjne: zarówno polskie, jak i państw UE. Jeżeli Niemcy są w stanie ratować swoją gospodarkę, podobnie Francuzi – poprzez na przykład wdrażanie na szczeblu UE układów z krajami Mercosuru, a także poprzez wykorzystywanie środków z SAFE przez państwa, które zamawiają i lokują zamówienia w Niemczech czy we Francji – to my nie możemy sobie z tym poradzić? Stan polskiej gospodarki szczególnie przekłada się na koszty utrzymania mieszkań i domów w należytym standardzie i niskie koszty ogrzewania.

eprasa.pl a51e4bc623

Koszty ETS przerzucane na obywateli

Dąbrowski dodaje, że w ubiegłym roku Polacy, wskutek mechanizmu ETS, zapłacili aż 45 mld zł za prawo do emisji CO_2. – Pamiętajmy przy tym, że za emisję CO_2 formalnie płacą przedsiębiorstwa energetyczne i energochłonne. Ale tak naprawdę wszystkie te koszty są przerzucane na obywateli. U nas ceny energii są najwyższe na świecie. Tymczasem UE ze swoją polityką zmierza w zupełnie odwrotnym kierunku niż cały świat, który wraca do węglowodorów, do pozyskiwania gazu, węgla czy ropy. Na dowód tego warto przytoczyć dane, z których wynika, że w ubiegłym roku wydobyto na świecie rekordową ilość węgla – prawie 9 mld ton, z tego w Polsce tylko 40 mln ton – mówi. – Wobec tego widać, że cały świat zmierza w zupełnie innym kierunku niż zideologizowana Europa. Trudno dziś nazwać realizację unijnej polityki klimatycznej jakimś przedsięwzięciem gospodarczym. Wobec tego dziś polityka ta powinna zostać zredefiniowana i nakierowana na odbudowę konkurencyjności gospodarek i na budowę bezpieczeństwa energetycznego. Oczekujemy, że inicjatywa wyjścia Polski z systemu ETS, ogłoszona przez PiS, zostanie przyjęta i doprowadzi do powrotu na tory rozwoju bezpieczeństwa i konkurencyjności – dodaje.

Tym bardziej że według danych wspomnianego CSR obecnie cała UE odpowiada za mniej niż 6 proc. emisji gazów cieplarnianych na świecie. W latach 1990–2025 jej udział spadł z 15 do 5,9 proc. W tych samych latach udział Chin w tych emisjach na świecie wzrósł z 11,5 do 29,2 proc. Chyba wystarczająco mocno osłabia to sens wysiłków unijnych urzędników zmniejszania emisji tych gazów za każdą cenę.

Kosmetyczne poprawki w ETS niczego nie zmieniają

Co prawda Komisja Europejska zdaje się dostrzegać liczne niebezpieczeństwa wynikające z dalszego stosowania ETS w krajach UE, stąd niedawno zaproponowała określone „złagodzenie" zasad systemu. Jednak, jak ostrzega w komentarzu na ten temat Centrum Strategii Rozwojowych (CSR), „nie oznacza to (…) poluzowania polityki klimatycznej. W porównaniu z warunkami prowadzenia działalności w 2026 roku nowy ETS będzie droższy, obejmie więcej sektorów, ograniczy ochronę przemysłu i przeniesie kolejne decyzje gospodarcze z państw członkowskich na poziom Komisji Europejskiej". Ekspert CSR Marcin Izdebski zwraca uwagę, że „Komisja porównuje nowy projekt z przepisami zapisanymi na lata 30. – przepisami, które nie zdążyły jeszcze w pełni zadziałać i które prowadziłyby do gwałtownego wzrostu kosztów oraz niemal całkowitego odebrania przemysłowi dotychczasowej ochrony. (…) A wobec dzisiejszych warunków kierunek jest jednoznaczny: cena emisji ma wzrosnąć, system obejmie kolejne dziedziny życia, przemysł szybko straci większość darmowych uprawnień, a ETS2 podniesie ceny ogrzewania i transportu".

ETS2 od 2028 roku?

Wspomniane ostatnie „łagodzenie" zapisów ETS nie odsuwa kolejnego zielonego pomysłu gremiów kierowniczych UE, tj. wprowadzenia mechanizmu ETS2, który poszerza stosowanie ETS na paliwa wykorzystywane w budynkach, transporcie drogowym i mniejszym przemyśle. W analizie zatytułowanej „Wpływ ETS2 na koszty życia Polaków" Wandy Buk i Marcina Izdebskiego oszacowano, że według pierwotnego harmonogramu rozpoczynającego system w 2027 roku przeciętna polska rodzina ogrzewająca mieszkanie gazem poniosłaby skumulowany dodatkowy koszt: 6338 zł do 2030 roku i aż 24 018 zł do 2035 roku. Zaś dla rodziny ogrzewającej dom węglem koszty wynosiłyby odpowiednio 10 311 i 39 074 zł.

Ponadto analiza ośrodka CSR wskazuje, że w latach 2028–2032 koszt wyceny emisji objętych ETS2 może wynieść w Polsce prawie 45,4 mld euro. A przewidywane wpływy budżetowe w ogóle nie pokryją tej kwoty.

– W 2027 roku odbędą się wybory w Polsce, Hiszpanii, we Włoszech i we Francji. Jeśli w tych krajach wygrają „eurorealiści", to ETS2 nie wejdzie w ogóle w życie. Jeśli zaś wygrają lewica i zieloni, obecnie rządzący, to ETS2 zacznie funkcjonować – podsumowuje Rzońca. **GP**



SŁABNĄCE WYNIKI HANDLU

Jeszcze pod koniec ubiegłego roku handel był jednym z mocniejszych sektorów w Barometrze Europejskiego Funduszu Leasingowego (EFL). W IV kwartale ub.r. subindeks dla tej branży wynosił 54,9 pkt, a w I kwartale br. 53,4 pkt. Od tego momentu wskaźnik systematycznie spada. W II kwartale obniżył się do 49 pkt, a w najnowszym pomiarze do 48,1 pkt. Sektor handlowy pozostaje poniżej progu 50 pkt, który w Barometrze EFL oddziela warunki sprzyjające rozwojowi od niekorzystnych. Obecny wynik jest najniższy od ponad roku. Tym samym handel wszedł w fazę wyraźnie ostrożniejszych oczekiwań.



MŁODZI POLACY W DŁUGACH

Wchodzenie w dorosłość dla wielu młodych Polaków staje się niestety bolesnym zderzeniem z rzeczywistością. BIG InfoMonitor oraz BIK pokazują ponury obraz – blisko 31,7 tys. osób między 18. a 24. rokiem życia wchodzi w prawdziwą dorosłość z bagażem pełnym zaległych długów opiewających na 97,2 mln zł – tyle wynosi całkowite zaległe zadłużenie Polaków w wieku 18–24 lata, w tym pozakredytowe i kredytowe. 514,3 tys. zł – to kwota zadłużenia 18-letniej rekordzistki z zachodniopomorskiego.

FOT. PIXABAY/AI

www.prenumerata.swsmedia.pl

eprasa.pl a51e4bc623

Najnowsze newsy i nie tylko z obszaru Unii Europejskiej



Tomasz Mysłek

Europa w skrócie

Drożyzna w Bułgarii Po wprowadzeniu w Bułgarii waluty euro w styczniu br. ceny niemal wszystkich towarów i usług wzrosły od kilku do kilkudziesięciu procent – zwłaszcza w kurortach nad morzem. W czerwcu i lipcu na wybrzeżu nastąpił więc 35-proc. spadek liczby zagranicznych turystów. Przewodniczący związku hotelarzy w Złotych Piaskach S. Stojanow powiedział TV Nova, że „nigdy wcześniej nie było tak źle". Portal Interia przytoczył opinie turystów z Wielkiej Brytanii. Jeden z nich wyliczał: za butelkę piwa, która rok temu kosztowała 3,5 lewa, dziś trzeba płacić 2,8 euro, tj. równowartość 5,6 lewa. Inny szacował wzrost kosztów życia w porównaniu z latem ubiegłego roku na 33 proc. W 2025 roku rządzący zapewniali Bułgarów, że po przyjęciu euro ceny nie wzrosną, a teraz drastyczne podwyżki nazywają „zjawiskiem incydentalnym".

Kolejne szaleństwo klimatyzmu Portal Samorządowy poinformował, że komisarze UE planują taką zmianę unijnego systemu ETS, która obejmie także spalarnie śmieci obowiązkiem regularnych zakupów uprawnień do emisji CO_2. Według szacunków Krajowej Izby Gospodarki Odpadami może to podnieść koszty odbioru śmieci w Polsce aż o 60 proc., a koszty ciepła ze spalarni o 52 proc.

Prawie połowa Norwegów nadal nie chce wejść do UE Tak wynika z opublikowanego 10 sierpnia sondażu biura Opinion. Przeciwko przystąpieniu do UE głosowałoby 49 proc. pytanych, a za – 37 proc. W poprzednim badaniu z lutego br. przeciwko wstąpieniu do UE było 48 proc. ankietowanych, a za – 38 proc. Jedyną grupą, w której przeważają zwolennicy integracji z UE, są osoby powyżej 60. roku życia. W tej grupie wstąpienie do UE popiera 48 proc. ankietowanych, a 42 proc. jest temu przeciwnych. Natomiast wśród młodych Norwegów jest nadal więcej przeciwników niż zwolenników akcesji kraju do UE.

W Niemczech coraz mniej browarów Z danych opublikowanych przez niemiecki urząd statystyczny wynika, że w 2025 roku w Niemczech działało jeszcze 1415 browarów. To o 53 zakłady mniej niż rok wcześniej i aż o 137 browarów mniej niż w roku 2019. Statystycy tłumaczą ten trend między innymi spadkiem sprzedaży piwa aż o 15,7 proc. w porównaniu z rokiem 2019.

KOSZTY SUSZY

Według ekonomistów firm ING i Allianz tegoroczne wielkie upały, susze i pożary spowodują w Hiszpanii, we Francji i w innych krajach UE rekordowe straty gospodarcze, liczone w setkach miliardów euro.

W UE wzrosła liczba Ukraińców objętych ochroną Z danych Europejskiego Urzędu Statystycznego wynika, że 30 czerwca w UE tzw. ochroną tymczasową było objętych 4 mln 407 tys. Ukraińców. Ta ochrona gwarantuje prawo do legalnego pobytu, pracy i szkoły we wszystkich państwach UE. W Polsce liczba obywateli Ukrainy objętych ww. ochroną wyniosła z końcem czerwca 961 tys. 170 i spadła w porównaniu z końcem maja br. o 6335 osób i o 10 085 osób w porównaniu z końcem kwietnia. W 24 krajach UE ta liczba wzrosła – najwięcej we Włoszech (o ponad 4 tys. osób), w Czechach (3 835) i Niemczech. **GP**

FOT. ADOBE STOCK

Czy Europie zabraknie gazu?

Od 7 sierpnia hurtowe ceny gazu ziemnego w Europie ponownie rosną, a kraje UE mają coraz mniej czasu na uzupełnienie zapasów gazu przed zimą. Zapasy gazu ziemnego w magazynach krajów UE osiągnęły 10 sierpnia średnio 58,8 proc. ich pojemności, podczas gdy średnia pięcioletnia w tym dniu wynosiła ostatnio 75,7 proc.



eprasa.pl a51e4bc623

KLUBY GAZETY POLSKIEJ

Dziękujemy, Panie Prezydencie!

Byli podczas kampanii wyborczej, przyjechali do Warszawy w dniu zaprzysiężenia Karola Nawrockiego, a rok później ponownie stanęli przed Pałacem Prezydenckim. Przedstawiciele Klubów „Gazety Polskiej" z całego kraju licznie uczestniczyli w obchodach pierwszej rocznicy objęcia urzędu przez prezydenta RP.





„Byliśmy na początku tej drogi. Jesteśmy także dziś" – podkreślali przedstawiciele Klubów „Gazety Polskiej", którzy stawili się w rocznicę zaprzysiężenia Karola Nawrockiego na prezydenta RP w Warszawie.

WARSZAWA | 6 sierpnia przed Pałacem Prezydenckim spotkali się przedstawiciele Klubów „Gazety Polskiej", którzy przyjechali do stolicy, aby wspólnie świętować pierwszą rocznicę objęcia urzędu prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej przez Karola Nawrockiego. Dla klubowiczów „GP" było to wydarzenie o szczególnym znaczeniu – środowisko Klubów „Gazety Polskiej" towarzyszyło Karolowi Nawrockiemu podczas kampanii wyborczej, było obecne w Warszawie w dniu jego zaprzysiężenia, a przez pierwszy rok prezydentury wielokrotnie spotykało się z głową państwa podczas wydarzeń patriotycznych i klubowych „GP". „Byliśmy na początku tej drogi. Jesteśmy także dziś" – podkreślali przedstawiciele Klubów „Gazety Polskiej". Przypominali, że prezydent gościł na spotkaniach Klubów „Gazety Polskiej", rozmawiał z klubowiczami „GP" i okazywał wsparcie dla ich działalności.

Przed południem manifestację poparcia przed Pałacem Prezydenckim zorganizował Adam Borowski, przewodniczący warszawskiego Klubu „Gazety Polskiej". W swoim wystąpieniu wracał pamięcią do kampanii wyborczej i atmosfery towarzyszącej zwycięstwu Karola Nawrockiego. Podkreślał, że mimo ostrej kampanii wymierzonej w kandydata popieranego przez środowiska obywatelskie ponad 10 mln wyborców zdecydowało się oddać na niego głos. Klubowicze „Gazety Polskiej" podsumowali swoją obecność prostym przesłaniem skierowanym do głowy państwa: „Dziękujemy, Panie Prezydencie!".

NOWY SĄCZ | Intencja za prezydenta towarzyszyła również wyjazdowemu spotkaniu sądeckiego Klubu „Gazety Polskiej" im. ks. J. Gurgacza. Klubowicze „GP" byli gośćmi pana Mariana prowadzącego „Willę Sielanka" w Krynicy-Słotwinach. Przy kwaśnicy i plackach po zbójnicku odbyły się spotkanie i rozmowy, których gościem specjalnym był red. Józef Wieczorek. Później większość uczestników udała się do Kościoła pw. Matki Bożej Nieustającej Pomocy w Krynicy-Czarnym Potoku, gdzie odprawiono zamówioną przez klubowiczów mszę św. w intencji Karola Nawrockiego w pierwszą rocznicę objęcia urzędu prezydenta RP.

SŁUPSK | Pełna sala, wiele pytań i dyskusja o najważniejszych wydarzeniach w kraju – tak przebiegało spotkanie z Tomaszem Sakiewiczem, prezesem Telewizji Republika, zorganizowane przez Klub „Gazety Polskiej" Słupsk oraz poseł Dorotę Arciszewską-Mielewczyk. Rozmowę prowadzili przewodnicząca Klubu „GP" Słupsk Marzena Gmińska oraz poseł Dorota Arciszewska-Mielewczyk.

ZGORZELEC | Kolejne spotkanie zorganizował Klub „Gazety Polskiej" Zgorzelec, który gościł Adama Borowskiego. Była to okazja zarówno do zadawania pytań, jak i szerszej rozmowy o bieżącej sytuacji w Polsce oraz sprawach angażujących środowiska obywatelskie.

ŚWIDNICA | W Świdnicy na zaproszenie lokalnego Klubu „Gazety Polskiej" gościł dr Marek Woch. Bezpośrednia formuła wydarzenia sprzyjała rozmowie z gościem i pozwoliła uczestnikom nie tylko wysłuchać jego wystąpienia, ale również włączyć się w dyskusję.

KATOWICE | Pamięć historyczną połączono ze sportową rywalizacją podczas XI Memoriału dr. Andrzeja Mielęckiego. Na stadionie MOSiR przy ul. Asnyka odbył się otwarty turniej piłkarskich „szóstek", organizowany przez katowicki Klub „Ga-

FOT. ARCH.

eprasa.pl a51e4bc623

zety Polskiej" pod patronatem prezydenta Katowic. W finale Hiacynt Tychy pokonał Cobu Team 5:0. Memoriał przypomina postać dr. Andrzeja Mielęckiego, lekarza i działacza polskich organizacji, który w 1919 roku został radnym Katowic i przewodniczącym polskiej frakcji w radzie miasta. W sierpniu 1920 roku, po rozpowszechnieniu przez niemiecką prasę fałszywej wiadomości o zajęciu Warszawy przez Armię Czerwoną, w Katowicach doszło do antypolskich rozruchów. Dr Mielęcki próbował jako lekarz pomagać rannym. Został brutalnie pobity przez niemieckich demonstrantów i zmarł 16 sierpnia 1920 roku. Jego śmierć stała się jednym z wydarzeń poprzedzających wybuch II powstania śląskiego.

ELBLĄG II | Pamięć wymaga także codziennej troski o miejsca przypominające o polskich bohaterach. Kilka razy w roku przedstawiciele środowisk patriotycznych odwiedzają Tulice, a dwa razy w roku kawalerowie Orderu św. Stanisława Przeoratu Pomorskiego wraz ze Światowym Związkiem Żołnierzy Armii Krajowej i Klubem „Gazety Polskiej" Elbląg II wykonują prace porządkowe przy Pomniku Danuty Siedzikówny „Inki". Pomnik został już po raz siódmy wyczyszczony i zakonserwowany. Dla uczestników jest to nie tylko troska o miejsce pamięci, lecz także praktyczna lekcja historii przekazywana następnym pokoleniom.

KIELCE-CENTRUM | Klub „Gazety Polskiej" Kielce-Centrum uczestniczył na zaproszenie Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość" oraz Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej ze Skarżyska-Kamiennej w uroczystościach 81. rocznicy rozbicia więzienia kieleckiego UB. W nocy z 4 na 5 sierpnia 1945 roku oddziałami, które przeprowadziły akcję, dowodził kpt. Antoni Heda „Szary". W wyniku brawurowego uderzenia uwolniono 354 więźniów, nie ponosząc przy tym strat. Kilka dni później delegacja Klubu „GP" uczestniczyła także w uroczystościach w Daleszycach. To właśnie na tamtejszym rynku 8 sierpnia 1944 roku skoncentrowało się około tysiąca żołnierzy Armii Krajowej. Po złożeniu przysięgi, jako I Batalion 4. Pułku Piechoty Legionów AK, wyruszyli na pomoc walczącej Warszawie. Tegoroczna, 82. rocznica wydarzenia zbiegła się z 100. rocznicą wizyty marszałka Józefa Piłsudskiego w Daleszycach. Klubowicze „Gazety Polskiej" Kielce-Centrum oddali hołd bohaterom tamtych wydarzeń.

TARNÓW | Pod pomnikiem na Placu Ofiar Stalinizmu odbyło się spotkanie upamiętniające Polaków zamordowanych przez komunistyczny aparat terroru Związku Sowieckiego w ramach tzw. operacji polskiej NKWD z lat 1937–1938. Data uroczystości nawiązywała do 11 sierpnia 1937 roku, kiedy wydano rozkaz NKWD rozpoczynający masowe represje wymierzone w ludność polską. Podczas obchodów przypominano o blisko 300 tys. Polaków – obywateli ZSRS, którzy padli ofiarą represji.

PERTH | Klub „Gazety Polskiej" Perth postawił w ostatnich miesiącach na szeroko zakrojoną działalność historyczno-edukacyjną skierowaną zarówno do młodej Polonii, jak i Australijczyków. Od czerwca do sierpnia klubowicze organizowali projekcje filmów, wystawy oraz publiczne wydarzenia przypominające o najważniejszych i często trudnych wydarzeniach z historii Polski. W czerwcu zaprezentowano film Michała Kani „Wołyń. Nierozliczone ludobójstwo", a w lipcu dokument „Kielce 1946. Zbrodnia z rosyjskiego scenariusza". Z okazji rocznicy śmierci gen. Władysława Sikorskiego w Polskim Klubie jego imienia w Bellevue otwarto także dwie wystawy poświęcone II wojnie światowej i wojennym stratom Polski. Szczególny charakter miały obchody 82. rocznicy Powstania Warszawskiego. 1 sierpnia na Forrest Place klub zorganizował pokojową demonstrację, podczas której domagano się od Niemiec reparacji za straty poniesione przez Polskę podczas II wojny światowej. Odśpiewano hymny Polski i Australii oraz „Rotę", a mieszkańcom Perth przybliżano po angielsku historię powstania i niemieckich zbrodni. Odczytano również list skierowany do kanclerza Friedricha Merza i ambasador Niemiec w Australii Beate Grzeski oraz przypomniano losy członków rodzin uczestników demonstracji – ofiar niemieckiej okupacji, więźniów obozów i osób wywiezionych na roboty przymusowe. Dzień później w polskim kościele w Maylands odprawiono mszę św. w intencji powstańców warszawskich. Towarzyszyły jej występ artystyczny, projekcja filmu „Roznosiciele radości" oraz wystawa IPN poświęcona Powstaniu Warszawskiemu.

MIECHÓW | Klub „Gazety Polskiej" Miechów wykorzystał odbywającą się w Słaboszowie Traktoriadę do prowadzenia akcji obywatelskiej. Klubowicze „GP" przygotowali własne stoisko, przy którym zbierali podpisy pod obywatelskim projektem ustawy zakazującej propagowania banderyzmu. Akcja stała się również okazją do wielu rozmów z mieszkańcami i uczestnikami wydarzenia. Stoisko odwiedził marszałek województwa małopolskiego Łukasz Smółka, z którym klubowicze rozmawiali o prowadzonej inicjatywie i działalności Klubu „GP".

XII NADZWYCZAJNY ZJAZD KLUBÓW „GAZETY POLSKIEJ" – w dniach 28–30 sierpnia 2026 roku odbędzie się XII Nadzwyczajny Zjazd Klubów „Gazety Polskiej".

Przypominamy, że uczestnictwo w zjeździe to wyjątkowy przywilej i zaszczyt. Wszelkie niezbędne informacje zostały przekazane przewodniczącym Klubów „GP".
Zjazd jest wydarzeniem zamkniętym, przeznaczonym tylko dla klubowiczów „GP".

Kontakt dla osób, które chcą założyć klub „GP"

Tomasz Sakiewicz
REDAKTOR NACZELNY „GP"

Ewa Wójcik
PREZES KLUBÓW „GP"

Biuro Klubów „GP": ul. Bracka 15, I piętro, 31-005 Kraków,
e-mail: klubygp@gazetapolska.pl, tel. (12) 422 03 08, 505 038 217, 609 447 449

eprasa.pl a5

UCISZYĆ KLECHĘ

HISTORIA KSIĘDZA ROMANA KOTLARZA

50 lat temu, 18 sierpnia 1976 roku, zmarł ksiądz Roman Kotlarz. Człowiek, który nie potrafił przejść obojętnie obok słabszych, bitych i krzywdzonych. 25 czerwca 1976 roku stał się świadkiem i uczestnikiem protestów robotniczych w Radomiu. W swoich kazaniach przypominał o komunistycznym bezprawiu i prześladowanych robotnikach. Tym samym znalazł się na celowniku Służby Bezpieczeństwa. Był bity i zastraszany. Okoliczności jego śmierci nigdy nie zostały wyjaśnione.

Piotr **Dmitrowicz**

Roman Kotlarz urodził się w Koniemłotach 11 lat przed wybuchem II wojny światowej. Pochodził z wielodzietnej rodziny chłopskiej. Takiej tradycyjnej, z wartościami katolickimi i etosem ciężkiej pracy. Dorastał w trudnych latach wojny, a w dorosłość wkraczał w czasach najgorszego stalinizmu. W 1948 roku postanowił wstąpić do seminarium, co według rodziny i najbliższych nie było specjalnym zaskoczeniem.

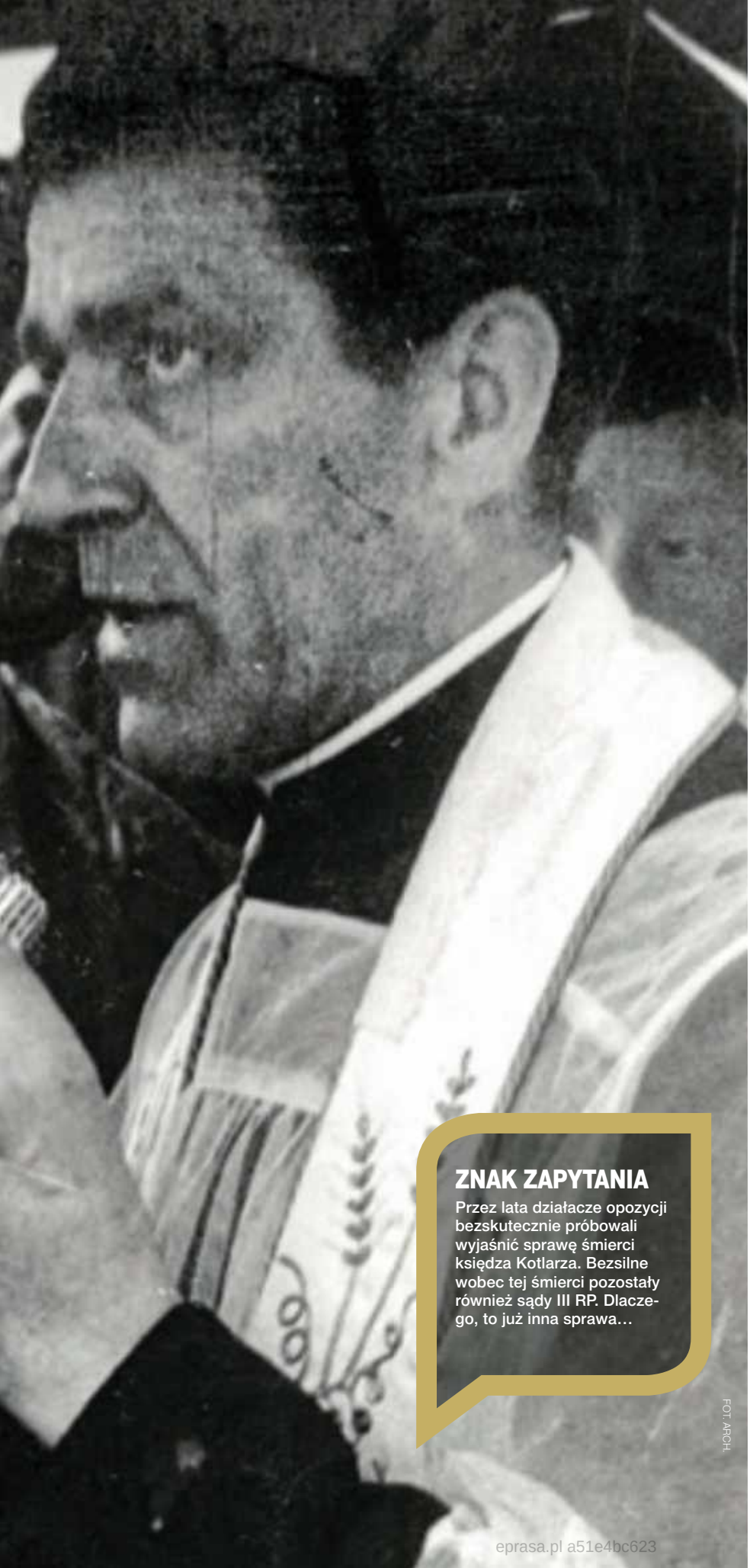
Zwykły, niezwykły duchowny

Święcenia kapłańskie otrzymał w roku 1954. Jakim był księdzem? Z jednej strony niczym specjalnym nie wyróżniał się w seminarium, z drugiej jako pasterz w kolejnych parafiach potrafił zjednywać sobie serca wiernych. Zawsze emocjonalny i autentyczny w tym, co robił i mówił. Szczególnie na sercu leżało mu nauczanie młodzieży religii. Potrafił w sposób bardzo jednoznaczny przeciwstawiać się państwowej, planowanej ateizacji. W jednym z kazań mówił: „Młodzieży! Nie wierzcie w to, co wam mówią w szkołach, że Boga nie ma i nie było na ziemi. Bóg był, jest i będzie, a historia jest zmienna. Jaki by nie był rząd, który prześladuje Kościół katolicki, długo nie powojuje…”. Taka postawa budziła protesty władz państwowych, ale niekiedy też kościelnych. Do 1961 roku, kiedy to trafił do Pelagowa koło Radomia, pracował w sześciu parafiach. W Pelagowie formalnie pełnił funkcję wikariusza, ale faktycznie pod nieobecność schorowanego księdza Michała Skowrona przejął wszystkie obowiązki proboszcza. Dodatkowo został też kapelanem w Wojewódzkim Specjalistycznym Szpitalu dla Nerwowo i Psychicznie Chorych w Krychnowicach. Z prowadzonych przez księdza Kotlarza zapisków widać, że pracował niezwykle ciężko i nie oszczędzał się, co w długiej perspektywie odbiło się na jego zdrowiu. Żył niezwykle skromnie, na parafii nie miał nikogo do pomocy. Kościół sprzątał



www.prenumerata.swsmedia.pl

eprasa.pl a51e4bc623



ZNAK ZAPYTANIA

Przez lata działacze opozycji bezskutecznie próbowali wyjaśnić sprawę śmierci księdza Kotlarza. Bezsilne wobec tej śmierci pozostały również sądy III RP. Dlaczego, to już inna sprawa…

FOT. ARCH.

razem z parafianami, którzy wspierali, jak mogli, energicznego kapłana. Nie omijały go też kłopoty finansowe. Często zalegał z opłatami na rzecz kurii.

Ksiądz podpisuje na siebie wyrok

Jest 25 czerwca 1976 roku. Ponad 20 tysięcy mieszkańców Radomia wychodzi na ulice. Protestują przeciwko drastycznej podwyżce cen żywności wprowadzonej przez komunistów. Ze schodów Kościoła Świętej Trójcy znajdującego się niemal w centrum miasta manifestację robotników obserwuje 48-letni ksiądz. Z ekscytacją i niepokojem patrzy na gęstniejący z minuty na minutę tłum robotników maszerujących w kierunku gmachu partii. Już wie, że nie może pozostać obojętny, że nie może stanąć z boku i uznać, że to nie jego sprawa. Powoli podnosi do góry rękę i wykonuje znak krzyża, błogosławi protestujących. Ludzie to widzą. Na ich twarzach pojawiają się uśmiechy. Ktoś krzyczy, że jak ksiądz z nimi, to i parafia. Duchowny dołącza do protestujących. Jest teraz jednym z nich. „Niech żyje ksiądz proboszcz!" – słyszy gdzieś z tłumu. Zanim jeszcze protesty weszły w kulminacyjną fazę, ksiądz Kotlarz wrócił do swojej podradomskiej parafii w Pelagowie. W jego zapiskach możemy przeczytać: „(…) odjeżdżam, a szkoda, że nie byłem dłużej 16 godz. – wieści różne – o 15.00 nie dało Wojew[ództwo] odpowiedzi, pozamykali Dom Partii – i wtedy naród zawył z bólu i krzywdy i nie wytrzymał – zapalili dom partii (…), rozbijanie sklepów – około 17–18–19". Nie mógł wtedy przypuszczać, że swoim bezkompromisowym zachowaniem podpisał w istocie na siebie wyrok. Wyrok śmierci.

Zemsta Gierka

Protesty robotnicze, które obok Radomia na większą skalę objęły również Płock i Ursus, wzburzyły ekipę Gierka i samego I sekretarza, który nie przebierał w słowach: „Uważam, że im więcej będzie słów bluźnierstwa pod ich adresem, tym lepiej dla sprawy. To musi być atmosfera pokazywania na nich, jak na czarne owce, jak na ludzi, którzy powinni się wstydzić, że w ogóle są

eprasa.pl a51e4bc623

Polakami, że w ogóle po świecie chodzą". Niestety na propagandowych zaklęciach i piętnowaniu „warchołów z Radomia" się nie skończyło. W całym kraju zatrzymano ponad tysiąc osób. Przez kolejne dni urządzano dalej ścieżki zdrowia. Do kolegiów karnych skierowano ponad 350 wniosków. Ponad 300 osób aresztowano na co najmniej dwa miesiące. W Radomiu 51 osób postawiono przed sądem i skazano w trybie przyspieszonym. 42 trafiły do więzienia. W trybie zwykłym osiem osób skazano na kary od 8 do 10 lat, 11 osób na 5 do 6 lat, a pozostałych na 2 do 4 lat. Następowały masowe zwolnienia z pracy, a wielu robotników otrzymało tzw. wilcze bilety, czyli nieoficjalny zakaz podejmowania pracy. Władza wszelkimi sposobami starała się zagłuszyć prawdę o tym, co się stało. Warto przypomnieć, że do końca trwania PRL-u, a nawet potem, komuniści zaprzeczali, że w trakcie protestów i później stosowano wobec robotników „ścieżki zdrowia", czyli brutalne bicie pałkami ludzi przepuszczanych przez szpaler milicjantów. To, jak powtarzało wielu partyjnych notabli, miał być wymysł Komitetu Obrony Robotników. W takiej atmosferze przypominanie tego, co się stało w Radomiu, przez księdza Kotlarza uznane zostało przez władzę za działalność antypaństwową. Należało „uciszyć klechę".

„Bijemy cię za to, żeś robotników bałamucił"

„Najmilsi, razem z wami byłem obecny na ulicach miasta Radomia, błogosławiłem wasze szeregi, wasze trudy, wasze słuszne prawa" – mówił ksiądz Kotlarz po protestach w Radomiu i dodawał: „(...) Ukochani, jesteśmy zobowiązani wobec tych naszych braci Polaków, którzy w tej chwili ogromne cierpią katorgi. Nie wolno nam milczeć, nie wolno nam nie modlić się za nich. (…) Chleba naszego powszedniego daj nam, tak wołał Radom, tak żeśmy wspólnie wołali razem. Ja z wami". Z kolei w innym z kazań przekazywał: „Człowiek chce, Kochani, by miał czym oddychać, chce mieć coś do jedzenia, nawet waży się krew przelewać o chleb, jak to było na ulicach miast Wybrzeża! (…) Człowiek dzisiaj pragnie nie tylko pieniędzy, chleba, mieszkania, lodówki, telewizora, samochodu. Człowiek pragnie prawdy, sprawiedliwości, szacunku i wolności. Ludzie chcą dzisiaj szacunku, wołają o szacunek! I mają niektórzy odwagę upomnieć się tu i tam w obronie swej ludzkiej godności". Bezpieka nie pozostawała obojętna na słowa wypowiadane do wiernych przez księdza Kotlarza. Jego kazania były nagrywane przez SB, a działalność analizowana. Raporty, co świadczy o dużej skali ważności, przesyłano do centrali w Warszawie. 12 lipca ksiądz został wezwany do Prokuratury Wojewódzkiej w Radomiu. Przybyły specjalnie z Warszawy prokurator Prokuratury Generalnej próbował zastraszyć go i zmusić do zaprzestania „antypaństwowej działalności". Jednocześnie władze starały się wymusić na biskupie Piotrze Gołębiowskim, aby wpłynął na księdza Kotlarza i zmusił go do „zaprzestania wrogiej działalności". W tym czasie plebania w Pelagowie była pod stałą obserwacją SB. Wkrótce esbecy przeszli od słów do czynów. Ksiądz został przynajmniej dwa razy pobity na swojej plebanii. Świadkiem jednego z napadów była Krystyna Stancel, która przygotowywała księdzu wieczorny posiłek: „Otworzyłam sama drzwi i do księdza weszło dwóch panów, a trzeci został ze mną. (…) Przymknęli drzwi. Usłyszałam, jak ksiądz upadł na podłogę i zaczął jęczeć. Mówił: »O Jezu, o Jezu!«. I zaczęłam krzyczeć. A ten: »Cicho być!«(…) Co miał w ręce, to nie wiem. Przylał mi na prawym boku, że miałam znak do trzech miesięcy. I zaczęłam płakać i krzyczeć. Ksiądz mówi: »Dziecko, uciekaj do dzieci!« (…) Ja uciekłam". Z kolei Marian Piotrowski, ordynator szpitala w Krychnowicach, usłyszał od księdza, że esbecy powiedzieli mu: „Bijemy cię za to, żeś robotników bałamucił, w głowach im przewracałeś. Nie twoja sprawa (…)". I dodawał dalej to, czego dowiedział się od duchownego: „Bili go od jednego do drugiego. Jeden uderzał, ksiądz pchnięty trafiał na drugiego. Tamten mu też dokładał. I tak było około pół godziny. Tak, że ksiądz w końcu upadł na podłogę, prawie stracił przytomność. A oni mu na odchodnym powiedzieli, żeby nikomu nic nie mówił, bo jeszcze przyjadą (…)". Stan księdza, zarówno psychiczny, jak i fizyczny, pogarszał się z dnia na dzień. Ostatnią, jak się okazało, mszę świętą ksiądz Kotlarz odprawił 15 sierpnia. W trakcie nabożeństwa zasłabł. Zdążył jeszcze krzyknąć: „Matko, ratuj!", i stracił przytomność. Następnego dnia trafił do szpitala w Krychnowicach, gdzie jego stan opisano następująco: „(…) zgłosił się w stanie silnego rozstroju nerwowego, napięty psychoruchowo, w gabinecie nie mógł usiedzieć na jednym miejscu (…) drżenia nerwowe na całej twarzy, blady, wyniszczony, słaniał się przy chodzeniu, w wypowiedziach trudności w skoncentrowaniu myśli, niepokój i niepewność przyczyn swego stanu". Ksiądz Kotlarz zmarł 18 sierpnia. Dwa dni później odbył się jego pogrzeb. Dla licznie zgromadzonych parafian i robotników nie ulegało wątpliwości, że do jego śmierci doprowadziła esbecja. Przez kolejne lata działacze opozycji bezskutecznie próbowali wyjaśnić sprawę śmierci księdza Kotlarza. Bezsilne wobec tej śmierci pozostały sądy III RP. Dlaczego, to już inna sprawa. Wszelkie ustalenia prowadzą do konkluzji, że za pobiciami, a co za tym idzie przyczynieniem się do śmierci księdza, stali funkcjonariusze Samodzielnej Grupy „D" Departamentu IV MwSW. W 2009 roku prezydent Lech Kaczyński nadał księdzu Kotlarzowi pośmiertnie Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski. W 2018 roku rozpoczął się jego proces beatyfikacyjny. **GP**

Zawsze emocjonalny i autentyczny w tym, co robił i mówił. Szczególnie na sercu leżało mu nauczanie młodzieży religii.

Wszystkie cytaty pochodzą z książki „Śmierć nieosądzona. Sprawa księdza Romana Kotlarza", Szczepan Kowalik, Arkadiusz Kutkowski, IPN, Lublin – Warszawa 2020.

eprasa.pl a51e4bc623

FELIETON

{ PRZESZŁOŚĆ POWRÓCI IDEĄ }

ABY NIE PONIŻYĆ JARUZELSKIEGO...



Tadeusz **Płużański**

19 sierpnia 1989 roku Wojciech Jaruzelski, już jako prezydent PRL (a od 31 grudnia prezydent RP), powierzył misję tworzenia Rady Ministrów Tadeuszowi Mazowieckiemu, który podobno został premierem pierwszego niekomunistycznego rządu w powojennej Polsce. Podobno, bo co za komuny pisał Mazowiecki? Oto próbka, odnosząca się do legalnego polskiego rządu w Londynie. Owi „rewanżyści i agentura (…) kierują się zazdrością, nie mogąc znieść, że nowa rzeczywistość w Polsce tworzona jest nie przez »fraki, ale kombinezony robotnicze, nie proporczyki kawaleryjskie, ale kielnie murarskie«". Co na to polski Londyn? W przemówieniu noworocznym 1 stycznia 1990 roku Ryszard Kaczorowski, ostatni prezydent RP na uchodźstwie, stwierdził: „Patrzymy na pokojową przebudowę życia politycznego w naszym kraju ze zrozumiałym zniecierpliwieniem, bo chcielibyśmy, aby cel, dla którego pozostaliśmy i pracowaliśmy poza krajem, został osiągnięty jak najszybciej". W połowie lutego 1990 roku do Londynu przyjechał wspomniany Tadeusz Mazowiecki już jako premier. Spotkał się w POSK-u (Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym) z przedstawicielami Polonii. „Prezydent Kaczorowski wraz ze swoim rządem zaproponował spotkanie z delegacją polską (...) z zachowaniem ceremoniału »wejścia prezydenta RP« – co premier Mazowiecki uznał za poniżające wobec prezydenta Jaruzelskiego, swojego rządu i państwa" – czytaliśmy w ujawnionym przez Wojskowe Biuro Historyczne dokumencie MON. Powiedzmy jeszcze o poprzedniku Ryszarda Kaczorowskiego – Kazimierzu Sabbacie. 19 lipca 1989 roku około godz. 19 wyszedł z siedziby prezydenta RP przy 43 Eaton Place SW1, udając się do domu przy 38 Parkside koło Wimbledonu. W drodze do stacji metra Sloane Square o godz. 19.20 zasłabł i upadł, po czym został przewieziony do szpitala Westminster, gdzie stwierdzono zgon. Zawał serca nastąpił po nadejściu z Polski informacji, że Sejm kontraktowy w Warszawie wybrał na prezydenta PRL komunistycznego zbrodniarza Wojciecha Jaruzelskiego. Prezydent Sabbat został pochowany na Cmentarzu Gunnersbury w Londynie. Ryszard Kaczorowski dołączył do grona zmarłych prezydentów RP w 2010 roku, ginąc razem z polską delegacją w drodze na obchody 70. rocznicy ludobójstwa katyńskiego. **GP**

FELIETON

{ PLAGI AKADEMICKIE }

POTRZEBNA DEZINTEGRACJA POZYTYWNA AKADEMII



Józef **Wieczorek**

Jakieś 50 lat temu, funkcjonując w środowisku pozostającym – jak dziś to oceniam – na poziomie prymitywnej integracji, zainteresowałem się książką Kazimierza Dąbrowskiego „Dezintegracja pozytywna", która uspokoiła mnie co do mojego nieprzystosowania. Trudno przecież być zintegrowanym ze środowiskiem, którego reguły opierają się przede wszystkim na egoizmie, konformizmie i eliminowaniu konkurentów. Dążenie do wyższych standardów etycznych i naukowych nieuchronnie prowadziło do konfliktów z otoczeniem, które etos naukowca traktowało raczej jako przeszkodę niż wartość. W ujęciu Dąbrowskiego dezintegracja może być etapem prowadzącym do wyższego poziomu rozwoju. Paradoks polega na tym, że środowisko akademickie, broniąc swoich interesów przed próbami pozytywnej przemiany, samo zaczęło podlegać dezintegracji – tyle że negatywnej. Jej przejawem stała się erozja etosu nauki, zastępowanego przez kulturę oportunizmu i etykę, którą trudno nazwać inaczej niż etyką nikczemnego postępowania. Nie akceptowano uczenia młodych ludzi merytorycznej krytyki ani promowania naukowego nonkonformizmu. Dobro jednostki poświęcano – jak argumentowano – dla dobra ogółu, ceniącego sobie status quo. Przez ostatnie dekady przybyło uczelni i pracowników naukowych, rozbudowano infrastrukturę, a nakłady na naukę są nieporównywalnie większe niż w czasach PRL. Poziom się jednak nie poprawia, a nawet spada. Polska nauka zmierza ku otchłani. Mimo ogromnej liczby psychologów, socjologów stosunkowo rzadko spotyka się pogłębione analizy przyczyn tego stanu. Samo zwiększanie nakładów na system funkcjonujący według tych mechanizmów nie prowadzi do pozytywnych zmian. Chyba potrzebna jest jednak dezintegracja pozytywna środowiska akademickiego – odrzucenie utrwalonych schematów i procedur, które służą przede wszystkim reprodukcji istniejącego układu. Niezbędna jest rzeczywista transformacja prowadząca do integracji wokół autentycznych wartości: rzetelności badań, odwagi intelektualnej i poszukiwania prawdy naukowej. **GP**

UWAGA: Nowa książka autora „Z akademickiej otchłani" do nabycia w sklepie „Gazety Polskiej".

eprasa.pl a51e4bc623

RÓWNA APOSTOŁOM

PIERWSZA CHRZEŚCIJAŃSKA CESARZOWA RZYMU

W niezliczonych kościołach rozrzuconych po całej Europie znaleźć można relikwie Krzyża Świętego. Uczeni doliczyli się aż 1150 prawdziwych lub rzekomych kawałków drewna pochodzących z narzędzia męki Chrystusa. I w każdej z licznych świątyń, szczycących się posiadaniem tak cennej pamiątki, znaleźć można przedstawienie św. Heleny.

Łukasz **Czarnecki**

Gdyby Helenie jako młodej dziewczynie ktoś powiedział, że do historii przejdzie jako matka rzymskiego cesarza i obiekt kultu, prawdopodobnie by go wyśmiała.

O pierwszej chrześcijańskiej cesarzowej wiemy zaskakująco niewiele. Albo… aż za dużo. Zależy, czy chcemy poruszać się w kręgu potwierdzonych faktów, czy błąkać we mgle fikcyjnych biografii, którymi obdarowali ją średniowieczni autorzy, wręcz prześcigający się w wychwalaniu matki Konstantyna Wielkiego. W XII wieku angielscy kronikarze utrzymywali, że przyszła święta była brytyjską księżniczką, córką nieposkromionego wodza Celtów. Legenda dorabiająca Helenie związki z Anglią była tak popularna, że w samym hrabstwie York po dziś dzień stoją 34 poświęcone jej kościoły.

Narodziny Konstantyna

Prawda wyglądała o wiele bardziej prozaicznie: Drepanum w małoazjatyckiej Bitynii, skąd pochodziła Helena, było podmokłą dziurą. Dziewczyna nie miała też powiązań z jakąkolwiek elitą. W chwili rozpoczęcia tej opowieści żyła na samym dnie. Opisujący jej żywot św. Ambroży bez ogródek stwierdzał, że była dziewką służebną w karczmie. I co prawda niektórzy późniejsi biografowie opisywali ją jako cnotliwą dziewicę, ale wrogowie jej syna bardzo chętnie wypominali Konstantynowi, iż za matkę miał kobietę dorabiającą na boku własnym ciałem.

Pewnego dnia nieokreślonego roku w drugiej połowie III wieku do Drepanum zajechał robiący błyskotliwą karierę oficer Konstancjusz. Z braku innych rozrywek skorzystał z usług karczmareczki. Dziewięć miesięcy później w Niszu (dzisiejsza Serbia) przyszedł na świat ich syn – Konstantyn, który gdy został już cesarzem, dokładał ogromnych starań, by przekonać opinię publiczną o swoim pochodzeniu z prawego łoża. Jednak potencjalny ożenek generała z dziewką służebną wydaje się raczej mało prawdopodobny. Nie miał on też skrupułów przed porzuceniem Heleny, gdy w marcu 293 roku został jednym z tetrarchów – czterech współwładców mających równocześnie, w ramach systemu stworzonego przez cesarza Dioklecjana, sprawować rządy nad imperium. Ojciec Konstantyna odesłał swą kochankę, by wziąć ślub z córką cesarza Maksymiana – Teodorą.



www.prenumerata.swsmedia.pl

eprasa.pl a51e4bc623



SKARB

Helena rozpoznała Krzyż Święty dzięki… przybitej do niego wspomnianej w Ewangelii tabliczce tytułującej Jezusa „królem żydowskim”.

FOT. ARCH.

Nowy cesarz

W tym momencie przyszłą świętą ukrywa przed nami zasłona gęstej mgły, przez którą klarowny obraz zaczyna przeświytywać dopiero po upływie 15 lat. Trochę lepiej znamy losy jej syna, który pozostał przy ojcu, a gdy w 306 roku Konstancjusz zmarł w Yorku, żołnierze – nie bacząc na wcześniejsze ustalenia dotyczące sukcesji w ramach tetrarchii – okrzyknęli jego 30-letniego syna nowym cesarzem. Od tego momentu system rządów opracowany przez Dioklecjana zaczął się sypać, aż do ostatecznego pogrzebania pozostałych po śmiałym projekcie resztek, po zwycięstwie Konstantyna w roku 324 nad cesarzem Wschodu Licyniuszem.

W początkowym okresie swych rządów, jeszcze w charakterze jednego z tetrarchów, Konstantyn na kwaterę główną obrał Trewir, gdzie najprawdopodobniej ściągnął matkę. Tak w każdym razie można wywnioskować z licznych legend wiążących Helenę z tym miastem, przypisujących jej m.in. ufundowanie katedry. Mogą one zawierać ziarno prawdy, bo w czasie prac konserwacyjnych poniżej posadzki współczesnego kościoła znaleziono bogato zdobione antyczne freski o ewidentnie świeckiej tematyce, które uznano za część cesarskiego kompleksu pałacowego.

Dostojna augusta

O ile związki przyszłej świętej z Trewirem pozostają dyskusyjne, o tyle z całą pewnością możemy stwierdzić, że po roku 312 i przejęciu przez syna kontroli nad Rzymem zamieszkała w Wiecznym Mieście. Od tej chwili domem była dla niej luksusowa posiadłość w okolicach wzgórza Celius. W obrębie rezydencji wzniesiono świątynię pod wezwaniem Świętych Marcelina i Piotra. Kiedy pożar zniszczył pobliskie łaźnie, matka imperatora z własnej kieszeni pokryła koszt ich naprawy.

W roku 324, pokonawszy Licyniusza i objąwszy nieograniczoną władzę nad imperium, Konstantyn uczcił ten fakt, nadając zarówno posuniętej już w latach rodzicielce, jak i swojej małżonce Fauście dostojny tytuł augusty. Wydarzenie to upamiętniono, wypuszczając serie monet. Portret cesarzowej matki na awersie tych jej dedykowanych

eprasa.pl a51e4bc623

pozostaje jedynym zachowanym do naszych czasów wyobrażeniem bezdyskusyjnie ją przedstawiającym.

Podróż do Ziemi Świętej

W roku 327 dobiegająca osiemdziesiątki Helena, opuściwszy domowe pielesze, wyruszyła w podróż na Wschód. Imperium widziało w przeszłości wiele cesarzowych objeżdżających prowincje, ale to przedsięwzięcie cechowała nowa jakość. Wyprawę odbywała nie jako towarzyszka panującego monarchy, lecz samodzielnie (choć rzecz jasna z olbrzymią świtą). Po drugie, cel wyjazdu stanowił rejon dotychczas peryferyjny z punktu widzenia elity – Palestyna. Niezależnie od swoich pobudek, o które historycy spierają się zaciekle, Konstantyn wspierał chrześcijaństwo. Jeszcze niedawno wyznawcy Chrystusa ginęli męczeńską śmiercią, ale polityczny klimat uległ zmianie i ci, których dotąd uciskano, teraz stanowili podporę reżimu. Pielgrzymka Heleny stanowiła wyznacznik nowej epoki i już w nieodległej przyszłości zainspirować miała tak wielkie rzesze naśladowczyń, że pewien palestyński asceta z irytacją pisał o bogatych damach z wyższych sfer tłumnie zjeżdżających do Ziemi Świętej i zakłócających mu spokój!

Propaganda czy wiara?

Po 1699 latach nie jesteśmy w stanie odkryć dokładnych motywów ekspedycji cesarzowej matki. Cynicy łączyli całe przedsięwzięcie z tajemniczymi śmierciami: pierworodnego wnuka Heleny, nieślubnego syna Konstantyna, Pryskusa, na którego wyrok skazujący ojciec podpisał własnoręcznie, oraz synowej cesarzowej, Fausty, zmarłej podczas kąpieli w łaźni… w wyniku nieszczęśliwego wypadku, jak twierdzili jedni, lub z rozmysłem ugotowanej żywcem na rozkaz męża, bo i taka wersja krążyła. Zwolennicy szkoły Machiavellego utrzymują, że pielgrzymka była wybiegiem propagandowym, mającym podreperować nadszarpnięty dziwnymi wydarzeniami wizerunek rodu panującego. Przeważa jednak opinia, że Heleną kierowała autentyczna pobożność, choć w źródłach dotyczących życia duchowego matki cesarza znajdujemy wiele niejasności. Późniejsi autorzy chętnie przedstawiali ją jako tę, która przyprowadziła syna na łono Kościoła, podczas gdy Euzebiusz, spod którego pióra wyszedł obszerny nekrolog przyszłej świętej, stwierdzał, że pierwsza chrześcijańska cesarzowa Rzymu długo nie należała do osób żyjących po chrześcijańsku i doznała nawrócenia dopiero na skutek perswazji Konstantyna. Opowieści robiące z niej wyznawczynię judaizmu porzucającą dawną wiarę z powodu spektakularnego pokazu cudów dokonanych przez kościelnego hierarchę możemy włożyć między bajki.

Odkrycie krzyża

Tak czy inaczej Helena wytrwale przemierzała Ziemię Świętą, rozdając hojne datki i fundując wiele kościołów w miejscach mających szczególne związki z historią biblijną. Odwiedziła m.in. grotę w Betlejem, gdzie Chrystus przyszedł na świat, i Górę Oliwną, gdzie Jezus świat opuścił, wstępując do nieba. Wedle tradycji nadzorowała też część prowadzonych właśnie prac nad Bazyliką Grobu Pańskiego w Jerozolimie. Pielgrzymka cesarzowej odbiła się szerokim echem, a jej dokonania w Palestynie zyskały sławę. Tyle tylko, że o najważniejszym spośród nich – odkryciu Krzyża Świętego – źródła współczesne cesarzowej, na czele z Euzebiuszem, nie wspominają ani słowem! Pierwsza zachowana wzmianka przypisująca Helenie takie osiągnięcie pojawiła się dopiero w roku 395 w mowie pogrzebowej wygłaszanej na cześć cesarza Teodozjusza przez biskupa Mediolanu Ambrożego. Wiemy też, że kilka lat wcześniej pisał na ten temat Gelazy z Cezarei na kartach swoich zaginionych pism.

Opowieści fantastyczne

W następnym stuleciu zaroiło się już od rozmaitych relacji na temat odnalezienia relikwii, coraz śmielej ocierających się o czystą fantastykę. Gigantyczną popularność zdobyła wersja wydarzeń wplątująca w całą historię palestyńskiego Żyda imieniem Judasz, który wzięty przez Helenę na spytki, pod naciskiem ujawnił miejsce zakopania zarówno krzyża Chrystusowego, jak i dwóch innych, na których zawiśli łotrzy towarzyszący Zbawicielowi w czasie męki. Problem identyfikacji, która ze znalezionych belek dźwigała ciało Jezusa, sprytna „archeolog w purpurze" rozwiązała, dokonując za pomocą artefaktu… wskrzeszenia nieboszczyka. Cudowne wydarzenie jakoby tak wstrząsnęło Judaszem, że wyrzekłszy się błędów judaizmu, przyjął chrzest, a żeby dopełnić obrazu happy endu wedle autora tej dziwnej historii, pobożne odkrycie uczczono… wygnaniem wszystkich Żydów z Judei. W pełni docenić należy pomysłowość tego, kto wykoncypował całą opowiastkę, i odnotować, jak dalece odszedł od pierwotnej opowieści, wedle której Helena rozpoznała Krzyż Święty dzięki… przybitej do niego wspomnianej w Ewangelii tabliczce tytułującej Jezusa „królem żydowskim".

Złodzieje w grobowcu

Pierwsza chrześcijańska cesarzowa Rzymu zmarła wkrótce po powrocie z pielgrzymki. Podobnie jak w przypadku większości wydarzeń z jej długiego życia nie znamy dokładnej daty zgonu. Wiemy tylko, że wiosną 329 roku osierocony Konstantyn zaprzestał bicia monet z wizerunkiem matki. Przez następne wieki postać Heleny, w międzyczasie kanonizowanej, obrosła olbrzymim kultem, a dawna wesolutka karczmareczka weszła do panteonu najważniejszych postaci w dziejach chrześcijaństwa. Świadczy o tym najlepiej przysługujący jej w kościołach prawosławnych tytuł „Równej Apostołom". Aura uwielbienia, jaka otoczyła matkę Konstantyna Wielkiego, nie wyszła niestety na dobre jej doczesnym szczątkom złożonym przez syna w rzymskim mauzoleum. Już w 840 roku kawałek zwłok został wykradziony przez francuskiego benedyktyna, który wywiózł go do swej ojczyzny, a to był dopiero początek – przez następne stulecia grobowiec przyciągał złodziei jak magnes. W XII wieku papież Innocenty II, chcąc ratować to, co jeszcze ze świętej zostało (m.in. głowę), nakazał przenieść relikwie do Bazyliki Matki Bożej Ołtarza Niebiańskiego, gdzie schowane w porfirowej urnie, mogą być po dziś dzień oglądane przez pielgrzymów. **GP**

eprasa.pl a51e4bc623

{ OKIEM KAPELANA / ŚWIĘTY OJCIEC MAKSYMILIAN KOLBE }



ks. Jarosław **Wąsowicz** SDB

MĘCZENNIK KL Auschwitz

Wśród wielu okrągłych rocznic ważnych wydarzeń, jakie przypadają w bieżącym roku, odnajdujemy również 85. rocznicę męczeńskiej śmierci ojca Maksymiliana Kolbego, który 14 sierpnia 1941 roku został zamordowany przez Niemców w KL Auschwitz. Symboliczna to data. Odszedł do nieba na dzień przed świętem Matki Bożej, której przez całe życie wiernie służył.

Święty ojciec Maksymilian Maria Kolbe należy dzisiaj do najbardziej rozpoznawalnych Polaków na świecie. Na taki stan rzeczy złożyło się wiele czynników, wśród tych najważniejszych ewangelizacyjna aktywność franciszkanina w dwudziestoleciu międzywojennym, zwłaszcza zaś właśnie jego męczeńska śmierć w niemieckim obozie zagłady. Ojciec Kolbe został aresztowany przez gestapo 17 lutego 1941 roku i osadzony w więzieniu na Pawiaku w Warszawie. Następnie 28 maja przywieziono go do KL Auschwitz. Podczas apelu więźniów 29 lipca 1941 roku dobrowolnie zgłosił się na śmierć głodową w zamian za nieznanego mu współwięźnia Franciszka Gajowniczka, który znalazł się w grupie dziesięciu osób skazanych przez władze obozu za ucieczkę więźnia. Ojciec Maksymilian Kolbe zmarł 14 sierpnia 1941 roku w bunkrze głodowym w podziemiach bloku 11, dobity zastrzykiem fenolu.

Ofiarowanie własnego życia przez ojca Maksymiliana za ocalenie współwięźnia odbiło się szerokim echem w obozie. Po zakończeniu II wojny światowej, za sprawą sławy męczeństwa franciszkanina, w Polsce i za granicą rozwinął się jego kult prywatny. W 1948 roku rozpoczął się kanoniczny proces beatyfikacyjny, w którego efekcie papież Paweł VI wyniósł na ołtarze ojca Kolbego jako wyznawcę wiary. Uroczystość beatyfikacyjna miała miejsce 17 października 1971 roku w rzymskiej Bazylice św. Piotra. Z kolei papież Jan Paweł II 10 października 1982 roku zaliczył ojca Maksymiliana do grona świętych męczenników Kościoła. Kult ojca Maksymiliana rozpowszechnił się wówczas z jeszcze większą dynamiką po całym świecie.

Kanonizacja ojca Maksymiliana Kolbego stała się ważnym wydarzeniem w dziejach Kościoła. Został pierwszym wyniesionym na ołtarze męczennikiem II wojny światowej. Przyczyniła się ona do poszerzenia koncepcji męczeństwa w praktyce postępowania prawnokanonicznego, co z kolei miało wpływ na przebieg innych procesów beatyfikacyjnych i kanonizacyjnych męczenników XX wieku. Poprzez ogłoszenie świętym męczennika KL Auschwitz i dyskusje wokół procedowania jego kanonizacji system totalitarny, jakim był niemiecki narodowy socjalizm, uznany został za ideologię, która w swoich założeniach zwalczała wiarę chrześcijańską i stała się powodem prześladowań chrześcijan. W kolejnych latach konsekwentnie za podobną ideologię uznano także system komunistyczny.

Kanonizacja św. Maksymiliana Marii Kolbego należała też do najważniejszych wydarzeń w polskim Kościele w ostatniej dekadzie PRL. Doszło do niej w trudnych realiach stanu wojennego, kiedy władza komunistyczna podjęła próbę likwidacji wolnościowych aspiracji Polaków zainicjowanych wizytą Jana Pawła II w ojczyźnie w czerwcu 1979 roku i powstaniem, w wyniku społecznych protestów z lipca i sierpnia 1980 roku, pierwszych w Europie Środkowo-Wschodniej niezależnych od władz związków reprezentujących świat pracy, które przyjęły nazwę Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność". Wprowadzony 13 grudnia 1981 roku stan wojenny doprowadził do delegalizacji Solidarności, Niezależnego Zrzeszenia Studentów i innych organizacji społecznych. W ośrodkach internowania i więzieniach znalazło się wielu związkowców i działaczy opozycyjnych. Wobec całego społeczeństwa, w tym Kościoła rzymskokatolickiego, zastosowano liczne represje. Osoba ojca Maksymiliana Kolbego spontanicznie stała się jednym z patronów Solidarności w czasie stanu wojennego. Znalazło to swój wyraz w wielu aspektach podziemnej działalności społeczeństwa. Do jego osoby odwoływał się także ks. Jerzy Popiełuszko, który przez całe życie żywił kult dla męczennika KL Auschwitz.

> Kanonizacja św. Maksymiliana Marii Kolbego należała do najważniejszych wydarzeń w polskim Kościele w ostatniej dekadzie PRL.

Ojciec Kolbe należy do najważniejszych naszych patronów, warto więc w tych trudnych czasach modlić się za ojczyznę za wstawiennictwem tego męczennika. GP

eprasa.pl a51e4bc623

MELOMANA ZACISZE



★★★★★★

PRZY ŚWIETLE KSIĘŻYCA

Bruce Liu, LUNARIS
Deutsche Grammophon

Tajemnicza, zanurzona w snach i ciszy noc okazała się dla Bruce'a Liu znakomitą inspiracją do stworzenia koncepcyjnego albumu „Lunaris". Doskonale znany warszawskiej publiczności pianista, zwycięzca XVIII Konkursu Chopinowskiego, rozpoczyna swoją nową muzyczną podróż właśnie od ulotnej melodii nokturnu op. 8 polskiego kompozytora. Nie stroni przy tym od wyborów oczywistych, jak słynna „Sonata księżycowa" Beethovena, ale niejednokrotnie potrafi też zaskoczyć słuchacza. „Lunaris" prowadzi nas od katalońskich snów Federica Mompou, przez melancholijne wizje Johna Cage'a, aż po współczesny utwór Agnes Obel, w którym noc odsłania nowe obietnice.



★★★★★★

WAKACJE Z DRESZCZYKIEM

Sabatini, KONIEC ŚWIATA
Sabatini

Miejmy nadzieję, że apokaliptyczny tytuł premierowego krążka polskiego zespołu Sabatini nie okaże się proroczy. Ich pełnych uroku utworów zamierzam bowiem słuchać przynajmniej do końca wakacji. W akustycznej oprawie pieśni ukryty jest duch starych dźwięków, a już same tytuły „Las", „Lato, woda, piasek", a nawet „Nasielsk" przynoszą zapowiedź spełnionej kanikuły. Nie będziemy rozczarowani, nawet gdy ze słodkiego lenistwa raz po raz wyrywać nas będzie niepokój tajemniczych dźwięków, wywołujących niespodziewany dreszczyk na spalonych od słońca plecach. Proszę mi wierzyć, nie zdąży nawet nadlecieć piosenkowe „Ptaszysko", gdy już kilkakrotnie, dla świętego spokoju, rozejrzymy się wokół siebie.

Przygotował
Marek **Kalinowski**

KSIĄŻKA { LITERATURA OBYCZAJOWA }

Łukasz **Szwed** poleca

★★★★★★

Lepiej z nią nie zadzierać!

„Córka Polka"
Marcin Wolski
Bellona 2026, Warszawa

„Córka Polka" to sensacyjna powieść szpiegowska Marcina Wolskiego, która łączy historyczny rozmach z dynamiczną akcją i dawką tajemnicy. Bohaterką powieści jest Maria Andriejewna Pruska, córka wielkiej, niespełnionej miłości postaci z wcześniejszej książki Wolskiego „Dzieje jednego rewolweru". Maria przychodzi na świat w 1921 roku gdzieś na Białorusi, nieświadoma jeszcze, jak burzliwe okaże się jej życie. Po 18 latach odnajduje ją ojciec. Dziewczyna trafia do Włoch, gdzie pod opieką odnalezionej rodziny zdobywa wykształcenie. Oprócz nauki języków, historii sztuki i dobrych manier przechodzi także szkolenie wywiadowcze. W międzyczasie wybucha II wojna światowa, co dla patriotycznie nastawionej Marii i jej ojca jest prawdziwym szokiem. To właśnie wtedy dziewczyna wchodzi do gry jako szpieg, a pierwszą prawdziwą misję zleca jej sam papież. Narracja powieści prowadzi przez ogarniętą wojną Europę widzianą oczami głównej bohaterki. Wykorzystując urodę, inteligencję i wrodzony wdzięk, młoda agentka zmienia tożsamości jak rękawiczki. Autor z dużą pieczołowitością splata fakty historyczne z przygodami protagonistki. Można powiedzieć, że powieść jest swego rodzaju przewodnikiem po najważniejszych wydarzeniach tamtego okresu. Nie sposób też pominąć mężczyzn, którzy odgrywają w życiu Marii istotną rolę. W końcu krew nie woda. Jednym z najciekawszych elementów powieści jest perspektywa, z jakiej autor pokazuje II wojnę światową. Maria przemierza niemal całą Europę, dzięki czemu czytelnik obserwuje wydarzenia z perspektywy Rzymu, Berlina, Moskwy czy Teheranu. Postacie są sprawnie naszkicowane, a osoba głównej bohaterki budzi autentyczną sympatię. Marcin Wolski jest ewidentnie w świetnej formie pisarskiej. „Córka Polka" to jedna z tych powieści, które czyta się dla przyjemności, ale przy okazji trudno oprzeć się wrażeniu, że autor przemycił w niej znacznie więcej niż tylko sensacyjną intrygę. To opowieść o odwadze, lojalności i cenie, jaką czasem trzeba zapłacić za służbę ojczyźnie. To jedna z tych książek, które trudno odłożyć przed przeczytaniem ostatniej strony. **GP**



Zamów w naszym sklepie pod adresem sklep.gazetapolska.pl | infolinia: 22 232 37 70

MIX **Kulturalny**



posłuchaj

BANDERASA
„Gdy jesteś tak blisko śmierci, niezwykle wyraźnie uświadamiasz sobie, jak głupio tracisz czas na rzeczy, których nie powinno być w twoim życiu" – powiedział Antonio Banderas o zawale serca, który przeżył w przeszłości.



poznaj wagę

POGODY
11 września do kin trafi film „Niebo nad Normandią" A. Marasa. Przed lądowaniem w Normandii losy świata mają zależeć od... pogody. Prognoza, którą przedstawi meteorolog, może przesądzić o sukcesie lub klęsce.

GAZETA POLSKA

★★★★★½

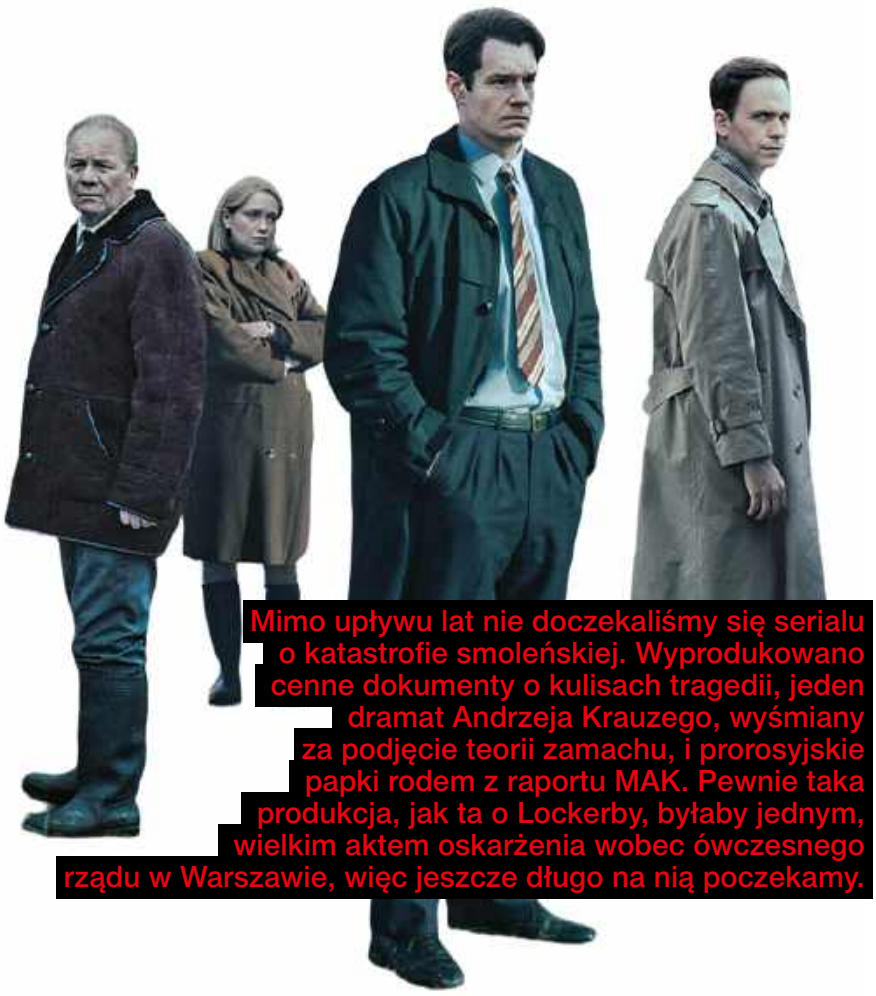
Po nitce do kłębka

„Zamach nad Lockerby”

DRAMAT, scen. Jonathan Lee, reż. Michael Keillor
WIELKA BRYTANIA 2025

Grzegorz **Wszołek**

Jeden z największych zamachów terrorystycznych XX wieku doczekał się serialowej opowieści z prawdziwego zdarzenia. „Zamach nad Lockerby” przyciąga przed ekran od pierwszego odcinka. Dramat skupia się na wyjaśnieniu przebiegu tragedii z grudnia 1988 roku, w której zginęło 259 osób na pokładzie samolotu i 11 po upadku fragmentów maszyny na szkockie miasteczko. Ukazuje mozolne rekonstruowanie wydarzeń, dogłębne analizy niemal każdej części wraku, współpracę międzynarodową – w której nie brakowało animozji – między śledczymi i ekspertami lotniczymi z USA, Szkocji, Malty i Szwajcarii. Co ważne, produkcja BBC i Netfliksa skupia się nie tylko na wysiłkach w wyjaśnieniu zamachu i poszukiwaniach terrorystów, którymi okazują się Libijczycy, ale też na bólu i stracie ofiar rodzin. Z jednej strony twórcy zabierają nas do cywilizowanego świata zachodniego, w którym nie wyklucza się z góry żadnej teorii po upadku samolotu, gdzie dominują informacje technologiczne, a z drugiej pochylają się z empatią nad dramatem bliskich tych, którzy zginęli w Lockerby. Czy czegoś nam to nie powinno przypominać? Jako żywo podczas seansu możemy sobie przypomnieć, jaka jest różnica między profesjonalnym badaniem katastrofy, a tym, co zaserwowali nam Rosjanie i polskie komisje rządowe po tragedii smoleńskiej. To wręcz niebo a ziemia w podejściu do badania wypadków lotniczych. **GP**



FOT. MAT. PRAS., WIKIPEDIA

Mimo upływu lat nie doczekaliśmy się serialu o katastrofie smoleńskiej. Wyprodukowano cenne dokumenty o kulisach tragedii, jeden dramat Andrzeja Krauzego, wyśmiany za podjęcie teorii zamachu, i prorosyjskie papki rodem z raportu MAK. Pewnie taka produkcja, jak ta o Lockerby, byłaby jednym, wielkim aktem oskarżenia wobec ówczesnego rządu w Warszawie, więc jeszcze długo na nią poczekamy.



wypatruj

WANDY

Mroźna opowieść o wspinaczce rozpalającej serca. W lutym do kin trafi „Wanda” w reż. A. Panka. Film przybliży wyprawę Wandy Rutkiewicz na dziewiczy szczyt w Karakorum. W rolę himalaistki wcieli się Katarzyna Wajda.



pamiętaj o

ALEPPO

To kino, które ratuje świat. 4 września w kinach film „Ktoś całkiem obcy”. Historia syryjskiej lekarki, która postanawia uciec z owładniętego wojną Aleppo, to tylko początek poruszającej opowieści o człowieczeństwie.



odkryj

SŁOWA MARYI

„Medjugorje i przyszłość świata” L. Fanzaga odzwierciedla poszukiwania tego, co objawiła nam Matka Boża, ukrytych znaczeń Jej słów i odniesień do innych objawień maryjnych. Książka dostępna na sklep.gazetapolska.pl.

eprasa.pl a51e4bc623

HERBERT WRÓCIŁ DO LWOWA



TWÓRCZOŚĆ „KSIĘCIA POETÓW" CIĄGLE ŻYWA

Rok temu „książę poetów" zabrał widzów w podróż do Grecji, a w tegorocznej odsłonie spacerowaliśmy po Lwowie, mieście jego dzieciństwa i młodości. W Regionalnym Centrum Kultury w Kołobrzegu po raz 27. odbył się Ogólnopolski Przegląd Twórczości Zbigniewa Herberta „Herbertiada".

Jarosław **Wróblewski**

Lwów, tak ważne i twórcze miasto II Rzeczypospolitej, leży obecnie na Ukrainie. Z publikacji wydanej na tegorocznej „Herbertiadzie", tekstu Józefa Marii Ruszara „Wieczny Lwów", dowiadujemy się, że miasto jednak „wiedzie w wierszach i esejach Herberta życie ukryte, podskórne i nie jest to kwestia cenzury, którą przecież można oszukać". Miasto jest w twórczości poety „symbolem cywilizacji, jak Rzym" wobec barbarzyńców, a także „symbolem wolności, tolerancji, różnorodności etnicznej i religijnej".

Miasto, do którego nie wrócił

Bez wątpienia Zbigniew Herbert był zakochany we Lwowie, tam się urodził, tam dojrzewał i kształcił, miał kolegów i przyjaciół. Podczas II wojny światowej, kiedy miasto zajęli Rosjanie, musiał uciekać. Ojciec poety, gorliwy patriota, należał do Orląt Lwowskich, broniąc miasta przed Ukraińcami w 1918 roku. Odważnie broniono Lwowa również przed bolszewikami w 1920 roku, ale w 1944 roku miasto zostało zajęte przez Rosjan. Wówczas 20-letni Zbyszek – jak większość zagrożonych wywózką na Sybir polskich rodzin – musiał z bliskimi uciekać i nigdy już tam nie powrócił. Tułał się po świecie i pisał:

W mieście kresowym do którego nie wrócę
jest taki skrzydlaty kamień lekki
i ogromny
pioruny biją w ten kamień skrzydlaty
zamykam oczy aby go odpomnieć.

Inteligencki Lwów wielu kultur

Aktor Wojciech Wysocki podczas spektaklu „Spacer z Herbertem po Lwowie. Kamień na którym mnie urodzono" mówił, że „przyszły poeta wychowywał się w inteligenckiej i patriotycznej rodzinie, w mieście wielu kultur i narodów, jakim był od wieków Lwów, nie tylko w okresie 20-lecia międzywojennego. W mieście żarliwej religijności, wielu wspa-

eprasa.pl a51e4bc623



KLIMAT
W Kołobrzegu udało się „wskrzesić" klimat Lwowa, barwnego miasta z jego refleksją, swadą i humorem.

niałych świątyń, kilku obrządków. A także wielkich osiągnięć naukowych w różnych dziedzinach. I ogromnego szacunku do szeroko rozumianej wiedzy i fachowości. Mieście, gdzie uniwersytet odgrywał doniosłą rolę, bo pracowali tam wybitni uczeni. No i rozwijał się w grodzie o znakomitej, różnorodnej architekturze, gdzie istniały muzea o bogatych zbiorach, wspaniałe teatry, filharmonia, świetnie prosperujące wydawnictwa, wiele antykwariatów, biblioteki ze sławnym Ossolineum na czele. Mieście o wyjątkowo barwnej i żywej kulturze".

Zbigniew Herbert akcentował, że wychowywał się w wielokulturowym mieście: „Lwów wywarł szalony wpływ na mnie. Teraz dopiero to doceniam. Przede wszystkim jako miasto wielonarodowościowe" – pisał poeta, wspominając, że „oczywiście dochodziło do różnych konfliktów i tarć w mieście, gdzie nawet nie cała połowa

FOT. MAT. PRAS.

Na tegorocznej „Herbertiadzie" udało nam się stworzyć taką lwowską, pogodną i wesołą atmosferę, w której jednak nie zabrakło poetyckiej tęsknoty za tym miastem w wierszach Herberta – przyznaje pomysłodawca i autor scenariusza Jacek Pechman.

to byli Polacy, reszta to Austriacy, Żydzi, Ukraińcy, Rosjanie, Bułgarzy – specjaliści od pomidorów, Ormianie – od stuleci zajmujący się handlem, Włosi, Grecy… Miasto to nie zbiór budynków, pomników, placów i mostów – o mieście stanowi atmosfera międzyludzka… I wydaje mi się, że w tym moim mieście była dobra atmosfera międzyludzka" – wspominał po latach.

Poczuć na nowo lwowskiego ducha

Klimat tamtego barwnego miasta z jego refleksją, swadą i humorem udało się „wskrzesić" w Kołobrzegu. W jaki sposób? – Postanowiliśmy miłośników poezji „księcia poetów" zabrać na unikalny spacer po przedwojennym polskim Lwowie z jego wierszami i piosenkami, w których poczuliśmy na nowo lwowskiego ducha. Jak wspominała Halina Herbert-Żebrowska, siostra poety, „we Lwowie lat 30. atmosfera była pogodna i wesoła, a życie kulturalne naszego miasta bogate i urozmaicone. Wystawy, koncerty, liczne kina i wspaniały teatr stwarzały możliwość godnych rozrywek również dla dzieci i młodzieży. Korzystaliśmy z tego z zapałem". Myślę, że na tegorocznej „Herbertiadzie" udało nam się stworzyć taką lwowską, pogodną i wesołą atmosferę, w której jednak nie zabrakło poetyckiej tęsknoty za tym miastem w wierszach Herberta – przyznaje pomysłodawca i autor scenariusza Jacek Pechman z Katolickiej Inicjatywy Kulturalnej, organizatora „Herbertiady".

Garść ziemi

W tym unikalnym spacerze-spektaklu, w którym wzięli udział aktorzy: Wojciech Wysocki i Marcin Januszkiewicz, oraz aktorki: Marta Tabęcka i Martyna Burchała, pięknie zagrali też muzycy: Hadrian Tabęcki (kompozytor), Mariusz Jeka, Piotr Malicki i Grzegorz Bożewicz.

Na scenie wybrzmiały wiersze przejmująco recytowane przez Wysockiego – jak m.in. „Moje miasto", „Dom", „Wysoki zamek", „Pan od przyrody" czy „Trzy wiersze z pamięci", w którym poeta pisał:

kobiety z naszej ulicy były
zwykłe i dobre nosiły
cierpliwie z placów
jarzyn pożywne bukiety
dzieci z naszej ulicy
utrapienie kotów
gołębie.

Nie zabrakło lwowskiego klimatu także w piosenkach. Tanecznie i barwnie zaśpiewali „Tylko we Lwowie" Marcin Januszkiewicz z Martą Tabęcką i Martyną Burchałą, akcentując, że: „Możliwe, że dużo ładniejszych jest miast/ Lecz Lwów to jest jeden na świecie!/ I z niego wyjechać, ta gdzież ja bym mógł!/ Ta mamciu, ta skarz mnie Bóg". Na scenie zaśpiewano również: „My dwa obaj cwaj", „Husia, siusia", „Moje serce zostało we Lwowie", „Dalij bracia" czy „Ta joj, ta Lwów".

Cały spektakl był dla widzów sentymentalnym powrotem do zapomnianego polskiego Lwowa. Widzowie prowadzeni uliczkami przez „księcia poetów" i artystów uśmiechali się, ale i ronili niejedną łzę za tym, czego już nie ma, wspomnieniem ojca czy matki. Lwów znów trafił do serc. Beata Żebrowska-Lechnio, siostrzenica Zbigniewa Herberta, powiedziała do publiczności, że jej wuj wyznał przed śmiercią, że chciałby zostać pochowany we Lwowie. Spoczął na Starych Powązkach w Warszawie, jednak rzucono mu podczas pogrzebu na trumnę garść ziemi ze Lwowa. **GP**

eprasa.pl a51e4bc623

Według mitów starożytnych Majów mieszanina placka kukurydzianego oraz krwi węża i tapira posłużyła bogom do ulepienia człowieka. Nic więc dziwnego, że zwierzę to wśród ludów Ameryki Środkowej było otaczane czcią, a jego mięso spożywano tylko w celach rytualnych. Widocznie od zawsze człowiek myślał, że coś jest w tej istocie. I miał rację.

Trudna przyszłość leśnego ogrodnika

WOKÓŁ TAPIRÓW

CIEKAWOSTKI O TAPIRACH

Dla Polaków zwierzęta te są egzotyczne. Przez lata były w cieniu słoni, tygrysów i lwów. Teraz jednak mówi się o nich częściej.



CZTERY LUB PIĘĆ GATUNKÓW

Oto cztery uznane gatunki: tapir nizinny (południowoamerykański), tapir Bairda (środkowoamerykański), tapir górski (andyjski) i tapir czaprakowy (malajski). Czasem wyróżnia się też piąty – tapir kabomani. Został odkryty w 2013 roku.



MINITRĄBA

Cechą charakterystyczną tapirów jest krótka i giętka „trąbka". To nic innego jak przedłużenie nosa i górnej wargi, które służy do chwytania liści, owoców i gałązek. W tym sensie działa jak minitrąba słonia.

eprasa.pl a51e4bc623





Jacek Liziniewicz

FOT. ADOBE STOCK, PIXABAY, WIKIPEDIA

POLUB NAS /GazetaPolskaPL

Tapir malajski to jedna z największych atrakcji ogrodu zoologicznego w Płocku. W ostatnich latach wielką sławę zdobywały Keenam i Krissy, a więc jedyna para tych zwierząt, którą można oglądać w Polsce. Teraz jednak muszą dzielić się sławą. Wszystko dlatego, że para po skojarzeniu w 2023 roku doczekała się wreszcie potomka. Dziś po wybiegu chodzi nadzwyczaj słodkie stworzenie. Mały tapir. To wielka sensacja. „Sytuacja tapirów malajskich w ogrodach zoologicznych także jest niezwykle delikatna. W skali świata w ciągu ostatnich 12 miesięcy na świat przyszło tylko siedmioro młodych. W Europie, gdzie populacja dorosłych tapirów liczy 46 osobników, w ostatnim roku zarejestrowano zaledwie trzy rozmnożenia. Narodzone w naszym zoo młode jest więc czwartym w Europie!” – czytamy na stronach płockiego zoo.

Jak dzik

Młody znacznie się różni od dorosłych osobników. W zasadzie można by przyjąć, że umaszczeniem trochę przypomina młodego dzika. Różni go dodatkowo to, że jest znacznie większy. Ma ciemny kolor sierści, ale do małego dzika upodabniają go układające się w paski plamki. Same tapiry malajskie można zaliczyć do zwierząt dużych. Długość ich ciała wynosi około 250 cm, wysokość w kłębie – 90–120 cm, a masa ciała to 250–350 kg. Samica jest większa od samca. Nos i górna warga są zrośnięte i wydłużone, tworząc krótką, chwytną trąbę. Biało-czarne umaszczenie budzi jakiś rodzaj sympatii. Podobnie jak u pandy wielkiej.

Tapir malajski, czyli ten największy, ma liczebność mniejszą od żubra, a naukowcy szacują ją jedynie na 2,5 tys. osobników.

Ssaki wodne

Nie wiem, czy pamiętają Państwo scenę z pierwszej części bajki „Epoka lodowcowa”, gdy mamut Maniek wdaje się w pyskówkę z Moeritheriidae. „Jakbym miał taką małą trąbę, koleś, nie wydzierałbym się na większych” – powiedział głosem Wojciecha Malajkata. Rzeczywiście Moeritheriidae żyły w czasie epoki lodowcowej i były trochę podobne do tapira. A w zasadzie można powiedzieć, że były tak podobne do tapira, jak tygrys szablozębny do dzisiejszego tygrysa. Miał dużo ostrzejsze i większe kły, co czyniło go nieco groźniejszym. To jednak nie jest w tej historii najważniejsze. Okazuje się, że tapiry chodziły po Ziemi już długo przed epoką lodowcową. Dzisiaj często nazywa się je żywymi skamielinami, bo pojawiły się na świecie około 35–55 mln lat temu, a więc długo przed człowiekiem. Mimo że dziś wyglądem przypominają nieco świnię lub



NIEPARZYSTOKOPYTNE

Tapiry mają cztery palce na przednich stopach i trzy na tylnych – to klasyczna cecha nieparzystokopytnych. Taksonomicznie tapirom bliżej więc do koniowatych i nosorożcowatych niż do słoni.



GRUBY

Nazwa „tapir” pochodzi z języka Indian i oznacza po prostu przymiotnik „gruby”. Rzeczywiście tapiry robią wrażenie potężnych. Ale nazwa ma dotyczyć grubej skóry, którą charakteryzują się te zwierzęta.



SZYBKIE

Jak w wielu przypadkach dzikiej przyrody, tak i tu wygląd może być łudzący. Mimo że tapiry robią wrażenie ociężałych, to potrafią rozpędzić się do 45 km na godzinę. To szybciej niż na krótkim dystansie biega Usain Bolt.

eprasa.pl a51e4bc623



STARSZE OD NAS

Dzisiaj często nazywa się je żywymi skamielinami, bo pojawiły się na świecie około 35–55 mln lat temu, a więc długo przed człowiekiem.

słonia, to pod względem genetycznym bliżej im do koni i nieparzystokopytnych. Pisząc o tapirach, mamy na myśli wszystkie cztery gatunki, które różnią się wielkością i umaszczeniem. Mają one wspólne cechy fizjonomiczne, w tym ten charakterystyczny nos. Niestety podobne są ich przyzwyczajenia. Ich natura sprawia, że dzisiaj coraz częściej mówi się o możliwym wyginięciu tego gatunku. Co ciekawe, tapir malajski, czyli ten największy, ma liczebność mniejszą od żubra, a naukowcy szacują ją jedynie na 2,5 tys. osobników. Tym bardziej wycieczka do płockiego zoo (i łódzkiego, gdzie również jest jeden osobnik), może być atrakcyjna. W środowisku odbudowa populacji nie będzie rzeczą prostą. Wszystko przez to, że ciąża u tych zwierząt trwa ekstremalnie długo, bo do 14 miesięcy. Jest to jedna z najdłuższych ciąż w świecie ssaków. Rodzi się prawie zawsze tylko jedno młode. Dodatkowo tapiry to typy samotników. Nie jest to więc zwierzę, które łatwo rozmnożyć. Szkodzi mu również utrata siedlisk do życia. Często są one fragmentowane, a zwierzęta te nie mają przestrzeni. Inaczej mówiąc – tracą własne królestwa. A są wymagające. Potrzebują terenów bagiennych, wody i błota. Sprzyja im też



REKORDOWE WYMIARY

Największym żyjącym tapirem jest gatunek malajski. Długość jego ciała to około 250 cm, wysokość w kłębie – 90–120 cm, a masa ciała to 250–350 kg. Samica jest większa od samca.



SŁABY WZROK

Tapiry mają słaby wzrok, ale doskonałe węch i słuch. Ich trąbka jest czuła na zapachy. Sprawne oczy nie są im potrzebne, bo są zwierzętami nocnymi. W naturalnych warunkach nie mają dużo wrogów.



OGRODNIK LASU

W jednym z badań w odchodach tapirów znaleziono nasiona 120 gatunków roślin. Często zwierzę to jest istotnym wektorem przenoszenia i siania roślin. Dlatego nazywa się go czasem ogrodnikiem lasu.

eprasa.pl a51e4bc623



bujna roślinność. W niej tworzą leśne drogi, po których chodzą na żerowisko i nad ulubioną wodę. Są doskonałymi pływakami i nurkami – potrafią przebywać pod wodą nawet kilkadziesiąt sekund i często uciekają przed drapieżnikami właśnie do rzeki lub jeziora. Mają też jedno niesamowite przystosowanie do środowiska wodnego. Samce tapirów są… jakby to powiedzieć? Hojnie obdarzone. No są tak hojnie obdarzone, że ktoś nieobyty myśli, że nagle zwierzęciu wyrasta piąta noga. Jest to na tyle spektakularne, że jeden z moich przyjaciół opowiada o tym, co zobaczył w zoo, nawet trzydzieści parę lat po fakcie. W każdym razie długość ma w tym wypadku znaczenie, bo tapiry lubią figlować w wodzie.

Uciekać przed metą

W dzisiejszych czasach zwierzęta te nie mają lekko. Dlatego wpisano je na listę zagrożonych. Ich utrata przyniosłaby duże straty ekosystemom. Są bowiem nazywane ogrodnikami lasów. Wszystko przez to, że na dużą skalę rozsiewają materiał siewny. Ponoć w diecie tapiry mają 450 owoców i roślin. To sprawia, że wraz z odchodami przenoszą też nasiona i to na duże odległości. Zwierzaki te potrafią zjeść nawet 40 kg pożywienia dziennie. Są więc pożyteczne. Może to dostrzegli ludzie przed setkami lat, otaczając czcią tapiry. Dość powiedzieć, że wieki temu zabraniano polowania i zjadania tych zwierząt. Uważano, że przynosi to coś w rodzaju pecha. Absolutnym wyjątkiem było zabijanie w celu przygotowania rytuału religijnego. Co ciekawe, nie tylko stare systemy religijne zawierają tę informację. Zakaz spożywania mięsa tapirów obowiązuje również muzułmanów.

Trudno powiedzieć, czy ludzkość zdoła zachować te zwierzęta. Byłoby w jakimś sensie symptomatyczne, że tapiry przeżyły 55 mln lat, ale padły w erze człowieka. **GP**



ZAATAKOWANY PRZEZ TAPIRA

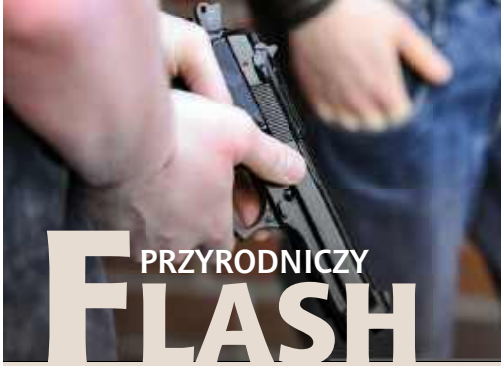
W kwietniu 2006 roku Carlos Manuel Rodríguez Echandi, ówczesny minister środowiska i energii Kostaryki, został zaatakowany przez tapira. Chciał pomóc rannemu małemu, ale zaatakowała go jego matka.



ŚWIĘTE ZWIERZĘTA

Wiele ludów tubylczych nadaje tapirom cechy świętych zwierząt. Spożywanie ich mięsa jest dozwolone jedynie w rytuałach magicznych. Uważano również, że tapir posłużył bogom do stworzenia człowieka.

FOT. ADOBE STOCK, PIXABAY, WIKIPEDIA



PRZYRODNICZY FLASH

BROŃ W ZALEŻNOŚCI OD POGLĄDÓW

Sprawa dotyczyła trzech osób związanych z krajowym oddziałem AfD w Saksonii-Anhalcie. Władze cofnęły im uprawnienia do posiadania broni, a sąd administracyjny w Magdeburgu oddalił ich skargi. 7 sierpnia 2026 roku OVG Saksonii-Anhaltu odrzucił wnioski o dopuszczenie apelacji. Sprawa odbiła się szerokim echem również w Polsce. Napisał o niej branżowy portal myśliwski Wildman.pl. Lewica już przekonuje, że analogicznie powinno być w Polsce.

WALCZĄ Z PROBLEMEM, KTÓRY WYWOŁALI

Rząd przyjął przygotowany w Ministerstwie Klimatu i Środowiska projekt ustawy o pomocy poszkodowanym w związku z realizacją programu Czyste Powietrze. Ustawa wprowadza możliwość zawieszenia dochodzenia nierozliczonych zaliczek lub refundacji od tych beneficjentów, którzy zostali poszkodowani przez nieuczciwych wykonawców. „Ustawa przewiduje, że wojewódzkie fundusze ochrony środowiska i gospodarki wodnej będą mogły wstrzymać dochodzenie należności za nierozliczone dotacje. Stanie się to możliwe, gdy osoba poszkodowana lub jej rodzina złoży zawiadomienie do prokuratury. Po wszczęciu postępowania karnego Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, na wniosek beneficjenta, będzie mógł zawiesić spłatę należności” – tłumaczyła minister klimatu i środowiska Paulina Hennig-Kloska.

eprasa.pl a51e4bc623

NIE DLA POWROTU ROSYJSKICH SPORTOWCÓW!

Na początku lipca Międzynarodowy Komitet Olimpijski tymczasowo odwiesił Rosyjski Komitet Olimpijski. Ta decyzja otwiera rosyjskim sportowcom i reprezentacjom powrót do rywalizacji sportowej, w tym do udziału w kwalifikacjach do igrzysk olimpijskich w Los Angeles. Odwieszenie już zapowiedziały federacje piłki siatkowej, tenisa stołowego, piłki nożnej, pływania i sportów walki. MKOl nie wyraził jeszcze zgody, żeby rosyjscy sportowcy i reprezentacje rywalizowali pod swoją flagą i z hymnem, ale obserwując politykę jego ustępstw, można przypuszczać, że wkrótce i to się stanie.



FOT. PAMIL SITDIKOV/REUTERS/FORUM

HANIEBNA DECYZJA MKOL

W ostatnich latach rosyjski sport przynajmniej dwukrotnie przeżywał potężne trzęsienie ziemi. Najpierw afera dopingowa, potem zawieszenie spowodowane wojną z Ukrainą. I choć zdarzały się w przestrzeni publicznej głosy, że sportowcy nie powinni być karani za działania polityków, należały one do mniejszości. Kraj, który wywołuje krwawą wojnę, musi się liczyć z konsekwencjami.

Afera dopingowa i wojna

W grudniu 2020 roku Sportowy Sąd Arbitrażowy (CAS) podjął decyzję zawieszenia na dwa lata rosyjskich sportowców. Była ona wynikiem głośnej afery dopingowej (2016–2020) w rosyjskim sporcie. W efekcie Sborna została wykluczona ze wszystkich najważniejszych rozgrywek międzynarodowych. Wówczas sportowcy z Rosji mogli startować tylko pod neutralną flagą. Wykluczenie obejmowało zarówno igrzyska olimpijskie, jak i mistrzostwa świata we wszystkich dyscyplinach. Sankcje nie dotyczyły rozgrywek kontynentalnych, więc reprezentanci tego kraju nadal mogli brać udział na przykład w mistrzostwach Europy w piłce nożnej. Dwa lata później, w lutym 2022 roku, po ataku Rosji na Ukrainę MKOl oraz większość światowych federacji sportowych nałożyły całkowity zakaz startów w międzynarodowych imprezach dla reprezentantów tego kraju. Dodatkowo, w październiku 2023 roku, MKOl oficjalnie zawiesił Rosyjski Komitet Olimpijski za bezprawne przejęcie rad olimpijskich na okupowanych terenach Ukrainy. Pojedynczy sportowcy rosyjscy mogli startować w zawodach, ale tylko po wypełnieniu rygorystycznych kryteriów neutralności. Aby sportowiec rosyjski lub białoruski je przeszedł, musiał spełnić kilka warunków, przede wszystkim sprawdzano, czy aktywnie nie wspierał wojny i czy nie był powiązany z rosyjskim wojskiem i służbami bezpieczeństwa.

eprasa.pl a51e4bc623



ZABIJANIE TRWA

MKOl znalazł pretekst do złagodzenia kursu wobec rosyjskich sportowców, ale przecież najistotniejszy fakt, który jest powodem do ich zawieszenia, nie zmienił się. Wojna trwa nadal...

Leszek **Galarowicz**

Federacje sportowe oraz MKOl zaczęły podkreślać, że uniemożliwianie startów młodym sportowcom z powodu decyzji politycznych ich rządu rzekomo narusza Kartę olimpijską.

W lipcu 2026 roku MKOl tymczasowo cofnął zawieszenie oraz zarekomendował federacjom sportowym zakończenie trzyletniego programu weryfikacji sportowców pod kątem ich neutralności. Pretekstem do tego kontrowersyjnego ruchu był fakt, że Rosyjski Komitet Olimpijski nie ma już w swoich strukturach organizacji regionalnych z terenów podlegających Narodowemu Komitetowi Olimpijskiemu Ukrainy oraz nie prowadzi i zapewnił, że nie będzie prowadził na tych terenach żadnej działalności. Ponadto federacje sportowe oraz MKOl zaczęły podkreślać, że uniemożliwianie startów młodym sportowcom z powodu decyzji politycznych ich rządu rzekomo narusza Kartę olimpijską.

Nie ma na to zgody!

Choć decyzja MKOl nie nakazuje wprost przywrócenia rosyjskich sportowców do międzynarodowej rywalizacji, wiele światowych sportowych federacji właśnie w takim duchu odczytuje ten ruch. Międzynarodowa Federacja Tenisa Stołowego już wcześniej przywróciła do rywalizacji Białorusinów, a teraz podjęła podobną decyzję wobec Rosjan. Bardzo szybko drzwi dla rosyjskiej kadry otworzyła FIVB (Międzynarodowa Federacja Piłki Siatkowej). Sborna powróciła też do światowego rankingu, w którym – co ciekawe – znalazła się od razu na trzecim miejscu. Rosjanie prawdopodobnie zagrają w Lidze Narodów, ale na pewno nie pojawią się w rozgrywanych w Polsce mistrzostwach świata. Z tych drugich zrezygnowali sami, ponieważ wiadomo było, że Polska nie wpuści ich na imprezę.

Nie wszystkie światowe federacje zdecydowały się na złagodzenie kursu wobec rosyjskich sportowców. Światowa organizacja lekkoatletyczna (World Athletics) utrzymała dla nich całkowity zakaz startów w imprezach międzynarodowych. Nie jest tajemnicą, że w naszym kraju decyzja MKOl-u spotkała się z miażdżącą krytyką polskich polityków z każdej strony sceny politycznej. Minister sportu Jakub Rutnicki ruch MKOl-u określił jako „skandaliczną decyzję". Mateusz Morawiecki nazwał to „haniebną decyzją" oraz „zdradą prawdziwego ducha sportu". W polskiej przestrzeni publicznej w sprawie przywrócenia rosyjskich sportowców panuje pełna zgoda.

Zresztą decyzja MKOl-u wywołała ogromne kontrowersje nie tylko w Polsce. Ukraińskie władze i komitet olimpijski określiły ją jako „przedwczesną i bezpodstawną". 29 lipca Ukraina złożyła oficjalną skargę do Sportowego Sądu Arbitrażowego w Lozannie na tę decyzję. Litewska minister oświaty, nauki i sportu Raminta Popoviene zapowiedziała, że natychmiast wniesie tę sprawę na forum Unii Europejskiej, aby wypracować wspólny opór państw członkowskich. Twardy sprzeciw wobec tej decyzji wyraziły też inne kraje, jak Estonia, Łotwa, Finlandia czy Rumunia. Dziewięć państw europejskich w geście sprzeciwu wobec skandalicznej decyzji MKOl-u zwróciło się do Komisji Europejskiej o pozbawienie finansowania tej organizacji.

Skandal i hańba

Różne określenia cisną się na usta w odniesieniu do decyzji władz olimpijskich. Skandal, hańba, policzek wymierzony w szlachetną sportową rywalizację. MKOl znalazł pretekst do złagodzenia kursu wobec rosyjskich sportowców, ale przecież najistotniejszy fakt, który jest powodem do ich zawieszenia, nie zmienił się. Wojna trwa nadal, dlatego reprezentanci tego kraju powinni być wykluczeni z jakiejkolwiek sportowej rywalizacji. Tymczasem już wkrótce wielu rosyjskich zawodników jak gdyby nigdy nic powróci na boiska, areny, hale sportowe. Pytanie, jak na te powroty zareagują kibice i zawodnicy, którzy będą się z nimi mierzyć. Trudno sobie wyobrazić, jak podobna rywalizacja wyglądałaby na przykład w Polsce. Prezes PZPS Sebastian Świderski wprost przyznał, że gdyby Rosjanie mieli wystąpić w siatkarskich mistrzostwach świata rozgrywanych w Polsce, trudno byłoby zapewnić im bezpieczeństwo. Nade wszystko decyzja MKOl-u i federacji, które przywracają rosyjskich sportowców do rywalizacji, jest kompletnie niezrozumiała z perspektywy moralnej. Oto świat sportu dostaje sygnał, że można robić najgorsze rzeczy, a nadal pozostaje się częścią wielkiej sportowej rodziny. **GP**

eprasa.pl a51e4bc623



MARSJAŃSKA FLOTA DRONÓW CORAZ BLIŻEJ

Jan **Przemyłski**

TRZY WIROPŁATY ZBADAJĄ CZERWONĄ PLANETĘ

NASA ściga się z czasem, by zdążyć z budową i dopracowaniem trzech marsjańskich dronów, które mają zostać wystrzelone w kierunku Czerwonej Planety w okienku startowym na przełomie 2028 i 2029 roku. Ostatnie miesiące przyniosły serię obiecujących sukcesów – od rewolucyjnej „pelerynki", będącej w rzeczywistości zaawansowanym radarem, po wirniki, których końcówki rozpędzono do zawrotnej prędkości 1,08 macha.

Ziemia okrąża Słońce w 365 dni, natomiast Mars potrzebuje na to niemal dwa razy więcej czasu, bo aż 687 dni. Różnica prędkości sprawia, że obie planety rzadko znajdują się blisko siebie i dogodne warunki do podróży pomiędzy nimi, nazywane oknem startowym, pojawiają się raz na 26 miesięcy. Wówczas Mars znajduje się w pozycji pozwalającej dotrzeć do niego w 7–9 miesięcy. Jeśli przygotowanie misji się opóźni, agencje kosmiczne na kolejną szansę muszą czekać ponad dwa lata.

Najbliższe okno startowe nastąpi w listopadzie i grudniu 2026 roku, a jedyny start w kierunku Czerwonej Planety w tym okresie ma przeprowadzić Japonia, która planuje wysłanie na Fobosa (księżyc Marsa) sondy MMX. Jej zadaniem będzie zebranie próbek i dostarczenie ich na Ziemię.

Prawdziwym technologicznym i naukowym hitem ma być okienko na przełomie 2028 i 2029 roku, kiedy to wystartuje przełomowa misja Skyfall, o której już informowaliśmy w tym roku na naszych łamach. Po pierwsze, statek, który zostanie wysłany, będzie wyposażony (po raz pierwszy w historii) w reaktor jądrowy wytwarzający energię elektryczną, a ta zaś napędzi silniki jonowe.

Po drugie, na jego podkładzie znajdzie się flotylla złożona z trzech autonomicznych wiropłatów. Każdy z tych helikopterów zostanie uzbrojony w instrumenty naukowe, w tym: kamery podczerwieni, system obrazowania 3D, a także radar GPR.

Misja ma wystartować w grudniu 2028 roku, ale lądowanie na Marsie zaplanowane jest dopiero na 2030 rok.

To ostatnie narzędzie wzbudziło właśnie sporo zainteresowania w ostatnim czasie ze względu na swój wygląd. Inżynierowie NASA zaprojektowali dla niego rewolucyjną antenę w formie elastycznej tekstylnej „pelerynki", która rozwiązuje ograniczenia wagowe na Marsie. Ta ważąca zaledwie 150 gramów konstrukcja, wykonana z metalizowanego poliestru, zwisająca pod dronem, umożliwia skanowanie powierzchni w poszukiwaniu lodu, bezpiecznie uginając się przy lądowaniu.

Przypomnijmy, że Mars ma niezwykle rzadką atmosferę – jej gęstość jest o 99 proc. mniejsza niż atmosfery ziemskiej. Latanie tam dronem przypomina więc lot na wysokości około 30 km na Ziemi, dlatego wirniki drona muszą obracać się bardzo szybko. I w tym zakresie także nastąpił przełom w ostatnim czasie. Otóż NASA dopracowała je do takiego stopnia, że końcówki nowych łopat w warunkach przypominających atmosferę Czerwonej Planety osiągnęły prędkość 1,08 macha, czyli 1330 km/h. **GP**

FOT. NASA

eprasa.pl a51e4bc623



Iwona **Balcerak**
TEKST I ZDJĘCIA

Mały owoc, który podbił świat

Soczyste, aksamitne morele od wieków zachwycają słodko-kwaśnym smakiem i aromatem, który nieodłącznie kojarzy się z latem. Trudno uwierzyć, że te niepozorne owoce przebyły tysiące kilometrów, zanim trafiły na nasze stoły – wędrowały karawanami jedwabnym szlakiem, zdobiły królewskie dwory Europy i stały się inspiracją dla wielu wybitnych deserów. Dziś są symbolem lata, a ich historia okazuje się równie fascynująca, jak ich wyjątkowy smak.

KNEDLE TWAROGOWE Z **MORELAMI**

Ciasto:
250 g półtłustego twarogu
80 g miękkiego masła
1 jajko
150 g mąki pszennej
szczypta soli
Nadzienie:
8 dojrzałych, ale jędrnych moreli
8 kostek lub łyżeczek cukru
Do obtoczenia:
80 g masła
150 g bułki tartej
2 łyżki cukru brązowego
1 łyżeczka cynamonu
3 łyżki płatków migdałowych

Utrzyj miękkie masło z twarogiem na gładką masę. Dodaj jajko oraz szczyptę soli, następnie stopniowo wsypuj mąkę. Wyrób miękkie, elastyczne ciasto. Jeśli okaże się zbyt lepkie, dosyp niewielką ilość mąki. Owiń je folią spożywczą i schładzaj w lodówce przez około 30 minut.

Umyj i osusz morele. Natnij każdy owoc wzdłuż naturalnego rowka, usuń pestkę, pozostawiając połówki połączone. W miejsce pestki włóż kostkę cukru lub nałóż porcje cukru, a następnie delikatnie zamknij owoc.

Podziel schłodzone ciasto na osiem równych porcji. Każdą lekko spłaszcz w dłoni, ułóż na środku przygotowaną morelę i otul ją ciastem. Zlep brzegi i uformuj gładką, zwartą kulkę.

Zagotuj w dużym garnku lekko osoloną wodę. Zmniejsz moc palnika, tak aby woda jedynie delikatnie wrzała. Włóż knedle partiami i gotuj przez 10–12 minut od momentu wypłynięcia na powierzchnię.

Płatki migdałowe wysyp na suchą patelnię, praż przez 2–4 minuty na średnim ogniu, ciągle mieszając, zdejmij od razu po uzyskaniu złotego koloru i przesyp do miseczki.

Rozpuść masło na patelni. Wsyp bułkę tartą i praż ją na małym ogniu, stale mieszając, aż nabierze złocistego koloru i przyjemnego, orzechowego aromatu. Dodaj cukier oraz cynamon i dokładnie wymieszaj.

Wyjmij ugotowane knedle łyżką cedzakową i od razu obtocz je w ciepłej, maślanej bułce tartej. Podawaj najlepiej zaraz po przygotowaniu posypane płatkami migdałowymi. Deser można też polać sosem waniliowym lub podać z gałką lodów waniliowych. **GP**

CZAS	**60 MIN**
KOSZT	**30 ZŁ**
LICZBA PORCJI	**4 (8 SZT.)**
STOPIEŃ TRUDNOŚCI	**ŁATWE**

CZY WIESZ, ŻE...

Jednym z najbardziej znanych francuskich deserów jest clafoutis, którego pierwsza wersja powstawała z czereśni pieczonych w delikatnym cieście przypominającym budyń. Pewnego lata cukiernicy zaczęli zastępować czereśnie morelami. Tak narodziła się jedna z najpopularniejszych współczesnych odmian tego klasycznego deseru.

Kilkaset kilometrów dalej, w dolinie Wachau nad Dunajem, Austriacy przygotowują z nich słynne Marillenknödel – delikatne knedle z twarogowego lub ziemniaczanego ciasta. Według lokalnej tradycji do wnętrza każdej moreli wkłada się kostkę cukru lub migdał. Po ugotowaniu owoce stają się niezwykle soczyste.

To nie przypadek, że morele tak dobrze pasują do migdałów. Morele i migdały należą do tej samej rodziny botanicznej. Ich aromaty doskonale się uzupełniają, dlatego od wieków cukiernicy łączą je w tartach, ciastach, kremach i marcepanach.

ZAPRASZAMY NA
www.prenumerata.swsmedia.pl

eprasa.pl a51e4bc623

Listy

Od pielęgniarek proszę się po prostu odczepić

To nie jest grupa zawodowa, której zarobki są ukryte. (...) Wynagrodzenia pielęgniarek od lat są jawne i wynikają wprost z ustawy o minimalnych wynagrodzeniach w ochronie zdrowia. Każdy może sprawdzić, ile wynoszą minimalne stawki wynagrodzenia zasadniczego. Pielęgniarka z grupy 6, czyli posiadająca licencjat lub średnie wykształcenie pielęgniarskie bez specjalizacji, ma obecnie minimalne wynagrodzenie zasadnicze w wysokości 7691 zł brutto. To daje około 5700 zł netto. Pielęgniarka z grupy 5 ma minimalne wynagrodzenie zasadnicze w wysokości 8345 zł brutto, czyli około 6200 zł netto. Pielęgniarka z grupy 2, posiadająca tytuł magistra i specjalizację, ma minimalne wynagrodzenie zasadnicze w wysokości 10 554 zł brutto, czyli około 7700 zł netto. (...) Za tymi pieniędzmi stoją ogromne koszty. Za studia pielęgniarki najczęściej płacą same. Za specjalizacje płacą same. Za kursy kwalifikacyjne płacą same. Za kursy specjalistyczne płacą same. Bardzo często bez żadnego dofinansowania, bez oddelegowania i bez dodatkowych dni wolnych. Uczą się po nocach, po dyżurach, kosztem własnego czasu, własnych pieniędzy i własnych rodzin. Kupują własne obuwie. Kupują własne mundurki. Kupują własne długopisy, markery i identyfikatory. W wielu miejscach płacą nawet za parking pod szpitalem. Nie mają urlopów dla poratowania zdrowia. Nie mają dodatków mieszkaniowych. Nie mają wcześniejszych emerytur. Nie mają szczególnych ulg podatkowych. Nie mają specjalnych przywilejów socjalnych. Za to mają odpowiedzialność za zdrowie i życie ludzi przez 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. W Polsce brakuje około 200 tys. pielęgniarek. Średni wiek pielęgniarki przekroczył już 55 lat. Coraz więcej osób odchodzi z zawodu, a coraz mniej chce do niego przyjść. To właśnie dlatego wprowadzono ustawowe minimalne wynagrodzenia. Nie dlatego, że pielęgniarki stały się grupą uprzywilejowaną. Dlatego, że system zaczął się rozpadać z powodu katastrofalnych braków kadrowych. Połowa aktywnych zawodowo pielęgniarek pracuje po 300, 350, a nawet 400 godzin miesięcznie. Nie dlatego, że kochają siedzieć w pracy. Dlatego, że nie ma kto pracować.

Klaudia M.

Adres redakcji:
ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa
Tel. (+48 22) 290-29-58
redakcja@gazetapolska.pl



redaktor naczelny Tomasz Sakiewicz, zastępcy redaktora naczelnego Katarzyna Gójska i Piotr Lisiewicz, sekretarz redakcji Martyna Hajdo-Trolińska (kier.), Małgorzata Wiankowska

kraj Piotr Lisiewicz (kier.), Piotr Nisztor, Hubert Kowalski, Grzegorz Wierzchołowski, Grzegorz Broński, świat Maciej Kożuszek (kier.), kultura Sylwia Krasnodębska (kier.), gospodarka Maciej Pawlak (kier.) historia Tomasz Łysiak (kier.), publicystyka Piotr Grochmalski, Joanna Lichocka, Grzegorz Wszołek, Ewa Wójcik (kluby), Konrad Wysocki (Obronność), Jacek Liziniewicz (Środowisko), Stefan Czerniecki (Podróże), Jan Przemyłski (Technika), Iwona Balcerak (Kulinaria), stali felietoniści Krzysztof Karnkowski, Tadeusz P. Płużański, Michał Rachoń, Marcin Wolski, Józef Wieczorek, Dawid Wildstein

projekt layoutu i logotypu Mariusz Troliński

nadzór Mariusz Troliński, Krzysztof Lach-Kubica
DTP Paweł Chrzanowski, Aleksander Razcwarkow, Paweł Pawluszek, Grzegorz Lipka

sekretariat redaktora naczelnego Anna Kazimierczuk
Druk: P/mint, Wyszków

Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść ogłoszeń. Nie zwraca niezamówionych materiałów.

Kontakt z czytelnikami, interwencje w godz. 9–13:
Anna Kazimierczuk, tel. 603 117 483;
tel. 22 290 29 58 (wew. 1);
e-mail: kontakt@gazetapolska.pl
WYDAWCA
Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp. z o.o.
Kontakt z działem reklamy:
e-mail reklama@gazetapolska.pl,
tel. (+48) 603 117 134
Kontakt z działem promocji:
e-mail promocja@gazetapolska.pl

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

GAZETA POLSKA
www.gazetapolska.pl

WESPRZYJ DZIENNIKARZY
mediów Strefy Wolnego Słowa
FUNDACJA NIEZALEŻNE MEDIA · GAZETA POLSKA · Gazeta Polska Codziennie · niezależna.pl · NOWE PAŃSTWO · R
Zachęcamy wszystkich do wpłaty na FUNDACJĘ NIEZALEŻNE MEDIA
ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa
Nr konta: 62 1240 1053 1111 0010 5517 7864
TYTUŁEM – DAROWIZNA NA RZECZ FUNDACJI NIEZALEŻNE MEDIA
www.fundacjaniezaleznemedia.pl



FOT. WIKIPEDIA

Quiz

GAZETA POLSKA

1. W tym amerykańskim serialu kryminalnym z lat 70. XX wieku aktor Telly Savalas wcielił się w porucznika z nowojorskiego wydziału zabójstw. Jego atrybutem był... lizak. Jak brzmi tytuł tego serialu?
2. W latach 1962–2021 brytyjska wytwórnia filmowa EON Productions wyprodukowała 25 filmów o Jamesie Bondzie. Ilu aktorów wcieliło się w rolę tajnego agenta 007 z licencją na zabijanie?
3. Podniszczony stary prochowiec, niechlujny krawat, sfatygowana koszula oraz cygaro – to znaki szczególne porucznika Columbo. Kto wcielił się w rolę tego pracownika wydziału zabójstw policji w Los Angeles, dla którego nie było sprawy nie do rozwiązania?
4. Dwaj detektywi – James „Sonny" Crockett i Ricardo „Rico" Tubbs – to główni bohaterowie amerykańskiego serialu „Policjanci z Miami". W pamięć zapadły spektakularne pościgi, plejada aktorskich gwiazd i świetna muzyka. A kto pamięta: jakie „domowe zwierzątko" mieszkało z „Sonnym" na jego jachcie?

ODPOWIEDZI:
1. „KOJAK"; 2. SZEŚCIU; 3. PETER FALK; 4. ALIGATOR

PRENUMERATA

Ceny prenumeraty papierowej „Gazety Polskiej": rok – 460 zł, pół roku – 244 zł; kwartał – 129 zł; miesiąc – 45 zł.

Kontakt: prenumerata@swsmedia.pl
www.prenumerata.swsmedia.pl
Tel.: **605 900 002, 22 336 79 06**
Konto do wpłat: Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp. z o.o.
konto: Bank PEKAO SA
Nr konta:
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelewy z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW
IBAN: PL)

Zamówienia książek na:
sklep.gazetapolska.pl
lub tel.: (22) 232 37 70
Nr konta:
61 1240 6003 1111 0010 7516 5807

ZAPRASZAMY NA
www.prenumerata.swsmedia.pl

eprasa.pl a51e4bc623

MIESIĘCZNIK
„NOWE PAŃSTWO”

DOSTĘPNE WYŁĄCZNIE W PRENUMERACIE!

Zamów na www.prenumerata.swsmedia.pl
i zyskaj dostęp do treści, które mają znaczenie!



Prenumerata roczna ELEKTRONICZNA **99 PLN**

Prenumerata roczna PAPIEROWA **155 PLN**

Więcej informacji

NAPISZ / prenumerata@swsmedia.pl ZADZWOŃ / 605 900 002 SPRAWDŹ / www.panstwo.net
WEJDŹ / prenumerata.swsmedia.pl DANE DO PRZELEWU / **PL 82 1240 5963 1111 0010 3867 3017**
ADRES / Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp. z o. o., ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

eprasa.pl a51e4bc623

REPUBLIKA

Najważniejsze tematy tygodnia, które żywo interesują Polaków. Merytoryczna publicystyka dziennikarzy Republiki. Na program „13 Piętro” zaprasza **Michał Jelonek.**

Komentuj na X-com #13PIĘTRO



13 PIĘTRO

NIEDZIELA
11:35
w Republice

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę obejrzysz w jakości HD na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny proszę sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl a51e4bc623